Łódź

# Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 45 (1389) ROK XXVII 10 LISTOPADA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

- Rewolucyjny Pułk Warszawy
- Rapier Napoleona
- Kurtka na misiu
- Banalna kariera spekulanta

Fotos: Archiwum

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

## Moskiewski Październik

„Październik" Piotrogrodu przesłonił współczesne wydarzenia w „starej stolicy" – Moskwie. Powstanie zbrojne w Piotrogrodzie cechowała aktywność, zdecydowanie i ofensywność. W Moskwie przeciwnie występują wahania, gotowość do kompromisów, przecenianie sił przeciwnika.

Trzeba jednak mieć na uwadze, że w Piotrogrodzie przebiegiem powstania kierował Lenin, że istniała tam jedna Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich (w Moskwie odrębne Rady), że marynarze Floty Bałtyckiej tworzyli grupę szturmową rewolucji, podczas gdy ciężar walk w Moskwie w znacznej mierze przejęła robotnicza Gwardia Czerwona.

Siły zbrojne reakcji w „starej stolicy" były znacznie większe, jednolicie dowodzone i w momencie rozpoczęcia walk zajmowały wygodne pozycje strategiczne w mieście. Burżuazja moskiewska lepiej zorganizowana występowała razem z mieńszewikami oraz eserowcami i potrafiła narzucić taktykę rokowań, wysuwając miraż wspólnego znalezienia bezkrwawego wyjścia z powstałej sytuacji.

Udaremnienie przez bolszewików wojskowego zamachu stanu gen. Ławra Korniłowa w sierpniu 1917 r. przyczyniło się do dalszego szybkiego wzrostu partii, a równocześnie do bolszewizacji Rad. We wrześniu w Radach Piotrogrodu i Moskwy bolszewicy posiadali już zdecydowaną większość.

Sytuację, jaka wytworzyła się we wrześniu w Rosji Lenin określił słowami: „kryzys dojrzał". W listach skierowanych do komitetów bolszewickich w Piotrogrodzie i Moskwie Lenin akcentował konieczność szybkiego zorganizowania powstania zbrojnego i przejęcia całości władzy.

Pisma Lenina były omawiane na zebraniach członków Komitetu Moskiewskiego i Komitetu Obwodowego (okręg moskiewski). Większość członków uważała, że powstanie powinno zacząć się w Piotrogrodzie, a Moskwa udzieli pomocy stolicy i zorganizuje władze rewolucyjne w całym okręgu przemysłowym. Część członków łączyła wybuch powstania z obradami zwołanego na 25 października (7.XI.) II Ogólnorosyjskiego Zjazdu Rad.

Moskiewskie instancje partii bolszewickiej raczej przygotowywały się do proklamowania władzy Rad w mieście i okręgu, aniżeli do walki zbrojnej. Tymczasem dowódca Moskiewskiego Okręgu Wojskowego płk. Konstantin Rjabcew umacniał budynki szkół oficerskich i szkół chorążych, dostarczał broń komitetom domowym (przeciwwaga Gwardii Czerwonej) i formował milicję studencką.

24 października (6.XI.) płk. Rjabcew przystąpił do obsadzania junkrami niektórych punktów strategicznych w mieście oraz wysłał na ulice patrole na samochodach. Organizacje bolszewickie nie podjęły tego dnia kroków o charakterze wojskowym, czekały na wiadomości z Piotrogrodu.

25 października (7.XI.) radiostacja polowa koło Moskwy przejęła depeszę wysłaną z „Aurory". Była to odezwa zredagowana przez Lenina zawiadamiająca, że Rząd Tymczasowy został obalony. Tegoż dnia Wiktor Nogin (przewodniczący Rady Robotniczej Moskwy), delegat na II Zjazd Rad poinformował Komitet Moskiewski, że władza przeszła w ręce Komitetu Wojenno-Rewolucyjnego bez przelewu krwi. Wobec tych informacji Komitet Obwodowy zwołał na godzinę 15 plenarne, wspólne zebranie obu Rad (żołnierskiej i robotniczej)

Ponieważ junkrzy patrolowali ulice i umacniali Zarząd Miasta, gmach Okręgu Wojskowego i giełdę, pod budynek Rady wezwano batalion kolarzy, a 56 pułk piechoty obsadził pocztę główną i międzymiastową stację telefoniczną. Postawiono w stan pogotowia Gwardię Czerwoną, a do jednostek wojskowych rozesłano agitatorów.

Głównym tematem wspólnego plenarnego posiedzenia Rad było utworzenie Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego. Mieńszewicy i eserowcy domagali się wprowadzenia w skład Komitetu reprezentantów Zarządu Miasta, Okręgu Wojskowego oraz innych organizacji społecznych. W wyniku głosowania wnioski ugodowców zostały odrzucone, lecz mieńszewicy weszli w skład Komitetu. Przewodniczącym został Łomow. Wśród członków znalazł się także Polak, Stanisław Budzyński.

26 października Komitet Wojskowo-Rewolucyjny (dalej KWR) zarządził mobilizację Gwardii Czerwonej, formował fabryczne i dzielnicowe Komitety WR. Siły kontrrewolucyjne w tym czasie otaczały Kreml i próbowały obsadzić mosty oraz dworce.

Dla Gwardii Czerwonej brakowało broni. Znaczne zapasy karabinów i amunicji znajdowały się w arsenale kremlowskim. KWR wysłał tam chorążego Jana Berzina i Emeliana Jarosławskiego wraz z kompanią piechoty. Junkrzy przepuścili oddział, lecz nie pozwolili na wywiezienie broni i rozpoczęli blokadę Kremla.

Tymczasem płk. Rjabcew otrzymał z frontu zapewnienie, że do Moskwy zostały już wysłane posiłki wierne Rządowi Tymczasowemu. Burżuazja przy poparciu drobnomieszczaństwa utworzyła Komitet Bezpieczeństwa i obradowała nad powołaniem rządu prowizorycznego. Do tego potrzebne było zwycięstwo nad bolszewikami.

W nocy z 27 na 28 października doszło do pierwszych walk. Kiedy oddział około 500 żołnierzy maszerował, by wzmocnić ochronę gmachu Rady, został znienacka ostrzelany przez junkrów. W walce otworzył sobie drogę ponosząc jednakże znaczne straty. Również Stanisław

3

## Wychowywać to także brać odpowiedzialność

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Szkole przypisywane są rozmaite funkcje i zadania. Ma nauczać, a więc przybliżać młodym wiedzę o świecie. Ale także wychowywać, czyli kształtować, a przynajmniej próbować aktywnie wpływać na kształtowanie świadomości społecznej i postaw młodzieży. Dążenia społeczne zwane wychowaniem obejmują m.in. pragnienie grupy przedłużenia własnego trwania poprzez przygotowanie dorastających młodych ludzi do pełnienia ról społecznych. Jako zjawisko społeczne, wychowanie stanowi teren ścierania się dążeń oraz interesów różnych warstw społecznych, a więc i rozmaitych ideologii, prądów, tendencji. Problem staje się tym ważniejszy, jeśli przyjąć, iż jeszcze nieraz zmieniać się będą programy nauczania, ale kanony wychowawcze winny być bardziej stabilne. Wychowanie nie może podlegać bezustannym eksperymentom, gwałtownym zwrotom. Jest to bowiem proces o wadze nie na jedną dekadę, nie na rządy jednej ekipy, ale na czas odmierzany życiem całych generacji. Jest to także jedno z tych działań społecznych, za które trzeba ponosić indywidualną, ale i zbiorową odpowiedzialność; za którego skutki odpowiadamy wszyscy.

### WYCHOWYWAĆ MUSI SZKOŁA, ALE NIE SAMA

Mówi się, ale wciąż tylko mówi, dlatego w dalszym ciągu krytycznie o jedności nauczania i wychowywania. Podobnie ma się rzecz z tzw. wspólnym, jednolitym działaniem wychowawczym, a więc współdziałaniem szkoły, domu, organizacji młodzieżowej w procesie społecznego dojrzewania młodych.

Z domu młodzi wynoszą wiele, w tym dobrego i złego. Jeden z uczestników dyskusji, którą niedawno redakcja zorganizowała z uczniami łódzkich szkół średnich, powiedział: *„Do pewnego okresu autorytet domu, rodziców, to dla nas najważniejsze kryterium oceny wszystkiego. Do naszego wieku, a więc tych osiemnastu, dziewiętnastu lat w zasadzie poza to kryterium nie wychodzimy"* Tak sądzi większość młodych. Choć padły wówczas i inne zdania, jak np. te: *„Wszystko zależy od indywidualnych doświadczeń. Uważam, że dom może nas kształtować i nasze poglądy do wieku siedmiu, ośmiu lat. No może trochę więcej. Potem już są ci inni, na przykład szkoła. A gdzieś od szesnastu, siedemnastu lat poznajemy życie sami. Sami się go uczymy. Poglądy z tego okresu mogą się potem zmienić, ale w wieku lat osiemnastu są one jeszcze najbardziej nasze"*.

Jak więc jest naprawdę z tym wpływem domu na poglądy i postawy młodych? Kiedy i gdzie kończy się (a może urywa) rola domu, rodziców?

Sądzę, iż dom jeśli ma być domem winien dla młodego człowieka pozostawać źródłem wiedzy

12

## Skandal w Leśmierzu: ciąg dalszy rozprawy

EDWARD BRYL

Wyznaczona godzina rozpoczęcia minęła. Świadkowie z niewyraźnymi minami spacerowali po korytarzu. Będzie sprawa czy nie? Po starej znajomości zagadnąłem pielęgniarki z Leśmierza. Kilka grzecznościowych zdań. Jak się czują? Poradziłem by płaszcze zostawiły w szatni, bo pewnie czasu spędzimy tu sporo. Za trzecim podejściem zapytałem o Wiesławę W. Dowiedziałem się, że urodziła dziecko... I stało się! Popełniłem niewybaczalną gafę. Później już, w trakcie rozprawy wyszło na jaw, że wszystkie moje rozmowy na korytarzu sądowym były mierzone stoperem. Oskarżony biegał i informował — *„O, panie mecenasie, znowu rozmawiają!"*. Ano cóż, tonący brzytwy się chwyta, czyżby nie było już w zapasie żadnych mocniejszych kontrargumentów obrony? A w ogóle nie przypuszczałem, że hol jest tak bacznie obserwowany i dziwię się, że do tej pory ku wygodzie mecenasów nie zainstalowano tam aparatów podsłuchowych, lub przynajmniej boksów, gdzie można by izolować świadków.

Wiem, iż nie jestem tu mile widziany. Obrona nawet wystosowała do naczelnego „Odgłosów" pismo z szeregiem zarzutów. Między innymi wini mnie, iż byłem jedynym dziennikarzem na sali. Ale czy to moje niedopatrzenie? O przyzwoitszą reklamę dla siebie i swego klienta adwokaci mogli postarać się sami. Nie mam obowiązku zapraszać kolegów po piórze z innych redakcji. Obarczono mnie również zarzutem, iż jestem sprawą zainteresowany osobiście...

Potwierdzam, jak najbardziej! Inaczej czyżbym w ogóle był zdolny pisać jakikolwiek tekst interwencyjny w obronie ludzi bezradnych, krzywdzonych? Angażuję się inaczej niż adwokat — jestem dziennikarzem. Kieruję się skalą wartości nie tylko umownych, a ponadto sercem. Bohaterowie moich reportaży nie są moimi klientami. Honorarium otrzymuję jedynie z redakcji. Tyle wyjaśnień, do pozostałych ustosunkuje się kierownictwo redakcji...

Wreszcie o 11.30 zaczęło się. Jako pierwszy świadek wystąpiła pielęgniarka Z., której doktor Krawczyk zarzucał między innymi, że nie dopuszczała do niego pacjentów, samowolnie ograniczała przyjęcia chorych.

— *Nadal pracuję w ośrodku zdrowia w Leśmierzu. To już ponad 20 lat. Przez ten okres miałam wielu zwierzchników lekarzy... Z poprzednikami dr Krawczyka układało się zawsze dobrze, zresztą z nim na początku też. Ale później zaczął zwracać niegrzecznie uwagi przy pacjentach... krzyczał. Również w stosunku do pozostałych pielęgniarek dr Krawczyk był nieuprzejmy, lekceważący, ordynarny...*

Świadek zapytana czy widziała jak szef przyjmował pieniądze od pacjentów stwierdziła, że nie, ale słyszała

5

# Odgłosy

**Adres redakcji:** 90-438 Łódź, al. Mickiewicza 11.
**Telefony:** redaktor naczelny i sekretariat redakcji: 36-52-44, zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: 36-80-99.
**Redaktor naczelny:** Lucjusz Włodkowski.
**Zastępca redaktora naczelnego:** Tomasz Sas
**P.o. sekretarza redakcji:** Grażyna Olechnowicz
**Kierownik działu literackiego:** Igor Sikirycki.
**Zespół:** Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Karol J. Stryjski, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
**Grafik:** Janusz Szymański-Glanc.
**Fotoreporter:** Grzegorz Gałasiński.
**Korekta:** Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
**Stale współpracują:** Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz.

**Wydawca:** Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

**DRUK:** Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

**Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy:** — kalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajduja się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — "siążka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy ziokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granice przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecajacych instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granice: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku nastepnego oraz cały rok nastepny — do dnia 1 każdego miesiaca poprzedzajacego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 3195. E-2.




# Przegląd prasy

Porwanie i zabójstwo księdza Jerzego Popiełuszki — tragiczne wydarzenie, które do głębi wstrząsnęło polską opinią społeczną — mimo szybkiego aresztowania bezpośrednich sprawców, nie zostało jeszcze do końca wyjaśnione, zarówno w swym aspekcie kryminalnym jako

## AKT BEZPRZYKŁADNEGO, ZBRODNICZEGO TERRORYZMU

jak i w aspekcie politycznym — niejasne jest bowiem tło tej prowokacji, jej motywy i cele, ani też domniemani inspiratorzy i poplecznicy (a ich istnienie zakłada jedna z bardziej prawdopodobnych wersji śledczych).

Z tych to zapewne powodów w naszej prasie — jak dotąd — urzędowe komunikaty i agencyjne relacje oraz oficjalne wypowiedzi przeważają nad komentarzem dziennikarskim. Dlatego zwrócił mą uwagę tekst naczelnego redaktora „Polityki" Jana Bijaka pt. „Rachunek do zapłacenia" (nr 44 — 03.11.84).

Komentarz Bijaka zawiera wiele słusznych i godziwych konstatacji, z którymi sam się głęboko utożsamiam. Zwłaszcza z taką tezą:

*„(...) Ksiądz Jerzy Popiełuszko był kapłanem, osobą z racji swego duchownego stanu obdarzoną moralnym autorytetem w społeczności wiernych. Ksiądz Jerzy Popiełuszko znany był z wielkiej aktywności politycznej i z niechęci, a porzucając dyktowany chwilą eufemizm, z wrogości do panującego w Polsce socjalistycznego porządku. Dawał temu wyraz słowem i czynami, a jego kazania, popularyzowane przez radia zachodnie, sięgały daleko poza żoliborską parafię. Wybrano więc jego. W ten sposób podkładano ogień pod jedno z najczulszych miejsc narodowego porozumienia. Prowokacja miała zamknąć usta tym, co w imieniu Kościoła wiodą dialog z władzą i zniszczyć wiarę w uczciwe intencje przedstawicieli władz".*

Tak było w istocie — chodziło o zniweczenie dialogu. Działalność polityczna księdza Popiełuszki trudną była do przezwyciężenia, ale najlepszym orężem w tej walce winny pozostać argumenty i przede wszystkim fakty. Fakty społeczne dokonujące się wbrew wezwaniom do konfrontacji.

Tłumaczenie tego aktu terroru desperacją wynikającą z bezsilności byłoby nazbyt amatorską interpretacją. Intencje polityczne inspiratorów tej prowokacji sięgały znacznie dalej — do samej istoty współczesnej egzystencji polskiego społeczeństwa, opartej na wielopłaszczyznowym, niewerbalnym porozumieniu.

Dlatego właśnie podzielam wyrażone w komentarzu

## PRAGNIENIE JANA BIJAKA:

*„Spokój, nieuleganie emocjom i pochopnym wnioskom, większe zrozumienie dla skomplikowanej sytuacji, w jakiej przychodzi działać naszym władzom, odpór awanturnikom, którzy na prowokację chcą odpowiedzieć inną prowokacją, to minimum obywatelskiej powinności w tej trudnej próbie, jakiej poddało nas życie. Możemy wspólnie sprawić, że prowokacyjny, bandycki akt obróci się przeciw tym co go wymyślili i spodziewali się czerpać z niego polityczną korzyść. Niech oni płacą! Nie społeczeństwo i nie państwo".*

Niech się tak stanie — chciałoby się rzec. Przeciwstawienie się skutkom tej prowokacji przez wszystkich odpowiedzialnych, uczciwych obywateli, mimo cisnących się na usta pytań i wątpliwości, jest nie tylko moralnym obowiązkiem, ale i koniecznością. Zwłaszcza wobec prób politycznego zdyskontowania tragedii, o których w wypowiedzi dla PAP informował rzecznik prasowy rządu. Przeciwnicy ustroju i państwa w żadnej sprawie, a zwłaszcza w tej, nie będą samozwańczymi „prokuratorami" ani „obrońcami"...

## SPOKÓJ SPOŁECZNY NIE JEST NAM POTRZEBNY TYLKO DORAŹNIE

w obliczu tragicznego aktu terroru i politycznej prowokacji. Jest to po prostu jedyny warunek skutecznej reorganizacji naszego życia publicznego na zawsze. A jedyną skuteczną metodą jest udrożnianie, doskonalenie demokracji jako systemu rządzenia państwem i współorganizowania się obywateli. (Nb. używany często w tej kwestii frazes „dalsza demokratyzacja" brzmi ohydnie i fałszywie — jak można demokratyzować coś, co z natury jest demokracją, mianowicie nasz ustanowiony w konstytucji system władzy... Demokratyzacja w tym znaczeniu jawi się jak akt dobrej woli, gdy tymczasem jest i koniecznością ideologiczną i objawem woli ogółu obywateli).

Do najciekawszych, choć wywołujących rozliczne kontrowersje, mechanizmów, które zamierzamy wspólnie uruchomić w tej mierze, należy reguła konsultacji społecznych i referendów (czyli głosowań ludowych). Sam wielokrotnie „zaczepiałem" tę ideę, gdyż uważam, że jest ona sprzeczna z systemem władz wybieralnych, przedstawicieli narodu wyposażonych w szerokie pełnomocnictwa, czyli z demokracją pośrednią. Lecz cóż, wyrażam pogląd, który znalazł się w zdecydowanej mniejszości.

Tymczasem zwolennicy demokracji bezpośredniej otrzymają już wkrótce do rąk ten

## UPRAGNIONY INSTRUMENT WSPÓŁRZĄDZENIA

sprawami kraju, czyli ustawę o konsultacjach społecznych. Tak przynajmniej wynika ze słów Andrzeja Elbanowskiego — przewodniczącego Komisji Prawa i Praworządności RK PRON i szefa zespołu roboczego przygotowującego projekt tej ustawy, słów wypowiedzianych w wywiadzie dla „Tygodnika Polskiego" (nr 45 — 04.11. 84).

No i bardzo dobrze. Tylko po co? Aby wiedzieć, co sądzą obywatele o tym i owym, wystarczy mieć sprawny, obiektywny i wiarygodny instytut badania opinii społecznej; aby coś skonsultować, poddać dyskusji jakiś projekt, albo wybrać jeden z możliwych wariantów jakiegoś rozwiązania, wystarczy mieć szczerą wolę rzetelnego skorzystania z poglądów obywateli i po prostu ich spytać o zdanie — w formach, w jakich do tej pory zwykło się to robić; aby przeprowadzić głosowanie ludowe, wystarczy wprowadzić kilka stosownych a szczegółowych przepisów do konstytucji, sprawy proceduralne załatwiając przy pomocy wydanego przez Radę Państwa regulaminu.

Wreszcie aby skutecznie rządzić państwem, wystarczy mieć sprawny system wyborczy, wyłaniający rzeczywistych delegatów narodu, wyposażonych w pełnomocnictwa, prawidłowo wyselekcjonowanych i obdarzonych zaufaniem — że o porcji zdrowego rozsądku, wspartego opiniami ekspertów nie wspomnę...

Nawet jeżeli przyjmiemy za dobrą monetę słowa mecenasa Elbanowskiego, że: *„(...) konsultacji mogą i powinny być poddane niektóre wybrane, istotne zagadnienia. Inaczej społeczeństwo i organa władzy nie robiłyby nic innego, jak tylko przeprowadzały dyskusje. Ostatecznie organa władzy powinny mieć rozeznanie, co trzeba publicznie przedyskutować."* — nawet jeżeli weźmiemy to pod uwagę, to i tak wynika z tych paru zdań, że to władza będzie arbitralnie decydować, o czym zechce podyskutować z obywatelami. Czy do nadania strawnych form tej dyspucie potrzebna jest aż ustawa? Czy nie wystarczyłyby powszechnie obowiązujące w cywilizowanym świecie demokratyczne obyczaje?

## NIE MNÓŻMY BYTÓW PONAD POTRZEBĘ

— wołał pewien zapomniany dziś filozof i rację miał!

Rację ma także Jan Rem, pisząc w „Tu i Teraz" o nowej modzie politycznej, czyli postawie połowicznej, która *„polega na okazywaniu opozycji niechęci oraz na takim samym traktowaniu władz".*

Ludzie, którzy zajmują tę pośrednią postawę, są ofiarami szeregu własnych błędów. Najważniejszy z tych błędów — zdaniem Jana Rema — to przekonanie, że ludzie ci, działając w „Solidarności" mieli poczucie, że kształtują historię, a dziś są bezwolnymi paprochami w nurcie dziejów. Tymczasem jest akurat odwrotnie — wtedy przebieg dziejów był diametralnie inny od zamierzonego, a dziś właśnie ludzie ci mają nieograniczone możliwości kształtowania własnego losu. A zatem rzecz to specyficznej optyki.

Wyznawcy postaw połowicznych są zwolennikami iluzji i zjawisk nadprzyrodzonych — najpierw uwierzyli, że idą za obietnicą cudownego raju, teraz domagają się podobnie cudownego gestu strony przeciwnej, którą pod tym właśnie warunkiem skłonni są zaakceptować.

*„Tymczasem polityczna istota rzeczy* — pisze Jan Rem — *nie na tym polega że ten akurat hokus-pokus, który obiecywała „Solidarność" był oszustwem i iluzją.*

## JĄDRO SPRAWY POLSKIEJ

*w tym, że żadnego innego, jakiegoś odwrotnego hokus-pokus także być nie może. Polska w ogóle nie jest cylindrem, z którego prestidigitator jakiejkolwiek barwy zdoła wyciągnąć za uszy królika nadzianego szynką i wolnością, samochodami i równością oraz całą pozostałą pełnią szczęścia".*

Rzec by się chciało — święte słowa, panie dziejski... Ale co z tego, jak się rzecz całą „weźmie na rozum", to widać że niezupełnie jest tak, jak sądzi Jan Rem — wokół i nad Polską sami Polacy (żeby nie było, że tylko Reagan) rozmaitych przekonań wyczyniali i nadal czynią nieustanne gusła. Mało kto po prostu porządnie pracuje — a mimo to jakoś powolutku wszystko idzie do przodu. Widomy to znak ingerencji sił ponadzmysłowych, czy nie? Czasami boję się, że tak...

Natomiast niewątpliwie ingerencji takowych sił należy dopatrywać się w rozkwitającej dyskusji o tzw. inteligencji. Dyskutanci reagują jakby byli pod wpływem bioprądów. Oto np. Piotr Andrzejewski w poznańskim tygodniku „Wprost" (nr 45 — 04.11. 84) zastanawia się, czy są, a jeżeli tak to jakie i czy dadzą się zmierzyć, pożytki z inteligenta.

Pytanie z pozoru jest słuszne —

## CZY INTELIGENT PRZYNOSI KORZYŚCI GOSPODARCE NARODOWEJ

ony też zgoła nie... „Podczas gdy sposób mierzenia wydajności niektórych „produkcyjnych" zawodów wydaje się nie budzić wątpliwości tam, gdzie produkty finalne można zważyć, zmierzyć lub policzyć, dramat zaczyna się, gdy wchodzimy w sferę „nieprodukcyjną" obejmującą wiele zróżnicowanych zawodów, nie pomnażających bezpośrednio dochodu narodowego" — biadolił Piotr Andrzejewski.

Otóż można, wystarczy tylko do rachunku wprowadzić kategorię potrzeby i kategorię interesu społecznego. Obie nie funkcjonują obiektywnie — są po prostu wypadkowymi wielu skomplikowanych wektorów potrzeb i interesów klasowych, grupowych czy nawet indywidualnych. Im większa jest siła artykułowania interesów, tym większa bywa różnica między realnym wkładem w pomnażanie dochodu narodowego a udziałem w jego podziale — na korzyść tego drugiego oczywiście.

TOMASZ SAS

# Minął tydzień

## TRAGICZNE WYDARZENIA W INDIACH

zdominowały codzienny nurt światowego szumu informacyjnego. Śmierć Indiry Gandhi w wyniku zamachu dokonanego przez pochodzących z narodowości sikhów członków ochrony osobistej pani premier, ma rozliczne konsekwencje wewnętrzne i międzynarodowe, których rozważaniem zajmują się teraz politycy i komentatorzy.

Zamach jest prawdopodobnie efektem rodzinno-plemiennego spisku wśród fanatycznego odłamu sikhów, dążących do secesji ze wspólnoty narodowościowej tworzącej Indie. Ostatnie napięcia i krwawe starcia w Pendżabie (m. in. wokół sikhijskiego sanktuarium w Amritsarze) były najsilniejsze wśród rozmaitych tendencji odśrodkowych trapiących Indie od chwili powstania tego państwa. Niewykluczone, że śmierć Indiry Gandhi — „Matki Indii" — może być momentem zwrotnym w historii nie tylko tych walk wewnętrznych o utrzymanie jedności, ale i całego kraju. Niezwykłe zadanie czeka zatem Rajiva Gandhiego, syna Indiry Gandhi i nowego premiera Indii (swoją drogą to już trzecie pokolenie dynastii premierów tej największej demokracji świata — to jeden z paradoksów subkontynentu...). Niezwykłe tym bardziej, iż obok niezmierzonych problemów wewnętrznych pozostaje mu w spadku nakaz utrzymania konsekwentnej linii polityki międzynarodowej Indii — jednego z liderów ruchu niezaangażowanych.

## W WARSZAWIE

3 listopada odbył się — w kościele św. Stanisława Kostki — pogrzeb księdza Jerzego Popiełuszki. W homilii wygłoszonej nad trumną zamordowanego kapłana prymas Polski kardynał Józef Glemp wezwał po raz wtóry do zachowania spokoju społecznego, przebaczenia dla sprawców i do niedyskontowania tego tragicznego acz odosobnionego aktu terroru do celów politycznych.

## KOMITET DZIELNICOWY PZPR W MINISTERSTWIE SPRAW WEWNĘTRZNYCH

— jak donosi „Trybuna Ludu" — podjął uchwałę określającą stanowisko tej organizacji wobec terrorystycznego aktu porwania księdza Jerzego Popiełuszki. Stwierdzono, że akt ten był zamachem na proces normalizacji społeczno-politycznej w kraju, zaapelowano jednocześnie do wszystkich funkcjonariuszy MSW o pomoc i aktywne zaangażowanie się w wykrycie ewentualnych inspiratorów. Zaakceptowano stanowisko organizacji partyjnej, która wydaliła sprawców porwania z szeregów PZPR.

## ZMARŁA DOC. DR ANNA RYNKOWSKA

wybitny łódzki historyk i archiwista, autorka jednej z najwspanialszych prac historycznych o naszym mieście — monografii „Ulica Piotrkowska" i szeregu innych prac historycznych, w tym fundamentalnych dzieł o początkach rozwoju Łodzi i o przemyśle lniarskim.

## OD POCZĄTKU PRZYSZŁEGO ROKU

— jak donosi PAP — obowiązywać będzie w Polsce nowy sposób zapisu dat, wprowadzony do obiegu światowego przez Międzynarodową Organizację Normalizacyjną. Wedle tego systemu rok będziemy zapisywać na początku, potem miesiąc i dzień, a więc odwrotnie niż przywykliśmy do tej pory. Na przykład dzień, w którym to piszę — czwarty listopada 1984 roku ma być zapisany tak: 1984.11.04, albo krócej: 84.11.04. Wszystko dla wygody komputerów. Kiedy zrobimy coś dla ludzi?

## MISS POLONIA

już myślami w londyńskim finale — donosi „Kurier Polski". Panna Madzia Jaworska wybiera się bez tremy, ufna w swą niekłamaną urodę, za to w poczuciu szans gorszych jakby, a to z powodu ubóstwa strojów podobno — różnych tam drobiazgów, jak biżuteria, buty, *kapelusze*, majtki — w tej dziedzinie nie dorównujemy konkurencji, a chodzi przecież o to, by towar ładnie opakować...

## ZNOWU ZDROŻAŁA POCZTA

w zamian obiecując, że będzie normalnie, a już na pewno nie gorzej. Minister łączności twierdzi, że resort pracuje wspaniale. Klienci, że nie. Nikt nie kwapi się do roli arbitra — a może NIK?

## W KRAKOWIE SENSACJA

— słynną (niegdyś także dobrze karmiącą, co niżej podpisany pamięta z własnych doświadczeń) knajpę „Wierzynek" ma, na mocy uchwały rady narodowej, przejąć w administrowanie sam obywatel prezydent miasta Krakowa. Jest to jeden z ciekawszych ujawnionych ostatnio pomysłów na niwie uzdrawiania gastronomii. A może wystarczyłoby postarać się tylko o uczciwego i utalentowanego kuchmistrza? Nie wiem, czy szacowny prezydent krakowski zechce pofatygować się osobiście do układania menu i troski o trzymanie fasonu.

## Z POEZJI OGŁOSZEŃ:

Warzywniczy Zakład Doświadczalny w Skierniewicach oferuje do sprzedaży kapustę o urzekającej nazwie „Kamienna Głowa". Brytyjskie Linie Lotnicze optymistycznie informują, że remont w ich stałej siedzibie potrwa tylko 25 dni; odbędzie się obrona pracy doktorskiej pod tytułem „Symptotyka całek oscylacyjnych zespolonych z fazą typu parabolicznej osobliwości umbilicznej"; mężczyznę prowadzącego samochód przyjmą do opieki nad dworkiem i ogrodem w Warszawie — pewnie z tytułem marszałka albo najmarniej burgrabiego...

VICESEKATOR

## *Dokończenie ze strony 1*

Budzyński z oddziałem zbiorczym 55 pp musiał w drodze z koszar stoczyć kilka potyczek zanim osiągnął Plac Skobielewa i wzmocnił siły dla obrony rejonu, gdzie znajdowała się Rada i KWR. Nad ranem przybyła bateria artylerii i kilka szturmowych grup Gwardii Czerwonej. Załoga Placu Skobielewa rozporządzała więc znaczną siłą.

Na Kremlu Berzin nie wiedział, co się dzieje w mieście, gdyż telefony zostały wyłączone. Rano 28 października (10.XI.) eserowcy rozpoczęli agitację wśród załogi Kremla, twierdząc, że KWR został rozwiązany i powstał „zarząd koalicyjny" jako wynik porozumienia wszystkich partii demokratycznych. Zdezorientowany Berzin, biorąc pod uwagę fakt, że ustała w mieście strzelanina, wydał rozkaz otworzenia bramy.

Pod osłoną 2 samochodów pancernych junkrzy zajęli Kreml dokonując bestialskiej rozprawy nad żołnierzami 56 pp, którzy pełnili służbę wartowniczą. Kreml jako ważny punkt strategiczny znalazł się w rękach kontrrewolucjonistów.

W ciągu dnia walki rozgorzały w wielu punktach miasta, Gwardia Czerwona i rewolucyjni żołnierze nacierali z przedmieść w kierunku ogólnym: Kreml i Plac Skobielewa. Natomiast junkrzy, oddziały oficerskie, nieco studentów starali się opanować Plac Skobielewa, dworce kolejowe, a równocześnie odpierać natarcia „czerwonych".

Łączność między KWR a dzielnicami była utrudniona, zaś łącznicy przemykali się między grupami białych i dostarczali meldunki i rozkazy z dużym opóźnieniem.

29 października (11.XI.) oddziały rewolucyjne przeszły do zdecydowanej ofensywy. Zgrupowanie Sablina przy wsparciu artylerii zdobyło gmach milicji miejskiej. Inne zgrupowania oczyściły rejon przylegający do gmachu Rady. Wieczorem został zajęty w walce urząd telegraficzny.

Tramwajarze Moskwy przystosowali do prowadzenia walk platformy towarowe. Ułożono na nich worki z piaskiem i obłożono je grubą blachą. Zaimprowizowane „pancerki" kierowano w szczególnie trudne rejony walk. Tramwajarze w znacznej mierze przejęli na siebie dowożenie amunicji i żywności oraz ewakuację rannych.

Moskiewski KWR zwrócił się do Rad pobliskich miast o nadsyłanie pomocy. W ciągu 29 października przybyły oddziały zbiorcze Gwardii Czerwonej z Sierpuchowa, Tuły i Pawłowa. Oprócz posiłków z zewnątrz oddziały rewolucyjne powiększały się o nowo formowane grupy Gwardii i grupy żołnierzy, natomiast siły Rjabcewa wykruszały się, a transporty wysyłane z frontu zostały zatrzymane w drodze (rozebrano tory i wzniesiono zawały).

W momencie, gdy zwycięstwo nad siłami kontrrewolucji było już sprawą godzin, moskiewskie biuro pracowników kolejowych (tzw. Wikżel) wystąpiło z inicjatywą rokowań. KWR zgodził się na jednodniowy rozejm.

Wiadomość o rozejmie wywołała ostrą krytykę ze strony dzielnicowych KWR i lokalnych sztabów Gwardii Czerwonej. Pomimo rozejmu niezbyt intensywne, lokalne walki trwały nadal. 30 października (12.XI.) załoga Aleksiejewskiej Szkoły Oficerskiej złożyła broń.

Od rana 30 października w gmachu Dworca Mikołajewskiego prowadzono rokowania. Delegaci Wikżela występowali w roli rozjemców. Domagali się oni równoczesnego rozwiązania KWR i Komitetu Bezpieczeństwa oraz powołania koalicyjnego organu władzy, przekreślając tym samym treść naczelnego hasła rewolucji: „cała władza w ręce rad".

Dojście do porozumienia okazało się niemożliwe i KWR przerwał obrady uznając je za bezowocne. Równocześnie wydano rozkaz, by nad ranem 31 października (13.XI.) dzielnicowe KWR wznowiły walki.

W Piotrogrodzie z niepokojem śledzono rozwój wydarzeń w Moskwie. Opanowanie Kremla przez kontrrewolucję przyczyniło się do wyrobienia przesadnego wyobrażenia o siłach Rjabcewa. Nad ranem 30 października wysłano na pomoc Moskwie oddział zbiorczy, złożony z marynarzy (500—600 osób). Następnego dnia wzięli oni udział w walkach koło hotelu „Metropol" i przy zdobywaniu siedziby Moskiewskiego Okręgu Wojskowego.

# Moskiewski Październik

31 października (13.XI) wojska rewolucyjne przeszły do ostatecznej ofensywy. Rozsypały się grupy zbrojne Komitetu Bezpieczeństwa, a junkrzy utrzymywali tylko Kreml oraz kilka małych rejonów w obrębie miasta.

Tegoż dnia KWR powziął decyzję użycia artylerii przeciwko umocnionym punktom kontrrewolucjonistów. Ostrzeliwano Aleksandrowską Szkołę Oficerską, hotel „Metropol", sztab Moskiewskiego Okręgu Wojskowego. Wieczorem 31 października junkrzy utrzymywali jeszcze Kreml i niewielkie rejony w pobliżu Teatru Wielkiego, Mostu Dorogomiłowskiego, Bramy Nikitskiej oraz sztabu okręgu.

1 listopada (14.XI.) sytuacja wojsk kontrrewolucyjnych była już całkowicie beznadziejna. Grupowały się one wokół Kremla, hotelu „Metropol", na Arbacie i w rejonie sztabu okręgu. Nadzieja na otrzymanie posiłków całkowicie zawiodła. W tej sytuacji pozostawała jako droga wyjścia jedynie kapitulacja. KWR otrzymywał coraz to nowe meldunki o wysyłaniu do Moskwy oddziałów zbiorczych Gwardii Czerwonej z Iwanowo-Wozniesieńska, Kaługi, Włodzimierza i Wiaźmy.

Przed wieczorem 1 listopada delegaci drobnych grupek socjalistycznych (tzw. socjaliści internacjonaliści, zjednoczeniowcy, niezależni) w porozumieniu z mieńszewikami próbowali znowu nawiązać rokowania. Jednakże KWR wyraził zgodę jedynie na omówienie warunków kapitulacji.

2 listopada (15.XI.) około godziny 6 przewodniczący Komitetu Bezpieczeństwa Rudniew przesłał do KWR pismo zawiadamiające, że:

„Komitet Bezpieczeństwa w obecnych warunkach uważa za konieczne przerwanie w Moskwie walki zbrojnej przeciwko systemowi, który wprowadza KWR..., natomiast przechodzi na tory walki politycznej".

W zakończeniu pisma Rudniew prosił o podanie „na jakich konkretnych warunkach KWR gotów jest przerwać działania wojenne".

Dla wytargowania maksymalnie łagodnych warunków kapitulacji do KWR i Rady Moskiewskiej udała się delegacja przedstawicieli „partii socjalistycznych" (mieńszewicy, bundowcy, zjednoczeniowcy, socjaliści-internacjonaliści). Opracowanie aktu kapitulacji przeciągnęło się do godziny 17.00.

Reprezentanci KWR Piotr Smidowicz i Władimir Smirnow poszli na daleko idące ustępstwa i post factum spotkali się z zarzutami odstępstwa od instrukcji przekazanej im przez KWR. Na podstawie podpisanego porozumienia Komitet Bezpieczeństwa uległ likwidacji, a jego siły zbrojne miały złożyć broń. Pewna ilość broni jednakże miała pozostać w szkołach oficerskich dla prowadzenia zajęć. Jeńcy obu stron uzyskiwali wolność, a junkrom i oficerom gwarantowano nietykalność i swobodę osobistą. 3 listopada w obecności komisarzy wyznaczonych przez KWR odbyło się składanie broni.

W czasie zaimprowizowanych wieców Gwardia Czerwona i żołnierze okazywali niezadowolenie z warunków kapitulacji, a dzielnicowe i zakładowe KWR złożyły protesty w Moskiewskiej Radzie, akcentując, że ich żądanie aresztowania przywódców Komitetu Bezpieczeństwa nie zostało uwzględnione.

Dla uspokojenia robotników i żołnierzy KWR wydał odezwę. „Po pięciodniowych krwawych walkach wrogowie narodu występujący przeciwko rewolucji zostali pokonani. Zwycięstwo uzyskaliśmy dzięki poświęceniu i odwadze żołnierzy i robotników. W Moskwie umocniła się władza ludowa — władza Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich"...

4 listopada (17.XI.) organ moskiewskich bolszewików, gazeta „Socjał-Demokrat" zamieściła manifest KWR do obywateli Moskwy. Podkreślono w nim, że dzięki bohaterstwu robotników i żołnierzy po raz pierwszy w historii władza przeszła do rąk ludzi pracy, a „uzbrojony naród stoi dziś na straży zwycięskiej rewolucji". Złożono hołd poległym w walce. Ciała większości poległych złożono przy ścianie kremlowskiej we wspólnym grobie i pożegnano salwą honorową.

Z chwilą zakończenia walk i rozbrojenia oddziałów kontrrewolucji dalsze istnienie KWR okazywało się zbędne. Pełnię władzy wykonywała Rada Moskiewska, która powołała Komisariat Wojskowy. Jego kierownikiem został Aleksander Murałow, działacz bolszewicki jeszcze z okresu rewolucji 1905 roku. 7 listopada (20.XI.) na uroczystym posiedzeniu Rady KWR został rozwiązany.

Pierwszy etap rewolucji — obalenie władzy burżuazji został zakończony. Nie oznaczało to, że siły kontrrewolucyjne zrezygnowały z walki. Rosję Radziecką czekał drugi etap rewolucji — wojna domowa. W trakcie walk 1918—1920 Moskwa i Piotrogród pozostaną głównymi centrami organizacyjnymi walk, przygotowującymi ostateczne zwycięstwo, triumf leninowskiej myśli i proletariackiego bohaterstwa.

**WŁADYSŁAW BORTNOWSKI**

# Rewolucyjny Pułk Warszawy

Polski Rewolucyjny Pułk Warszawy był pierwszą większą jednostką bojową, utworzoną z samych Polaków, która w dniach Rewolucji Październikowej opowiedziała się po stronie młodej republiki radzieckiej.

## NAJPIERW BYŁ BIEŁGOROD

*Pułk Bielgorodzki był największym skupiskiem żołnierzy polskich, odbywających czynną służbę w armii carskiej. Liczył ponad 20 tys. ludzi.*

Bielgorod, niewielkie, liczące kilkanaście tysięcy mieszkańców miasto powiatowe, położone na północ od Charkowa, na Ukrainie, malowniczo rozrzucone w dolinie wśród wysokich wapiennych i kredowych wzgórz, w styczniu 1917 r. stał się widownią niezwykłego wydarzenia.

Uczestnik Bielgorodzkiego Pułku Rewolucyjnego Stanisław Wacek tak opisuje pamiętne owe dni:

*„Bielgorod wypełnił się po brzegi armią polską Polscy żołnierze, urzędnicy, wojskowi i oficerowie, specjalne polskie mundury, wypustki amarantowe, małe czapki z amarantowym otokiem, białe naramienniki oficerów. Wszędzie rozbrzmiewa mowa polska. W mieście na głównej ulicy „Warszawska" kawiarnia, wędliniarnia itp. Słowem czysto polskie miasto".*

W lutym 1917 r. dochodzi do Bielgorodu wieść o obaleniu znienawidzonej władzy carskiej Do miasta przybywa delegacja Piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Na ulicach odbywa się wielka manifestacja ludności i wojska. Obok czerwonych widnieją biało-czerwone sztandary polskie. Żołnierze polscy uwalniają więźniów politycznych. W kompaniach pułkowych odbywają się wiece. Powstają pierwsze Żołnierskie Rady Robotnicze. Wchodzą do nich: Stanisław Dziatkiewicz, Antoni Cichoński, Marian Lewandowski, Bronisław Gawryś, Kazimierz Pyś i inni. Nieco później utworzony zostaje Komitet Pułkowy, sprawujący władzę w bielgorodzkiej jednostce.

W październiku 1917 r. nadeszły z Piotrogrodu wiadomości o pierwszych zwycięstwach rewolucji. W gmachu Rady zebrali się przedstawiciele miasta i okolicy. Jest druga po północy. Sala wypełniona po brzegi. Ogłoszone zostają odezwy do ludności i uchwały II Zjazdu Rad. Całą władzę w terenie przejmują Rady Delegatów Robotniczych, Żołnierskich i Chłopskich. One mają zapewnić ład i porządek.

Łódzki nauczyciel Piotr Borewicz z 600 bielgorodczykami — kawalerzystami utworzył pierwszy Moskiewski Oddział Partyzancki. Oddział ten przez dłuższy czas walczył przeciwko Niemcom na Podolu, zagradzając im drogę w głąb urodzajnych terenów Ukrainy.

## ZMAGANIA Z BIAŁOGWARDZISTAMI

6 grudnia 1917 r. w godzinach wieczornych nadeszła do Bielgorodu wiadomość o skoncentrowaniu przez Korniłowa wojsk w dorzeczu Donu. Przy pomocy lekkiej kawalerii, jaką stanowili dońscy kozacy szybkim marszem zamierzał on przejść przez europejską Rosję i objąć władzę.

Tej samej nocy odbyło się posiedzenie Komitetu Pułkowego, na którym zapadła jednomyślna decyzja: Polski Bielgorodzki Pułk Rewolucyjny nie dopuści do przemarszu korniłowców przez Bielgorod.

Pułkowi delegaci udali się pośpiesznym pociągiem do Moskwy i 8 grudnia 1917 r. polscy żołnierze otrzymali ręczne i maszynowe karabiny oraz granaty i amunicję. Dla wzmocnienia polskich oddziałów zjechał do Bielgorodu dobrze wyposażony oddział rosyjskich marynarzy, którego dowództwo objęło komendę nad całością operacji wojennych przeciwko białogwardzistom.

*Pierwsza wystąpiła do walki trzecia kompania bielgorodczyków.* Rozpoczęły się krwawe i zacięte walki w rejonach Tamarówki i Sażnego. Inne kompanie, a każda z nich liczyła około tysiąca żołnierzy, występowały pod Krapiwnoje i Dragunskoje. Jeszcze inne uczestniczyły w bojach i potyczkach pod Olchowatką, Szarówką i Rżawą. Największy sukces odnieśli bielgorodczycy w bitwie pod Dragunskoje, gdzie w pogoni za rozbitym nieprzyjacielem zdobyto wiele sprzętu i tabory.

*„Nie przyszło mi do głowy* — czytamy we wspomnieniach sekretarza organizacji partyjnej pułku bielgorodzkiego Stanisława Zielińskiego, *— że po wielu latach wypadnie mi opowiadać wydarzenia bielgorodzkie. Nie chodziłem do poszczególnych kompanii, by notować przebieg działań każdego z oddziałów. A szkoda. Nie mogę na przykład opisać teraz, jak zginął chorąży Rokicki i jak wyróżnił się nauczyciel łódzki, Piotr Borewicz, późniejszy bohater Związku Radzieckiego".*

Od samego początku operacji wojennych utarł się zwyczaj, że każdy oddział bielgorodzki udający się na front, zatrzymywał się przed lokalem Rady Delegatów Robotniczych, z balkonu którego żegnali go w serdecznych słowach członkowie Rady i przedstawiciele partii bolszewickiej.

W drugim czy trzecim dniu działań wojennych, stanęła pod balkonem pierwsza kompania. Kilka gorących słów do żołnierzy przemówił dowódca jednostki Stanisław Zieliński. Po pożegnaniu kompania przemaszerowała na dworzec, załadowała się do przygotowanego pociągu i pojechała pod stacje kolejowe Wołczańsk i Kupiańsk. Tu przygotowała zasadzki w polu i w nocy zlikwidowała kilka pociągów z wojskami korniłowskimi.

Polski Rewolucyjny Pułk ścigał białogwardyjskie pułki, otaczał je i likwidował.

Jeden z komunikatów sztabu Armii Czerwonej zawierał taką ocenę:

*„Wojska nasze, złożone z marynarzy bałtyckich i czarnomorskich oraz dzielnego Legionu Polskiego, w ciągu 8-dniowych zażartych walk ze znacznie liczniejszymi siłami nieprzyjaciela, rozbiły główne jego siły i zmusiły je do odwrotu".*

## CZERWONY PUŁK REWOLUCYJNY WARSZAWY

W lutym 1918 r. bielgorodzki pułk został przekształcony w Czerwony Pułk Rewolucyjny Warszawy. Od tego czasu jednostka ta stale przebywała w Moskwie.

*„Lato 1918 r. objitowało w burze* — wspomina żona ówczesnego komisarza wojennego pułku Helena Bobińska w „Trybunie Komunistycznej" z lat 1922—1923. — *Mieszkaliśmy wówczas na Wybrzeżu Sofijskim tuż obok Kamiennego Mostu", w byłym „Instytucie Szlachetnie Urodzonych Panien". Okna naszego mieszkania wychodziły na rzekę Moskwę. Po drugiej stronie rzeki, trochę na ukos, wznosiły się stare mury Kremla. Z tamtego lata pozostały mi w pamięci strzeliste wieże Kremla na tle czarnych chmur w zygzakach błyskawic i huku piorunów. Jako gospodyni miałam niełatwe zadanie aprowizacji, zwłaszcza że na śniadaniu bywali zwykle jeszcze inni towarzysze z pułku. Punktualnie o 8 rano stawały już przed domem rosłe siwki, zaprzężone do staroświeckiego kocza. Bobiński pokpiwał, że tym koczem jeździł jeszcze Radziwiłł „Panie Kochanku".*

*Za chwilę w korytarzu zjawiał się sztab warszawskiego pułku: dowódca Stefan Żbikowski, Ścibior i Pochopień oraz jego najbliżsi pomocnicy.*

*— Chyba dasz nam coś do zjedzenia? — niezbyt pewnym głosem pytał komisarz wojenny.*

*Potem zasiadali przy długim stole w obszernej kuchni, przemianowanej na jadalny pokój. Przychodził Rudzyński i Kroszka. Zapach wspaniałej mokki (sprzedawano ją wówczas na Arbacie w prywatnym sklepie) i biały obrus, stanowiły jedyny komfort w naszej jadalni. Gryczana albo jaglana kasza zastępowała chleb. Zapach dobrej kawy dziś jeszcze przenosi mnie do tamtych niezapomnianych dni".*

Bobiński całe dnie spędzał w koszarach na Sierpuchówce. Godzinami gotów był gadać z żołnierzami, przysiadłszy na jakiejś belce. Wkładał w te rozmowy całą swą fanatyczną wiarę w rewolucję i tęsknotę do kraju. Te same uczucia ciągnęły do pułku Próchniaka, Budzyńskiego, Łągwę i Bortnowskiego. Częstym gościem bywał też Julian Marchlewski.

Niektóre oddziały warszawskiego pułku odznaczyły się już w walce podczas powstania lewicowych eserowców w Jarosławiu. W końcu lipca mówiło się powszechnie, że lada dzień Warszawski Pułk wyruszy do boju z bandami kontrrewolucyjnych oddziałów partyzanckich, działających na Kaukazie i na Krymie.

## POŻEGNALNY WIEC

2 sierpnia 1918 r. w Instytucie Politechnicznym na Zamoskworieczu w Moskwie odbył się pożegnalny wiec polskiej jednostki.

*„Wiec wyznaczono na godzinę 11* — wspomina Helena Bobińska. — *Mąż obiecał wstąpić po mnie.*

*O godzinie 10 rozpętała się kolejna tego lata burza. Ubrana już do drogi stałam przy oknie, markotnie obserwując strugi deszczu spływające po szybach.*

*Wpadł Stasiek.*

*— Gotowa jesteś? Naciągnij kaptur, bo zmokniesz. Musimy jeszcze jechać na Kreml po Marchlewskiego, a robi się późno.*

*Kiedyśmy już wleźli pod ociekającą deszczem budę kocza i mokre siwki ruszyły żwawym kłusem, Bobiński szepnął mi, że na wiecu będzie Lenin. Teraz zrozumiałam przyczynę tego podniecenia. Wiedziałam, że było to gorące pragnienie wszystkich Polaków. Ale Biuro Polityczne robiło trudności. W owym czasie nie pozwalano już na częste wyjazdy Lenina. Bano się o niego.*

*— Zapewniłem, że ręczę za jego bezpieczeństwo. Marchlewski mnie poparł. To jest duże zwycięstwo. Ale robi się późno — zdenerwował się znowu.*

*Były jeszcze jakieś formalności przed bramą Kremla. Później czekaliśmy na Marchlewskiego. O wpół do 11 minęliśmy Kamienny Most. Burza już przeszła i ustawał deszcz...*

*Lenina zastaliśmy w gabinecie obok wielkiej sali. Dopiero co przyjechał i rozmawiał, otoczony całą grupą towarzyszy. Był tam Żbikowski, Budzyński, Próchniak i Ścibior. Dołączyliśmy się do nich. Marchlewski skorzystał z chwili, kiedy Lenin zdejmował palto, żeby mu coś opowiedzieć. Lenin roześmiał się głośno.*

*Ogromna sala wypełniona była po brzegi. Wejście Lenina przywitał grzmot oklasków. Orkiestra zagrała „Międzynarodówkę". Sztandary zalśniły czerwienią i złotem.*

*Od drzwi do estrady ułani polscy utworzyli szpaler. Zaledwie Lenin zrobił pierwszy krok, błysnęły ostrza szabel, krzyżując się nad jego głową. Lenin drgnął, nieznacznie zerknął ku górze — i spokojnie poszedł dalej.*

*Doszedłszy do estrady odwrócił się i powiedział z żartobliwym wyrzutem:*

*— Ech, towariszczi Paliaki, biez efiekta nikak nie możetie...*

*Uśmiech przeleciał po setkach młodych twarzy. Szmer zachwytu, zdziwienia, radości wybuchnął w żywiołowym okrzyku:*

*— Niech żyje Lenin!*

*Kiedy wszedł na trybunę i zaczął mówić, był to znowu inny Lenin.*

*Spojrzenie wąskich, nieco skośnych oczu stało się ostre, przenikające, ruchy sprężyste i młode.*

*Słowa biły celnie, jak pociski. Mówił o końcu wojny, o zwycięstwie mas robotniczych...*

*W ogromnej, tłumnej sali nikt już w to zwycięstwo nie wątpił. Bobiński wrócił późno wieczorem, ochrypły od gadania i wzruszony pożegnaniem z Warszawskim Pułkiem. Naturalnie odprowadził ich na dworzec i tam jeszcze chodził od wagonu do wagonu.*

*— Gdybyś wiedziała, jak mi chłopcy dziękowali za to spotkanie z Leninem. Nie mogli się uspokoić. Bez końca powtarzali jego słowa".*

Polski Pułk Rewolucyjny Warszawy chlubnie zapisał się w historii Wielkiej Rewolucji Październikowej. W krytycznym czasie, gdy interwenci razem z białogwardzistami ze wszystkich stron napierali na słabo jeszcze uzbrojone i organizowane oddziały rewolucyjne Armii Czerwonej, polska jednostka bojowa pomagała im bić wroga i utrwalać na zdobytych i opanowanych ziemiach władzę radziecką.

# Kultura i pieniądze

**opracował Andrzej Karolczak**

**Prezentacja wpływów i wydatków na kulturę, którą przedstawiamy Czytelnikom, ogranicza się do działalności jednostek podległych prezydentowi m. Łodzi. Ogranicza się z konieczności — nikt na szczeblu województwa nie bilansuje pieniędzy wydawanych przez zakłady pracy z funduszów socjalnych na potrzeby kulturalne załóg. Wydawnictwa, zarówno prasowe, jak i książkowe, prowadzą działalność nie ograniczającą się do jednego województwa. Podobnie przedsiębiorstwa kolportażu oraz sieć kin państwowych.**

**Tylko tym kanałem — poprzez urzędy administracji państwowej i ich wyspecjalizowane wydziały — spływają do placówek kulturalnych pieniądze z Funduszu Rozwoju Kultury. Ile jest tych pieniędzy? Tych, którymi dysponuje Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi? W liczbach bezwzględnych — dużo. W sumach, którymi dysponują placówki — niepokojąco mało... Biblioteka rejonowa wydaje niespełna 140 tys. zł na zakup książek... W rozliczeniu na głowę mieszkańca — wręcz śmiesznie mało, nieco więcej niż trzy tysiące rocznie. Za to w dopłacie do biletu teatralnego — sumy zaskakująco wysokie. W Teatrze im. Stefana Jaracza blisko osiemset złotych. Gwoli jasności: jest to dopłata do sprzedanego biletu, do jednego, żywego widza, nie do teatralnego krzesła. A bilet w kasie kosztuje średnio sześćdziesiąt złotych. Taniej niż do kina premierowego!**

**Ilu ludzi i jak wykorzystuje pieniądze, które wszyscy wspólnie wypracowujemy? Nie ma na to odpowiedzi w statystykach. Pomijając właśnie widzów teatralnych czy słuchaczy filharmonii. Teatroman wykorzystuje swój udział w kulturalnym budżecie miasta z nawiązką: wystarczy, że pójdzie do Teatru im. Stefana Jaracza pięć razy w roku i już przekroczy przysługujący mu limit.**

**Ilu nie wykorzystuje tych pieniędzy wcale?**

**Ilu, spośród stu pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców Widzewa, którzy odwiedzili w bieżącym roku Dzielnicowy Dom Kultury, widziało występ teatru „Słup", a ilu tylko tańczyło na dyskotece?**

**Musi niepokoić taki stan, kiedy praktycznie nie przewiduje się wydatków na inwestycje. Wiadomo, że sytuacja gospodarcza nie sprzyja inwestycjom nieprodukcyjnym. Zresztą, nawet produkcyjnym też nie sprzyja.**

**Nie znalazłem w przedstawionych mi w Wydziale Kultury danych niczego, co dotyczyłoby Filharmonii Łódzkiej. Wiadomo, że techniczna śmierć pomieszczeń przy ul. G. Narutowicza zmusi naszych symfoników do poszukania sobie tymczasowej siedziby. Podobno władze są zdecydowane dokonać przeniesienia koncertów do sali kina „Bałtyk". Kina bardzo dochodowego. Kto i ile będzie za to płacił? Za kosztowną adaptację „Bałtyku", za czas niewykorzystany przez kino na jego wysoce opłacalną działalność? Czy wykorzystanie dobrej akustycznie, nowoczesnej sali Liceum Muzycznego przy Sosnowej nie byłoby dużo, dużo rozsądniejsze i znacznie tańsze?**

**Wreszcie kwestie najważniejsze. Czy pieniądze społeczne przeznaczone na kulturę, na działalność kulturalną i artystyczną, będą zużytkowane zgodnie z potrzebami i aspiracjami mieszkańców miasta i województwa? Kto te potrzeby bada i formułuje je? Czy plany pracy placówek kulturalnych uwzględniają te potrzeby?**

**To nie są łatwe pytania. Stawiamy je już czterdzieści lat. W dobie powszechnych oszczędności i zaciskania pasa trzeba się wreszcie zdobyć na jakieś odpowiedzi...**

**Caeterum censeo, że budowa nowego gmachu dla Filharmonii im. Artura Rubinsteina winna rozpocząć się jak najrychlej!**

**A.K.**

## PROJEKT PLANU NA ROK 1985

**Wojewódzki Fundusz Rozwoju Kultury — 1 891 648 tys. zł** (przyrost — 224 116 tys. zł)

Dotacja z Centralnego Funduszu Rozwoju Kultury — 1 873 406 tys. zł (przyrost — 352 806 tys. zł)

**Uwaga** Przyrost dotacji z Centralnego Funduszu Rozwoju Kultury wynosi, w porównaniu z rokiem bieżącym, 9,8 proc. Jest to przyrost mniejszy, niż stopa inflacji... („Polityka" nr 40)

Na co zostaną zużyte te pieniądze? Oto niektóre tylko przedsięwzięcia:

— Powstanie nowa biblioteka (na Retkini);

— dwie biblioteki uzyskają nowe pomieszczenia;

W wyniku tych przedsięwzięć powierzchnia łączna bibliotek łódzkich zwiększy się o 1000 m kw.

— Zostanie wykonany remont gmachu ŁDK. Powierzchnia Łódzkiego Domu Kultury powiększy się znacznie. Z 5 396 m kw. do 7 670 m.

— Powstanie Muzeum Prasy i Literatury (Pl. Wolności) oraz Muzeum Kinematografii.

— Zostanie oddana do użytku połowa zespołu Pałacowego Herbsta (ul. Przędzalniana). Będzie to pomieszczenie muzeum wnętrz.

— Z Centralnego Funduszu Rozwoju Kultury biblioteki otrzymają ogółem 25 mln zł z tego 10 mln zł na zakup książek.

Biuro Wystaw Artystycznych dostanie na zakup dzieł sztuki 2 mln zł.

Domy i ośrodki kultury otrzymają na działalność merytoryczną 14 milionów zł.

*Foto: J. Mendychowski*

## BAZA

W roku 1984 przybyło 7 bibliotek. Stan bibliotek — 166. Przybyło 5 domów kultury i Centrum Informacji Kulturalnej. Działa 13 muzeów. Biuro Wystaw Artystycznych ma galerię i cztery salony wystawowe.

Teatry łódzkie mają łącznie 5.121 miejsc. Dają 47 premier rocznie.

## DOCHODY

Planowane dochody na rok 1984: przedsiębiorstwa (teatry, filharmonia itp.) osiągną wpływy w wysokości 246.500 tys. zł; jednostki organizacyjne (kluby, stowarzyszenia itd.) — 32.780 tys. złotych.

Wpływy bezpośrednie na Wojewódzki Fundusz Rozwoju Kultury (darowizny itp.) osiągną na koniec roku 1.000 tys. zł.

### TEATR im. STEFANA JARACZA

Dotacja w roku 1984 — 110 milionów zł.
Działalność artystyczna (honoraria, usługi materialne i niematerialne itp.) kosztuje w roku bieżącym 19.100 tys. zł.
Dopłata do każdego widza — 786 zł 34 gr.
Dopłata do każdego spektaklu — 209.319 zł.
Wpływy — 10.200 tys. zł.

### DZIELNICOWY DOM KULTURY — WIDZEW

Budżet na rok 1984 — 23 miliony zł.
Działalność merytoryczna (honoraria itp.) — 7 mln zł.
Wpływy własne — 3 miliony zł (!).
Stałych członków i uczestników zespołów, kół zainteresowań itp. — 850 osób. W ciągu roku 150 tys. widzów na imprezach organizowanych w dzielnicy.
Z wyliczenia wynika, że do każdej wizyty w DK uczestnika imprezy i widza dopłacono 96 zł.

### BIBLIOTEKA REJONOWA NR 8 DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Wydatki na zakup książek, czasopism itd. w roku 1983 — 138 tys. zł. (Inne wydatki biblioteki rozliczane są na szczeblu miasta, dzielnicy).

# Minisonda

Budżet Wydziału Kultury Urzędu Miasta Łodzi składa się z Wojewódzkiego Funduszu Rozwoju Kultury, który wynosi 1 891 648 tysięcy zł oraz z dotacji Cenralnego Funduszu Rozwoju Kultury, która zawiera się w kwocie 1 873 406 tys. zł. (Wg „Polityki" nr 40 z 5 października 1984 suma ta wynosi 1 778 mln zł). Jak by nie liczyć, na jednego mieszkańca kwota, którą w przyszłym roku wyda Wydział, będzie większa niż trzy tysiące zł. Czy to dużo, czy mało? Na co należy przeznaczyć te pieniądze? Oto wynik błyskawicznego minisondażu, który przeprowadziłem wśród kilkunastu osób. Większość — jak to określa się w ankietach socjologicznych — „nie miała zdania".

Resztę odpowiedzi przytaczam in extenso. Pytanie brzmiało:

**— Na co Pan (Pani) chciałby przeznaczyć przypadające na Pana (Panią) pieniądze z funduszów Rozwoju Kultury?**

**Krystyna Piotrowska**, bibliotekarka: — W całości na choć jedną impreze biblioteczna dla dzieci. Obserwuję, jak po każdej takiej imprezie, wystawce, spotkaniu, odczycie, wzrasta ilość wypożyczeń wśród najmłodszych czytelników.

**Sabina Nowicka**, dyrektor administracyjny Teatru im. Jaracza w Łodzi: — Na dofinansowanie teatrów! No, jeszcze na zakup dzieł sztuki do muzeów...

**Teresa Czyszowska**, doktor wychowania fizycznego: — Jednak na dopłaty do biletów teatralnych. Kiedy moja czteroosobowa rodzina wybiera się do Wielkiego, to kosztuje nas to, jednorazowo pięćset złotych. To poważna pozycja w budżecie rodzinnym.

**Marina Michalak**, fizyk: — Pragnęłabym przeznaczyć te pieniądze na częstsze niż dotąd wizyty zespołów teatralnych z innych miast, głównie z Warszawy i Krakowa, ale nie tylko. Jeszcze na występy mniejszych, np. kabaretowych zespołów z innych ośrodków.

*Foto: W. Pary*

**Elżbieta Wysocka**, pracownik służby zdrowia: — Wprawdzie pojedynczy bilet teatralny, nawet na operę, nie jest aż tak drogi, to jednak chciałabym przeznaczyć pieniądze na dopłatę do biletów na większe imprezy. Na przykład karnet na Spotkania Baletowe jest bardzo dużym wydatkiem.

**Andrzej Jóźwiak**, bezrobotny menadżer estradowy i publicysta: — Upoważniam Wydział Kultury do przeznaczenia całej, przypadającej na mnie kwoty, na honorarium dla autora kolejnego referatu na temat „O dalszy rozkwit kultury w województwie miejskim łódzkim".

**Krzysztof Baś**, dyrektor Dzielnicowego Domu Kultury — Widzew: — Jak najwięcej pieniędzy na edukację kulturalną dzieci i młodzieży. Mamy w tej dziedzinie sporo do nadrobienia. A to byłyby dobrze zainwestowane pieniądze. Tylko w dzieciństwie i w młodości można względnie trwale zaszczepić nawyki uczestnictwa w kulturze.

**Włodzimierz Łuszczykiewicz**, dziennikarz: — *Moje* pieniądze. Wydziału Kultury proponuję zdeponowane niejako w kasie wydać w ten sposób, żebym *mógł* wreszcie zobaczyć *dobry* spektakl teatralny i *dobry* kabaret...

*Foto: W. Pary*

# Oaza

ROMAN KUBIAK

Miały być same plusy. Dla jednej i dla drugiej strony. Dla klientów i dla handlu. Zapachniało Europą, zdecydowano bowiem otworzyć nocne sklepy.

Najgłośniej klaskały panie domu. Troszkę ciszej sklepowy personel, ale prędko skalkulował, że nocna marża wynagrodzi uciążliwości trzeciej zmiany. Umiarkowany bojkot ogłosiła tylko nieliczna grupa społeczna od lat trudniąca się podobną, acz nielegalną i wąsko wyspecjalizowaną formą nocnej sprzedaży artykułów spożywczych. Całodobowy handel detaliczny miał być zamachem na dobrze dotąd prosperujące meliny. Właściwie więc opozycji nie było — jeśli nie liczyć malkontentów snujących niemiłe proroctwa, oskarżających pomysłodawców o zamiar „uspołecznienia" pijackich melin, tudzież przeniesienia nocnego życia pod sklepowe drzwi.

Szybko okazało się, że najbardziej radzi nie zabierali głosu. Cichutko zacierali ręce biegle rachujące zyski z dodatkowych obrotów, uzyskanych dzięki sprytnemu ominięciu antyalkoholowej ustawy. Co tu kryć, nie tylko oni przypuszczali, że największą wygodę będą mieć klienci trunkowi. Tak też się stało.

Zapis niniejszy powstał pewnego wrześniowego dnia przed nocnym sklepem.

Godzina 20.30. Personel sklepu kończy pracę na zmianie dziennej. Kasjerki obliczają utarg. Za pół godziny przystąpi do pracy zmiana nocna. Właśnie trwają przygotowania do obsługi klientów. Ekspedientki gromadzą zestaw najpotrzebniejszych artykułów. Czynią to rutynowo, bez najmniejszych wątpliwości co do ilości i atrakcyjności „nocnego" towaru. Wieloletnie doświadczenie uczy, że trzeba ustawić pod ręką: barykadę skrzyń z najtańszym winem, transporterki wódki, piwa, kartony papierosów i coś na zagrychę — mogą być konserwowe ogórki, krakersy, albo landrynki. Obok, raczej w celach dekoracyjnych, wystawiono niewielki stolik, a na nim: kilka bochenków chleba, makaron, dżem, jabłka. W ponad półtoramilionowym utargu nocnym artykuły te będą partycypowały sumą... 273 zł. Chleb będzie sprzedany w ilości 3 (słownie: trzech) sztuk.

Dominuje towar płynny. Popyt nań uzależniony jest od... kalendarza. Najniższy, pod koniec miesiąca, w dniach poprzedzających wypłatę poborów w największych przedsiębiorstwach. Najwyższy, ostatniego, gdy potężny zastrzyk gotówki zasili kieszenie stałych klientów nocnego sklepu. W tę jedną noc utarg jest rekordowy. Znacznie przewyższa obroty dzienne. Pierwszego, popyt minimalnie słabnie. Drugiego jeszcze bardziej. Taka tendencja utrzymuje się aż do „sądnego" dnia wypłaty. Tylko czasem, kiedy kalendarz nakazuje czcić solenizantów popularnych imion, krzywa malejąca gwałtownie wznosi się ku górze, by równie gwałtownie opaść następnej nocy.

Dziś jest ostatni dzień miesiąca. Zapas towaru większy niż zwykle. Z hurtowni dotarły „posiłki" owocowego napoju, zwanego przez producenta „winem". W pełnej gotowości oczekuje 60 skrzyń tego specjału.

20.50. Ogonek przed sklepem liczy już ponad 40 osób, w tym dwie kobiety. Zniecierpliwiony klient stuka w szybę. Ekspedientka wskazuje na zegarek. O co chodzi? Jeszcze 10 minut. Ogonek rośnie. Teraz już kilka osób bębni palcami w szklaną przegrodę. Ekspedientka wycofuje się na zaplecze.

21.00. Okienko idzie w górę. Nocna sprzedaż rozpoczęta. Pada pierwsze słowo: „wino". Potem następne: „bałtycką, trzy wina, półówkę, dwa wina, wino, wino, trzy wina, dwie połówki..." 16 pozycję w kolejce zajmuje młoda kobieta. Podchodząc do okienka prosi o pół kilograma pomidorów i śmietanę. Kolejkowicze podnoszą zbiorowy protest. Takie sprawunki tamują płynny ruch.

— Jedzenie za dnia trzeba kupować!

— Kto nie ma głowy, niech innym nie zawraca...

Kobieta milczy. Ekspedientka waży pomidory. Panowie nie szczędzą epitetów.

— Jaka gospodarna. Stary pewno czeka na kolację.

— Ślicznotko, tąk na sucho...

Kobieta płaci, wychodzi szybkim krokiem. Przy okienku: „wino, trzy wina..."

21.20. Z tramwaju wysypuje się druga zmiana — z wypłatą. Panowie biorą kurs na nocny sklep. Ogonek wije się i zakręca za rogiem ulicy. Trwają „zrzuty" gotówki i odliczanie zebranych pieniędzy. Najlepiej odliczyć okrągłą sumę, wtedy transakcja idzie piorunem: „wino, bałtycka, cztery wina..."

21.40. Pierwszy szczyt rozładowany. Ogonek przybiera dopuszczalny, kilkunastoosobowy wymiar. Na sklepowych schodach oraz na ławkach bez zakłóceń przebiega konsumpcja trunków. Pije się „pod palec" utrwalając wypitą „działkę" paroma „sztachnięciami" popularnego. Podjeżdżają pierwsze taksówki, przywożą klientów z innych dzielnic. Z tych, które nie mają sklepu dyżurującego nocą. Taksiarze — ludzie dobrze poinformowani — znają na pamięć rozkład dyżurów nocnych placówek. Kurs pod sklep i z powrotem nie należy do rzadkości. Samochody czekają, pasażerowie podchodzą do okienka „Pół litra, dwa winka, wino, wino..."

22.10. Osobnik zamroczony alkoholem pada na trawnik. Troskliwi koledzy przenoszą go na ławkę. Zbiera się konsylium. Medytują:

— Zaraz puści pawia.

— Połóżcie go na boku, to się nie udławi...

Konsumpcja trwa. Niektórzy chwiejnym krokiem przechodzą na drugą stronę ulicy. Nie ma obawy o bezpieczeństwo. Kierowcy znają to miejsce, zwalniają, bacznie obserwują zgromadzonych. Za sklepem parkują taksówki. „Dziki" postój ma większe powodzenie niż oficjalny. Z ciemności bocznej ulicy wyłania się rowerzysta. Kupuje dwie butle karnawałowego. Zatyka je za pas spodni i pedałuje dalej.

22.25. Zamroczony osobnik ciągle leży na ławce. Koledzy przenieśli się na pobliski skwer. Zostały puste butelki po karnawałowym i rozdeptane pety. Idzie kobieta w nocnej koszuli niedbale przysłoniętej podomką. Na głowie ma papiloty, na nogach papucie. Trzyma w dłoni pęk kluczy od mieszkania. Wypatruje swego marnotrawnego małżonka. Niepokój jest podwójny — przecież dziś była wypłata. Logika przywiodła tę kobietę właśnie pod nocny sklep. A może doświadczenie? Z przeciwka drepczą dwie inne, równie zaniepokojone panie. Jedna z nich głośno rozprawia, co też zrobi ze swoim chłopem, jak go dopadnie. Może uda się ocalić marne resztki wypłaty.

— Sąsiadko, nie było tu mojego?

— A jakże. Był przed chwileczką. Udawał, że mnie nie widzi. Polazł z tymi łajzami. Tam uciekli...

Kobieta bez chwili zwłoki rusza tropem męża. Nadzieje na uratowanie zagrożonej wypłaty rosną.

23.10. Już tylko pięć osób w kolejce do okienka. Wzmożony ruch taksówek. Młodzieniec oparty o ścianę drugi raz obszukuje kieszenie swojego odzienia. Daremnie. Brakuje stu złotych. Zatrzymuje przechodniów.

— Pożycz pan stówę.

— Nie mam.

— To kup pan zapalniczkę — tu pokazuje zdezelowaną jednorazówkę.

Nikt nie wykazuje zainteresowania ofertą. Czarna rozpacz

23.25. Przed frontem sklepu zatrzymuje się miejski autobus. Na szybie ma tablicę: „Do zajezdni". Umundurowany pracownik MPK staje na końcu krótkiej kolejki.

— Na służbie, to można bez kolejki — czekający uprzejmie robią miejsce mundurowemu.

— Tylko dwie buteleczki...

Ruch systematycznie słabnie. Już tylko nieliczni klienci stukają w okienko. Ekspedientki mogą odetchnąć. Ale nie za długo, bo trzeba umyć posadzkę w przedsionku, pozmiatać stłuczki, przyjąć dostawę mleka. Trzeba też policzyć odcinki z kartkowej sprzedaży masła, cukru, mąki, ponieważ zmiany dzienne nie zdążyły tego zrobić. Za godzinę można spodziewać się powrotu klientów.

Kobieta za ladą nocnego sklepu otrzymuje 300 złotych dodatku. Dodatek ma zrekompensować trudy trzeciej zmiany i „koncert" niesmacznych dowcipów, czasem wręcz obelg, padających z tamtej strony szyby. Zdarza się, że jakiś podchmielony młodzieniec próbuje przecisnąć się przez wąskie okienko. Bronią się jak mogą — w ostateczności telefonują do komendy. Czy lubią pracę na trzeciej zmianie? Powiedzą: „Handel to handel. W dzień trzeba się więcej narobić. Mamy z tego zarobki większe o ponad dwa tysiące, a to dzisiaj nie jest bez znaczenia".

23.55. Pusto. Tylko staruszek pakuje do brudnego worka pozostawione butelki, Wygrzebuje je z kosza, zza ławki, wynosi z bramy. Sprawdza czy szyjki nie są nadtłuczone. Uszkodzone butelki chowa za parkanem. Te od pepsi-coli sprzedaje na miejscu.

0.05. Na skwerku pod drzewami trwa libacja. Słychać fragmenty dyskusji prowadzonej podniesionym tonem. Ten sam obrazek w bramie, na schodach kamienicy, na placu zabaw, gdzie zebrało się najliczniejsze towarzystwo. Mieszkańcy „obleganych" domów już nie protestują. Na spotkaniu z radnymi domagali się wzmocnienia milicyjnych patroli w tej okolicy.

1.15. Znowu ogonek. Wracają ci, dla których pierwsza porcja trunku to preludium. Dochodzi do ostrych zatargów, bo ekspedientki nie chcą sprzedawać alkoholu osobom w stanie nietrzeźwym. Jakiś zdesperowany pijaczek wali pięścią w szybę. Trzeba sięgnąć po telefon.

3.10. Są dwie kolejki. Jedna po alkohol, druga czeka na ranną dostawę wędlin. Emerytki zbyt głośno komentują postawy „trunkowych", Tamci odwzajemniają się „wiązankami" epitetów. Omal nie dochodzi do rękoczynów.

4.00. Koniec! Przy wejściu służbowym czeka mąż jednej z ekspedientek. Bywało różnie... Lepiej wracać do domu w asyście mężczyzny.

Zniesienie reglamentacji alkoholu, a później otwarcie nocnego sklepu, mocno uszczupliły obroty pobliskiej stacji CPN. Tak, to nie pomyłka. Całodobowe dyżury stacji sprawiły, że wobec pustynnej suszy na rynku i szalonych cen w melinach, ku dystrybutorom zmierzyli desperaci spragnieni procentów — jak wycieńczeni Beduini ku pachnącej wodą oazie. Tam o każdej porze nocy czekały nań „wynalazki" — autowidol, borygo, autosiluks. Na dodatek, ceny „wynalazków" były zawsze niezmiernie atrakcyjne, więc CPN przyjmowała także pieszych klientów. Teraz konkurencja ze strony bełtów, powszechna ich dostępność, wzięły górę.

Kto zaś przypuszcza, że pijackie meliny ustąpiły pod naporem uspołecznionego handlu, ten w wielkim jest błędzie. Owszem, te działające najbliżej sklepu nie prosperują już tak dobrze, jak przed rokiem. Inne długo jeszcze nie ogłoszą plajty, ponieważ ich bywalcy też posługują się rachunkiem ekonomicznym. A rachunek wykazuje, że piętnastoprocentowa marża nocnego sklepu plus koszty przejazdu taksówką w obie strony, to jednak ciut więcej niż pół litra u „babci". Zyskano tyle, że do państwowej kasy spływa „gorący" pieniądz, ale za to mimo publicznych deklaracji wygłaszanych szlachetnym tonem, ułatwiono dostęp do kieliszka — notabene wypełnionego podłym alkoholem. W ten sposób padła milcząca zgoda na uliczne pijaństwo pod osłoną nocy. Rano, jak wiadomo, obowiązuje ostra prohibicja. Niektórzy sądzą, że co w nocy, to w oczy nie kole. Ważne, żeby w świetle dziennym było cacy. Nie przeczę, że nocne sklepy są potrzebne. Tylko czy koniecznie z bełtami i wódą?

# Skandal w Leśmierzu: ciąg dalszy rozprawy

## *Dokończenie ze strony 1*

dużo, że bierze za zwolnienia lekarskie. — „Chcesz zwolnienie, idź do Krawczyka" o tym w Leśmierzu i okolicy wszyscy wiedzieli — powiedziała.

Byłem zaskoczony pytaniem. Już w poprzednich zeznaniach świadkowie-pacjenci wyjaśniali, że lekarz przyjmował zawsze bez pielęgniarki. Jasne, mimo wyjątkowej bezczelności, tupetu, wiedział, iż w obecności osób trzecich niczego brać nie należy, o taki brak wyobraźni nie wypada go nawet posądzać.

— *Pan dr Krawczyk* — kontynuuje swoje zeznania pielęgniarka — *przyjmował też pacjentów w ogóle bez rejestracji w godzinach pracy ośrodka. Bywało także, że w swoim prywatnym mieszkaniu, na górze. Później polecał mi wpisywać te nazwiska do rejestru wizyt domowych. Zgłaszali się do mnie z kartkami...*

Świadek podaje kilka świstków. Oskarżony na wezwanie podchodzi do stołu. Długo ogląda papierki. W końcu mówi:

— *Tak, to ja pisałem, ale nie pamiętam po co, w jakim celu...*

Czyżby?... Można przed kontrolami wykazać się większą ilością wizyt domowych, łatwiej rozliczyć się z benzyny etc...

Obydwaj panowie obrońcy z sokolą bystrością rzucają się na karteluszki, obmacują, oglądają pod światło. Aż sąd upomina ich o właściwym zachowaniu.

Świadek Mieczysław M., lat 45, rolnik zamieszkały w Sierpowie, długo opowiadał jak nieopatrznie wybrał się po doktora Krawczyka rowerem, żona mu zachorowała Lekarz nie mógł przyjechać, bo samochód stał ponoć zepsuty. Pieszo przecież czterech kilometrów nie przejdzie — nie wypada Na ramę też rolnik wziąć go nie mógł, bo rower niestety — „damka". Więc rada w radę opowiedział co kobiecie dolega. Doktor leki wypisał, zainkasował 300 złotych należności i ostrzegł, gdyby nie pomogły — przyjeżdżać! Rzeczywiście nic się nie polepszyło. Nazajutrz dotarł do chorej, już osobiście, policzył sobie za wizytę pięćset złotych.

Świadek W., pielęgniarka środowiskowa, pracuje w ośrodku od roku 1981.

— *Współpraca układała się raczej kiepsko. Doktor niechętnie przyjmował zgłoszenia ode mnie na wizyty domowe. „Jakie wizyty mi dajesz, nie mogę zarobić" — mówił. Nie przyjął zgłoszenia do starej, samotnej kobiety Anny S Do innego pacjenta Władysława R. też nie pojechał. Kategorycznie odmówił synowi, który prosił go o to. Człowiek ten zgłosił się do nas, abyśmy wezwały pogotowie. Podopieczni też się przed doktorem bronili jak mogli, nie mieli pieniędzy na zapłacenie. W takiej sytuacji nie pomagały moje tłumaczenia, że pomoc jest bezpłatna...*

Świadek Henryka M. starsza pielęgniarka pracuje od roku 1955.

— *Powiem krótko: to, co zyskałam w społeczności w Leśmierzu w okresie 30 lat, straciłam w ciągu tych trzech lat współpracy z dr Krawczykiem. Według niego jestem bardzo kiepską pielęgniarką, nie potrafię postawić nawet baniek. I zwierzchnik podrywał mi autorytet ciągle, przy każdej okazji. Ubliżał mnie, koleżankom, lekceważył. Uważał nas za ludzi gorszego gatunku, nie mamy wyższego wykształcenia, nie byłyśmy dla niego partnerkami w pracy. Nie miał dla nas innego słowa tylko „polecenie", zawsze rozkazywał, ciągle podkreślał, że jest kierownikiem, on tu rządzi... Kilkakrotnie prosiłam szefa o zmianę stosunku do nas, ale to było jak „grochem o ścianę". Obecnie po odejściu z pracy dr Krawczyka, atmosfera w ośrodku w Leśmierzu zmieniła się radykalnie. Jest bardzo dobra. Zupełnie inaczej się pracuje.*

Byli podwładni zupełnie nie kryją swego zadowolenia ze zmian, które nastąpiły w ośrodku po opublikowaniu sprawy doktora Krawczyka i wszystko wskazuje na to, iż jestem ich orędownikiem. I tego chyba zdania był sąd zadając pielęgniarce Henryce M. między innymi pytanie.

— *Dlaczego red. Bryl przyjechał do ośrodka w Leśmierzu?* Odpowiedziała zgodnie z prawdą — *pytał o służbowy samochód, jak i kto z niego korzysta?*

Faktycznie trafiłem na temat zupełnie nieoczekiwanie podczas swoich reporterskich wędrówek zbierając z kilku województw materiał o transporcie sanitarnym. Tutaj jednak nie zainspirowała mnie postać doktora, prawie że feudalnego ciemiężcy pracowników, która wyłoniła się z utyskiwań personelu, ale przede wszystkim sprawa jego pacjentów ludzi niezamożnych, starych, niedołężnych, żyjących z renty, bez najmniejszych skrupułów pozbawianych ostatniego grosza. Tym bardziej niepokojąca, że nie są to wcale przypadki odosobnione. Parę dni temu prasa doniosła o skazaniu lekarki z Łodzi za przyjmowanie łapówek. A ja znowu natrafiłem na ślad kolejnej afery. Ale o tym niebawem.

Jeśli chodzi o sprawę doktora Krawczyka, prawdopodobnie nie doszłoby do tak spontanicznych zwierzeń pielęgniarek podczas pierwszego spotkania w ośrodku zdrowia w Leśmierzu w czerwcu 1983 roku, gdyby któraś z pań nie ucieszyła się głośno, iż poznała autora „Domu za drutami", słynnego reportażu o skandalu w Domu Pomocy Społecznej w Wiśniowej Górze po którym nastąpiły zmiany personalne w owej instytucji korzystne dla pacjentów i pracowników. Prawdą a Bogiem zmiana dyrekcji nastąpiła grubo wcześniej, kiedy to w akcję wkroczyła prokuratura zaalarmowana o biciu pacjentów. Zaś po samym reportażu zwolniono osobę odpowiedzialną za nadzór tych placówek z ramienia Wydziału Zdrowia, a to zupełnie co innego. Ale czytelnicy lubią kojarzyć fakty wedle własnego uznania.

Wtedy opowiadając o swoich przykrościach, finansowych kłopotach pacjentów, panie pewnie nie przypuszczały, że sprawa znajdzie epilog na sali sądowej. Czułem się jak nauczyciel, któremu uczniowie jeden przez drugiego skarżą na nieznośnego kolegę. Być może, że pomyliłem co która pielęgniarka w toku burzliwych zwierzeń powiedziała, ale same fakty zapamiętałem, przedstawiłem rzetelnie!

Do Leśmierza przyjeżdżałem jeszcze kilkakrotnie. Już nie było takiej wylewności w rozmowach z pielęgniarkami. Były wyraźnie wystraszone, powiedziały mi, że doktor Krawczyk wyraźnie im oświadczył, iż z nim jeszcze nikt nie wygrał, więc niech nie probują mu „podskakiwać". Za to pacjenci nie szczędzili szczegółów. Ludzie chcieli wierzyć, że coś musi się zmienić. To nie dla pielęgniarek chciałem dobrego szefa, ale dla pacjentów — lekarza, pewności, że gdy przyjdzie choroba, nie zostaną osamotnieni tylko dlatego, iż są starzy, biedni. I w tym momencie absolutnie nie interesowała mnie niechęć i „subtelne" niuanse doktora Krawczyka, który, jak stwierdziła przed sądem pielęgniarka Henryka M.:

*(...) potraktował lekceważąco red. E. Bryla. Powiedział, że dziwi się, iż „Tygodnik Kulturalny" zajmuje się służbą zdrowia, powinien zainteresować się raczej kulturą w gminie, zająć wydajnością buraka z hektara, wszak to periodyk ZSL, a „Odgłosy"? Że coś takiego istnieje, słyszy po raz pierwszy. Redaktor Bryl wspominał o „Wiśniowej Górze", o personalnych zmianach, które zaszły po jego tekście...*

— *No właśnie, proszę* — podchwyciła inteligentna obrona.

— *Byłem szantażowany, proszę Wysokiego Sądu* — dopowiada oskarżony.

Dziwię się, że jakoś wcześniej tego doktor Krawczyk nie zauważył, a może po prostu nie mógł odczuć tego, czego nie było?

Na zakończenie prokurator wnosi o odczytanie zeznań nieobecnych świadków. Kwestionuje to obrona, która nie zgadza się na odczytanie zeznań świadka Wiesławy W. Sąd przychyla się, motywując, że jednym z podstawowych dowodów są właśnie zeznania Wiesławy W. i nie można zrezygnować z bezpośredniego przesłuchania. Zarządził przerwę do dnia 14 listopada 1984 r.

EDWARD BRYL

RYSZARD BINKOWSKI

# Kurtka na misiu (1)

Stary urka spłukał gardziel mętną zawiesiną z łódzkiego browaru, pyknął dymkiem z popularnego, po czym oświadczył melodyjnie schrypniętym basem:

— Franek Kimono, brachu, to jest majster pierwsza klasa. Chlasta tymi żulami po dyskobudzie jak kuglarz piłką na odpuście. Ale ja myślę, brachu, że najlepszą szkołą samoobrony jest areszt...

— Uhm. Areszt to jest kontemplacja nad przemijaniem. Po tygodniu odradzasz się niczym Feniks z popiołów własnej głupoty.

— Otóż to, brachu! Wpadasz tam całkiem zaszokowany, otępiały, zapominasz języka w gębie i własnego nazwiska, ale towarzysze niedoli wszystko ci przypomną.

— Jasne. Otrzaskani w paragrafach i przepisach prawnych.

— E-ee, brachu! To są specjaliści od wyrabiania karty wariackiej, od pisania odwołań i apelacji. Znałem faceta, który odwołał swoje zeznania i zaczął pisać skargi i zażalenia do różnych instancji, ponieważ dopiero w areszcie miał czas na przemyślenie swoich czynów. Pamiętam, że nazywał się Jan Knapik...

Stary urka strzelił petem w splugawioną matkę ziemię przed pijalnym pawilonem na Gdańskiej. Łyknął trochę browaru z oblepionej klajstrem butelki i podjął:

— Knapik, brachu, w nocy huknął z żoną flachę wina na siarkowych jabłuszkach, upadł na podłogę, żona wciągnęła go na wersalkę i zasnął. Obudził się o trzeciej po południu. Nie zdążył zaklinować, a tu ni stąd ni zowąd zdjęły go te wszędobylskie szaroniebieskie zjawy.

To było 23 lutego. Poradziłem mu napisać zażalenie do prokuratury nadrzędnej...

— No dobra — przerwałem — ale z jakiej racji? Za to, że po flaszce „Pershinga" rypło go na podłogę?

— Aaa, nie, brachu! On został zatrzymany przez komisariat na dzielnicy z podejrzeniem o dokonanie zbrodni. Twierdził, bidul, że w trakcie przesłuchania został zastraszony, że dokonał morderstwa na nieżyjącym już Marianie Dąbku. Zaszantażowany był, że za takie czyny będzie powieszony. Zastraszano go aktem zgonu...

Odpiłem ze starym urką flachę na czwartą nogę, wsadziłem go do dwunastki jadącej na Kaliski, po czym udałem się tam, gdzie mógłbym dowiedzieć się czegoś o Janie Knapiku. Trafiłem na jeden z jego listów. Jan Knapik pisał m.in.:

*„Ja w pierwszych słowach broniłem się, mówiłem całą prawdę, w co nie chciano mi dać wiary. Przemocą (...) zmuszano mnie do fałszywych zeznań i wplątanie mnie w art. 210, par. 1 kk. Nakłaniano mnie, iż biorąc na siebie art 210 odsunę podejrzenie dokonania morderstwa i jeszcze w swoim życiu zobaczę żonę i dzieci. Ja sam bałem się, iż zostanę powieszony i w tej chwili nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Łzy popłynęły mi z oczów, a funkcjonariusze mówili, że się z nich śmieję. Właśnie w tej chwili funkcjonariusze przesłuchujący mnie wykorzystali te chwile i w sposób dobitny nakłonili mnie do fałszywych zeznań, a także do ich podpisania. Chciałem prędzej złożyć prawdziwe zeznania, lecz nie mogłem, gdyż przebywałem w komisariacie na dzielnicy. Tam mówiono i odgrażywano się, że gdy zmienię zeznania (...), to przeklnę ten dzień, w którym mnie matka na świat wydała. Na zakończenie śledztwa, które odbyło się dnia czwartego maja w obecności prokuratora prowadzącego dochodzenie złożyłem zeznania, które miały miejsce tego nieszczęśliwego dla mnie dnia. Z powyższym zażaleniem zwracam się do prokuratora nadrzędnego o zajęcie miejsca w tej sprawie. Obecnie przebywam w areszcie śledczym z decyzją prokuratury rejonowej i czuję się pokrzywdzony, bo nie jestem winien tego, co dnia 22 lutego miało miejsce".*

Wasz reporter postanowił zbadać w miarę dokładnie, czemu Jan Knapik trafił do aresztu. Okazało się, że trop zaczyna się na spacerze z psem.

2

Obywatel Jarosław B. miał pięćdziesiąt lat i psa w wieku nieokreślonym. Pies był rasowy natomiast jego właściciel był z zawodu inżynierem, a ze stanowiska — zastępca dyrektora przedsiębiorstwa. Poza tym inżynier był ciekawy. Ale nic dziwnego — mieszkańcy małego podłódzkiego miasteczka na ogół są ciekawi.

Tego dnia, o którym wspominał Jan Knapik, pan Jarosław około północy wybrał się na spacer z psem, żeby ten nie miał jakichś żywych obiektów do ataku. Ale kiedy znaleźli się na schodach, pies nastawił uszu i merdnął bojowo ogonem. Drzwi wyjściowe były zamknięte, lecz mimo to inżynier dosłyszał prowadzoną przed blokiem rozmowę. Stanąwszy przed klatką swojego bloku zobaczył, że chodnikiem idzie w stronę ulicy Workowej dwóch legalnie podciętych mężczyzn. Kiedy znaleźli się na wysokości pierwszej klatki schodowej bloku numer jedenaście jeden z mężczyzn jakby uchwycił się ławki stojącej na chodniku. Przez chwilę przedstawiał obraz faceta cierpiącego na chorobę morską. Następnie położył się na ławce tak, że jego nogi pozostały w pozycji klęczącej. Troskliwy kolega oderwał grzesznika od ławkowego konfesjonału. Potem przeprowadził go jak milicjant staruszkę przez jezdnię i poszli dalej w pole.

Zachowanie dwóch podpitych kompanów wydało się Jarosławowi B. trochę zastanawiające. Podszedł tedy do szczytu bloku i począł obserwować owych dziwnych pielgrzymów. Zobaczył, że obok słupa energetycznego ten sam, co wcześniej legł pokutnym plackiem na ławce, przewrócił się na ziemię. Kolega odmówił nad nim krótką litanię, po czym ponownie podniósł go z czułością wściekłej niańki i poszli sobie polami.

Kiedy znikli z zasięgu latarni, inżynier przespacerował się do bloku numer piętnaście. Wracając z psem słyszał dobiegającą z pola rozmowę oraz coś jakby odgłosy szarpaniny. Niestety, nie rozpoznał dwóch pijanych włóczęgów ponieważ widział ich tylko z tyłu. Obaj byli w ciemnych kurtkach, takich na trzy czwarte. Ten troskliwy był wyższy o głowę i dobrze zbudowany, obaj jednak mieli podobne sylwetki. Niższy był mocno pijany.

Jarosław B. zrezygnował z nasłuchu, albowiem nocne rodaków rozmowy brzmią podobnie od morza do Tatr.

— Chodź, psie — powiedział — nie dla nas te numery. Jeżeli te pedały dobrały się do siebie, niepotrzebny im pies do baletu w trójkącie. Mogliby cię pogryźć mój wierny sługo...

Rankiem o pół do siódmej inżynier znowu wyszedł na spacer z psem. Udał się w pole tą samą miedzą, którą tamci maszerowali nocą. Nie, nie uczynił tego w celu badania śladów wędrówki nieznanych pijaków ani miejsca rozpusty w stylu homoseks. Po prostu inżynier uczęszczał tam zawsze, albowiem na łące mógł puszczać luzem psa.

Około sześćdziesięciu metrów od łąki inżynier zauważył dwa buty koloru brązowo-wiśniowego, z krótką cholewką, zapinane od wewnątrz na zamek błyskawiczny. Leżały w odległości dwudziestu metrów od siebie. Nie wzbudzały zainteresowania nawet u psa, ponieważ w telewizji wywala się na śmietniki całe partie obuwia.

Inżynier zagwizdał na psa i poszli do domu.

3

Poprzedniego dnia na peryferiach miasteczka rozpoczęło się w samo południe takie sobie małokalibrowe tankowanie. Jako pierwszy wystąpił Bolesław G., trzydziestoparoletni murarz, właściciel prywatnego zakładu murarskiego. Odpił on mianowicie pół litra w mieszkaniu swojego pracownika, ob. Michała Z., a ponieważ w lutym nie mogli nawet zbijać bąków, bo te zimą strajkują, udali się do sklepu, gdzie mistrz nabył pół litra wódki oraz flaszkę koniaku. Poszli z tym paliwem do znajomego, u którego po chwili zjawił się na węch Kazimierz R., i w czwórkę obciągnęli połówkę. Degustację przerwała córka, Kazimierza, wzywając histerycznie ojca do domu.

— Tata, kibel gotowy — wrzeszczała — a mama z tamtymi suszy butelkę! O jejku, co to będzie, co będzie!

Bolesław G. zostawił kożuch, teczkę z paliwem i poszedł z Kazimierzem na odbiór kibla. W mieszkaniu zastali żonę Kazika, jego brata Józka oraz Mariana Dąbka, który naprawiał tam zbiornik na wodę w ubikacji. Marian był z zawodu elektrykiem, ale ponieważ od roku nie pracował w żadnej firmie, przeto imał się wszelkich fuch po sąsiedzku. Nie chciał za usługę pieniędzy, więc Kazikowa postawiła butelkę.

— Maniuś — zwrócił się do Dąbka mistrz G. — czy ty byś mnie nie załatwił zabezpieczenia do licznika elektrycznego?

— Czemu nie? Zabezpieczenie to moja specjalność, kolego. Załatwiam to w mojej komórce — odrzekł aluzyjnie elektryk.

W drodze do komórki Bolek wstąpił do znajomego po kożuch i teczkę. Siedzieli tam bracia Mirosław i Jan Knapikowie. A na stole stał napoczęty koniak. Murarz zbeształ braci, zabrał szlachetny trunek i zanim doszli do komórki, kupił jeszcze jedną flaszkę koniaku. Otrzymawszy upragnione zabezpieczenie do licznika, postanowił uczcić transakcję, bo Dąbek nie wziął grosza. W mieszkaniu R. wykończyli napoczęty koniak. Przywlókł się pijany Kazik, a za nim Jan Knapik z półlitrówką w kieszeni. Popili na luzie. Jan Knapik powiedział:

— Dąbek spaprał robotę! Ja, kurwa, jestem hydraulik! Ja naprawię ten kibel na glanc...

I wziął się do roboty. Od szczęku narzędzi Bolesław G. poczuł się zamroczony i wyszedł z mieszkania. Nie zauważył, by Dąbek miał jakieś pieniądze, albo żeby był mocno pijany.

Nazajutrz skacowany mistrz G. około drugiej po południu wracał smętnie ze swej działki przy ulicy Bratkowej. Wlokąc się przez pole zauważył leżącego w gałęziach mężczyznę. Podszedł bliżej, aby sprawdzić, co ten facet tam robi. Wyglądał tak, jakby spał. Był bez wierzchniego odzienia i bez butów. Twarzy nie było widać, ale Bolesław G. od razu poznał, że jest to Marian Dąbek. Kiedy chciał podnieść rękę śpiącego, stwierdził, że jest sztywna i zimna, jak gałęzie, na których spoczywała.

Przez chwilę stał oniemiały, niezdolny do jakiegokolwiek działania. Potem otrząsnął się, podniósł głowę i spostrzegł, że od strony drewnianych zabudowań przygląda mu się jakiś osobnik. Przywołał go ruchem ręki. Mężczyzna, który nazywał się Jan K., przyszedł na miejsce i zobaczywszy, co się stało, poszedł zawiadomić miejscowy posterunek MO.

A Bolesław G. udał się do mieszkania Dąbka. Zastał tylko nieletnią córkę. Postąpił ze znanym, starym murarskim taktem.

— Tata w domu? — zapytał.

— Nie... Jeszcze nie wrócił od wczoraj.

— Hm... To powiedz mamusi, że tata nie będzie już tu mieszkać.

— Dlaczego?

— A-a, bo leży martwy w łozach nad rzeczką...

4

Wstępnych oględzin zwłok dokonali: st. sierż. Jerzy R. oraz sierż. sztabowy Kazimierz M.

Zwłoki leżały w gałęziach ściętej wikliny, trzy metry od zamarzniętego rozlewiska. Obie kończyny dolne były wyprostowane i opierały się kolanami i palcami o podłoże. Ręce ułożone pod ciałem: lewa, zgięta w łokciu, oparta o ziemię, prawa zaś, też zgięta w łokciu, wsunięta pod klatkę piersiową. Głowa denata była oparta o lewą rękę, nos ugrzązł w gałęziach wikliny.

Wyglądało na to, że facet położył się i zasnął, aby się już więcej nie zbudzić. Ubrany był tak, jakby specjalnie szykował się do poobiedniej drzemki na tapczanie. Miał na sobie szarą bluzkę polo w czarne paski, spod której w okolicy pasa wystawała przybrudzona biała trykotowa podkoszulka. Czarne spodnie miał rozpięte. Widać było czarne majteczki w białe kropki i brązowe kalesony. Całe nogawki i pośladki na spodniach były pobrudzone ziemią koloru brunatnego.

Można było mniemać, że denat nie rozebrał się w tym miejscu. Miał na stopach dwie pary skarpetek. Wierzchnie — granatowe — pokrywała warstwa brunatnej ziemi.

Tymczasem grunt wokół zwłok był silnie zamarznięty, porośnięty zeschłą trawą, zaścielony gałęziami ściętej łozy. A dalej iskrzyło się rozlewisko rzeczki. Na lodzie widać było liczne nakładające się na siebie ślady obuwia, łyżew i sanek.

Około dziesięciu metrów od zwłok leżał but męski w kolorze brązowo-wiśniowym.

Teraz obaj sierżanci przystąpili do takiej roboty, jakiej nie wolno pokazywać w filmach kryminalnych, bo inaczej kina ogłosiłyby plajtę w dobie reformy.

Spenetrowano teren w promieniu kilometra od zwłok. Na polu w odległości stu metrów od ulicy Bratkowej i około trzystu metrów od szczytów bloków przy ulicy Workowej, na tyłach zabudowań znalazły się rozrzucone w promieniu dziesięciu metrów przedmioty: portfel męski z jasnej skóry, podanie do Urzędu Miasta i Gminy; dowód osobisty na nazwisko trzydziestodwuletniego Mariana Dąbka, urodzonego w Kieleckiem, książeczka wojskowa, kawałek kratkowanej kartki z zapisem gry w „tysiąca" oraz inicjałami „K. J. M.", dyplom mistrza w zawodzie elektromonter oraz drugi but męski typu „kozak". Ten but zresztą trafił do ręki władzy dzięki pomocy społeczeństwa — znalazły go dzieci.

W odległości siedemdziesięciu pięciu metrów od opisanych przedmiotów leżała zabrudzona chustka od nosa.

Wreszcie przyjechała karetka pogotowia. Do trupa nie musiała się spieszyć.

5.

Lekarz odwrócił zwłoki, aby przyjrzeć się twarzy zmarłego. Potem przywrócił zwłoki do pozycji, w jakiej zastał je murarz G. Dokonawszy pobieżnie wstępnych oględzin, nie stwierdził obrażeń ciała. Wypisał od ręki zaświadczenie o zgonie Mariana Dąbka. Zastrzegł się jednak, iż nie wyklucza udziału osób drugich lub trzecich, które mogły pomóc Dąbkowi zejść z tego świata.

Oględziny lekarki z Zakładu Medycyny Sądowej były bardziej wnikliwe i szczegółowe. Z dość pokaźnej liczby detali warto wymienić m.in. ochłodzenie powłoki ciała, obecność stężenia pośmiertnego z wyjątkiem stóp, niezbyt obfite plamy pośmiertne, znikające po lekkim nacisku, pasmowate sińce na kończynie górnej prawej, starcie naskórka na ręce lewej i na tułowiu.

Śmierć nastąpiła przypuszczalnie przed około dziesięcioma godzinami, z tolerancją dwóch — trzech godzin. Same oględziny nie pozwoliły jednak na ustalenie przyczyny zgonu. Wskazana była sekcja sądowo-lekarska.

Sierżanci powiadomili jednostkę nadrzędną oraz szefa prokuratury rejonowej. Poinstruowani jak trzeba, postanowili przewieźć denata do Zakładu Medycyny Sądowej w Łodzi, w celu przeprowadzenia sekcji zwłok, zgodnie z decyzją lekarza i poleceniem prokuratora.

W tym miejscu czas najwyższy obalić mity i przytępić wyobrażenia, jakie rodzą się po lekturze książek ze zgniłego na zielono obszaru płatniczego. Otóż ci nasi funkcjonariusze z peryferyjnych posterunków to nie są tacy wszechwładni szeryfowie, którym absolutnie nikt nie podskoczy, bo zaraz wlażą do knajpy i walą pałami albo ze swoich groźnych spluw. Nie, to są najbardziej zatyrani faceci, i to nie tylko w zakresie czynności rutynowych. Żeby coś załatwić, muszą pisać w pocie czoła dziesiątki podań do różnych instytucji.

Muszą przy tym dbać o dobro obyczajów. Trup, na przykład, nie może dojrzewać na posterunku. Dlatego też milicjanci z miasteczka wysłali do Zakładu Medycyny Sądowej pisemko z prośbą o przechowanie zwłok do dyspozycji prokuratora oraz o przeprowadzenie sekcji.

No, ale żaden sierżant nie weźmie trupa na plecy i nie zawiezie go tramwajem do Łodzi. Poszło tedy kolejne pismo do Zakładu Gospodarki Komunalnej w Łodzi, tym razem z prośbą o przewiezienie zwłok do Zakładu Medycyny Sądowej.

Trzecia pisemna prośba dotyczyła określenia warunków atmosferycznych od 22.II. godz. 22, do 23.II. godz. 14.30. Odpowiedź nadeszła szybko. W tym czasie temperatura wahała się od minus 2,2 stop. C. do minus 2,7 stop. C. Stacja na Lublinku podała nawet kierunek i siłę wiatru.

Natomiast sekcja zwłok wykazała, że obrażenia stwierdzone u Mariana Dąbka powstały od urazów tępych są powierzchowne i nie stoją w związku przyczynowym ze śmiercią.

Metodą Widmarka oznaczono we krwi pobranej ze zwłok 1,99 promille, a w moczu 3,77 promille związków redukujących w przeliczeniu na alkohol etylowy. Marian Dąbek zmarł śmiercią gwałtowną na skutek ochłodzenia u osobnika w stanie nietrzeźwości.

Żona Dąbka oświadczyła, że wieczorem podpity małżonek zjawił się w mieszkaniu około dziesiątej. Napił się wody z kranu i nic nie mówiąc wyszedł. Tak, nie pracował nigdzie, ale też i nie chorował specjalnie. Ostatnio tylko skarżył się na bóle żołądka. Wychodząc miał na sobie ciemną kurtkę, ocieploną podpinką ze sztucznego misia.

Kołnierz również był z jasnego misia.

Łatwo więc się domyślić, że pijany Dąbek sądząc, iż znajduje się we własnym mieszkaniu, rozebrał się w holu i ułożył do snu w łozach. Wyniki sekcji zwłok wskazywały, że pasmowate obrażenia na ciele mogły powstać od upadków (zwłaszcza z pewną siłą) na podłoże, na którym znaleziono denata.

No cóż, pijany człowiek lubi się przewracać, a zetknięcie z twardą, ostrą, zamarzniętą grudą nie należy do pieszczot. Można więc było założyć, że Dąbek sam się poturbował przed śmiercią.

Sęk w tym, że nigdzie nie było tej jego kurtki na misiu...

Ciąg dalszy za tydzień.

EUGENIUSZ IWANICKI

# Banalna kariera spekulanta

## WPROWADZENIE

Moda jest chorobą zakaźną, a Polacy zapadają na nią wręcz masowo. Naród zamieszkujący dorzecze Wisły i Odry nie posiada także żadnej odporności: każda epidemia, a tylko takowe nawiedzają nasz kraj, powoduje istny kociokwik wśród wrażliwych na modę rodaków. I co ciekawe, owe zaraźliwe prądy wieją zazwyczaj z tak umiłowanego przez niektórych Zachodu, choć leków ów Zachod jakoś przeciwko temu schorzeniu nie przysyła. Więc ludzie chorzy na modę korzystają z usług miejscowych szamanów, domorosłych producentów, a najczęściej poddają się kuracji u zwyczajnych cwaniaków i kombinatorów. Bowiem skoro nie ma możliwości przyodziać się w ciuchy firmowane przez „Tiger" lub „Pumę" modny Polak ubiera się w każdy ciuch, byleby nosił on metkę wspomnianych producentów lub bodaj miał wydrukowany napis świadczący, że szmata otarła się o wielki świat. Cena? Któż by się zastanawiał nad takim drobiazgiem. Poślednia jakość produktu? Moi drodzy, przecież nie o to chodzi, ważna jest firma, powiedzmy „Adidas", „Wrangler", „Rifle" itp.

Tę prostą prawdę odkryli ludzie przedsiębiorczy, lubiący długie odpoczynki, dobre towarzystwo, miłe far niente i gotowi do ryzyka. Skoro ludzie łakną zagranicznych towarów — trzeba ludziom w tym pomóc.

Tak zrodził się pomysł, który, gdyby nie organa ścigania, zapewne przyniósłby pięciu przedsiębiorczym panom wielomilionowe zyski nie zaewidencjonowane w żadnych dokumentach Izby Skarbowej. A że pomysł był przedni i jak większość prostych pomysłów niemal doskonały, niech świadczy fakt, iż nikt z kupujących nigdy nie złożył reklamacji z powodu złej jakości „zagranicznego" towaru.

## RODZI SIĘ POMYSŁ

Na dobrą sprawę to jest nic takiego: wziąć zwyczajną podkoszulkę lub bluzkę zakupioną za psie pieniądze w handlu uspołecznionym, umieścić na tym znak którejś z firm zagranicznych — i oto mamy ciuch, o jakim marzy większość snobujących się na Zachód rodaków. Proste, prawda?

Ale po kolei. Oto niejaki Paweł G. 11 maja 1982 r. uzyskuje z Urzędu Dzielnicowego Łódź-Górna zezwolenie na *„prowadzenie zakładu: krawiectwo lekkie i bieliźniarstwo"*. Jednocześnie zostaje na dwa lata zwolniony z podatków, bo przecież człowiek musi mieć ułatwiony start, musi jakoś stanąć na nogi. I fajnie jest.

Paweł G. ma jednak inne plany. Już we wrześniu tego samego roku zamyka na cztery spusty świeżo otwarty zakład i ani myśli zajmować się jakimś tam krojeniem, przymierzaniem czy reperacją. To zajęcie dla frajerów. Paweł G. myśli intensywnie i to myślenie wkrótce zaczyna owocować w postaci sporej gotówki. Zanim jednak do tego dojdzie, Paweł G. montuje zespół. Sam jest z wykształcenia plastykiem więc nie ma obawy, że „wyroby" będą miały jakieś defekty „artystyczne". Dobiera czterech wspólników, ludzi co prawda różnych profesji, ale „działających" niejako w branży. Porozumienie zostaje szybko zawarte, po czym wspólnicy opracowują plan działania. Jest on tak prosty, że gwarantuje powodzenie.

Wyciąg z notatki służbowej skierowanej na ręce Naczelnika Wydziału do Walki z Przestępczością Gospodarczą WUSW w Łodzi:

*„Melduję ob. Naczelnikowi, iż w toku wykonywanych czynności służbowych ustaliłem, że Ob. Paweł G. zam. w Łodzi... posiadający zakład „Krawiectwo Lekkie i Bieliźniarstwo" w Łodzi... nie prowadzi tego zakładu, lecz zajmuje się spekulacyjnym wykupem artykułów konfekcyjnych, odpruwa metki i ceny, a następnie przyczepia swoje metki i wyroby te sprzedaje po dość wysokich cenach dwu- lub trzykrotnie przewyższających ceny detaliczne w handlu uspołecznionym. Na przykład dresy sprzedawane w handlu uspołecznionym kosztują około 1.200 zł, natomiast G. sprzedał w cenie 4.630 i 5.230 zł za jedną sztukę.*

*W celu ujawnienia przestępczej działalności Pawła G. udałem się wraz ze st. ins. do Zabrza, gdzie w sklepie Józefy K. przy Placu Targowym Nr 9 ujawniono dresy i bluzy sprzedawane przez Pawła G. w ilości 169 szt. dresów i 47 szt. bluz. Ponadto ustalono, że producentem dresów są Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego „Delta" w Łodzi, ul. Nowotki 65, natomiast bluzy sprzedawane były w DH „Central", a produkowane przez ZPDz. „Pafino" w Łodzi, ul. Łukasińskiego 4.*

*W zakwestionowanych u Józefy K. wyrobach stwierdzono oderwanie oznaczeń fabrycznych oraz przyczepione zszywaczem papierowe metki Pawła G...".*

## JAKIE BYŁY POCZĄTKI

Właściwie od chwili zrodzenia się pomysłu, wszystko szło jak z przysłowiowego płatka. Proszę nie zapominać, że znaleźliśmy się w kryzysie, że otrzymanie dobrego ciucha wymaga nie lada ekwilibrystyki, albo sporych znajomości w domach towarowych. Uzupełniając niedobory rynkowe prywatny handel rzucił natychmiast na rynek swoje, nieraz wręcz okropne, wyroby opatrzone kartkami z napisem „Ceny umowne" i z horrendalnie wysokimi cyframi. Ale rynek okazał się mieć wilczy apetyt. Dłubanie przy maszynie do szycia z nikogo nie uczyni milionera, natomiast zabiegi przy pomocy sitodruków w dość krótkim czasie pomogą zbić spory kapitał. Rozumiał to doskonale Paweł G., rozumieli to także jego wspólnicy: Paweł Józef S., Robert C., Krzysztof S., Jan K., a także kierownik sklepu WSS „Społem" Paweł R.

Oto jak początek wielkiej kariery przedstawia się w zeznaniach Roberta C.:

*„...w grudniu 1983 r. spotkałem przypadkowo Pawła G. na ulicy Warszawskiej, gdy szedłem z Pawłem Józefem S. Z rozmowy wynikło, że S. znał G... Udaliśmy się do mieszkania G. ...okazało się, że G. ma zezwolenie na działalność rzemieślniczą, ale nie prowadzi takowej... Współpraca miała polegać na tym, że ja wyłożyłbym kilkaset tysięcy złotych, pomagałbym w interesie. Miałem pomagać przy zakupie towaru nie interesując się resztą. W styczniu 1984 r. wyłożyłem 300.000 zł. ...Jak sobie przypominam, w styczniu 1984 r. wspólnie z G. i S. zaczęliśmy kupować w sklepach uspołecznionych bluzy... Bluzy odbieraliśmy w kartonach... Dogadywaliśmy się ze sprzedawczyniami... Towar zakupiony był drukowany na ul. Białostockiej 4A. Następnie G. doszedł do wniosku, iż lepiej będzie drukować u niego w domu, tj. przy ul. Mazurskiej. Następnie był transport do Krakowa, by dostarczyć bluzy do sklepu. Jadąc do Krakowa po drodze jechaliśmy przez Zabrze...".*

Robert G. nie mówi, że sfałszowane bluzki i podkoszulki były dostarczane nie tylko do Krakowa i Zabrza, ale i do Bytomia, Zakopanego, Jeleniej Góry, Proszowic, Karpacza, Lublina itp. Cały kraj nagle miał możliwość ubrać się w ciuch z napisem „Jogging" albo „Puma" czy inny „Tiger".

## DRUGIE OGNIWO

Drugie ogniwo to pośrednik pomiędzy „producentem" bluzek a nabywcą, czyli prywatny sklepik nazywany popularnie „butik". W aktach skierowanych do sądu jest sporo zeznań właścicieli owych kramów mieszczących się nieraz w mikroskopijnych klitkach, a mających dochody większe od renomowanych domów towarowych. Właściciel takiego kramu z reguły nie domyśla się pochodzenia towaru dostarczanego mu przez wytwórcę, choć, tak jak w przypadku Pawła G., metki przypięte były zwykłym spinaczem biurowym.

Fragment zeznań Józefy K. z Zabrza:

*„Pawła G. znam od maja 1982 r., kiedy przyjechał do mojego sklepu i sprzedał kurtki z tkaniny barwionej, nie pamiętam ile sztuk wtedy kupiłam. Będąc w moim sklepie pokazywał mi swój dowód osobisty oraz miał pieczątkę wraz z rachunkiem na nazwisko Paweł G. Nie widziałam go do miesiąca lutego 1984. Dokładnej daty nie pamiętam, ale mogło to być około 10 lutego 1984 r. przyjechał wtedy sam samochodem Fiat 126p przywiózł 5 szt. bluz młodzieżowych, mówił, że więcej nie ma, wystawił mi wtedy rachunek, na jaką kwotę nie pamiętam. Później przyjechał 22 lutego 1984 r. samochodem zagranicznym typu furgonetka w kolorze wiśniowym. Razem z Pawłem G. wszedł jego wspólnik, tak powiedział G. Nie znam nazwiska tego wspólnika, był to mężczyzna w wieku około 30-35 lat, wzrost 175 cm, blondyn dobrze zbudowany. G. wraz ze wspomnianym mężczyzną przywieźli 146 szt. dresów i 100 szt. bluz młodzieżowych. Zdecydowałam, że kupię cały towar G., ale nie chciał on wystawić rachunku, powiedziałam mu, że bez rachunku nie kupię. Po jakimś czasie G. zgodził się na wystawienie rachunku na kwotę około 30.000 zł. Całość przywiezionego przez G. towaru miała kosztować ponad 700.000 zł. Cena jednostkowa dresu wynosiła ponad 4.630 zł, a bluzy młodzieżowej 2 130 zł. Łącznie dresy kosztowały w cenach detalicznych 675.980 zł, a bluzy 213.000 zł, łącznie cała wartość ilościowa wyniosła 898.930 zł w cenach detalicznych, ja natomiast miałam mu zapłacić minus 20 proc. marży. W sklepie miałam 500.000 zł i pieniądze te wręczyłam G., zabrakło 200.000 zł, po które mój mąż poszedł do domu... Przywiezione przez niego dresy i bluzy nie posiadały trwałych oczechowań, metki są z papieru z pieczątką G. i są przypięte spinaczem do wyrobów."*

## WSPÓLNIK Z ZAŚWIATÓW

Wielu „kontrahentów" Pawła G. składając wyjaśnienia przed milicją i prokuratorem twierdzi, że część wyrobów była firmowana — taka przynajmniej figurowała pieczątka na rachunkach — przez zakład *„Jerzy Janiak: Krawiectwo Lekkie i Bieliźniarstwo"*. Niestety, takiego zakładu w Łodzi nie odnaleziono, a więc zachodziło podejrzenie, że zostało dokonane jeszcze jedno fałszerstwo, mianowicie podrobienie pieczątki. Chyba że ów Jerzy Janiak zdematerializował się i teraz pomaga swoim kolegom z fachu już jako mieszkaniec sfer niebieskich. Dla osadzonych w areszcie komb natorów ten nieuchwytny producent sfałszowanych nadrukiem towarów był przysłowiową tarczą obronną. Produkował, dostarczał, a oni jedynie rozwozili po Polsce.

Dociekliwość organów ścigania jest jednak zdumiewająca: ustalają, że wzmiankowany Jerzy Janiak istniał naprawdę, ale od kilku lat opuścił Polskę i zamieszkał za granicą.

Z wyjaśnień Pawła S.:

*„Wiosną 1982 r. dostałem od Jerzego Janiaka firmową pieczątkę „Jerzy Janiak: Krawiectwo Lekkie i Bieliźniarstwo". Od tego czasu zająłem się drukowaniem podkoszulek i ich sprzedażą. Podkoszulki firmowane były pieczątką Jerzego Janiaka. Podkoszulki drukowałem w posesji teścia Pawła G. W tym czasie Jerzy Janiak wyjechał za granicę. W podkoszulki zaopatrywałem się w Łodzi w różnych sklepach, były to „Central", „Uniwersal", „Juventus", „Olimpia", sklepy „Czuj-Czynu" i sklepy sportowe, „Świt", „Teofil", „Trzy Korony" w Pabianicach. Zakupione koszulki po wydrukowaniu sprzedawałem w następujących miastach: Kraków... Jelenia Góra... Zabrze... Bytom... Wrocław... Zakopane... Lublin... Wałbrzych i Karpacz.*

*W grudniu 1983 r. spotkałem Pawła G. Zaproponowałem jemu wspólną działalność. Ja załatwiałem bluzy, on firmował. W lutym 1984 po wpadce w Zabrzu zniszczyłem pieczątkę Jerzego Janiaka i wszystkie notatki z adresami... Zyski z tego wydałem na życie i przehulałem... Mogliśmy zarobić razem wszyscy około 1.500.000 zł. Podział pieniędzy był następujący: Paweł G. wziął 800.000 zł, Robert C. — 200.000 zł. Ja wziąłem około 500.000 zł."*

## NIEZAWODNE ŹRÓDŁO

Jak widać z powyższego towar pochodził ze wszystkich możliwych domów handlowych Łodzi i Pabianic. Jeden z osadzonych w areszcie przyznał, że mieli „układy" ze sprzedawczyniami. Okazuje się, że nie tylko mieli i umieli znaleźć dojście do innych sklepów, a właściwie do kierowników tych sklepów. Ale posłuchajmy.

W śledztwie prowadzonym przez Prokuraturę Rejonową Łódź-Górna szczegółowe zeznania złożył Paweł R. kierownik sklepu WSS „Społem":

*„W PSS pracuję od 1981 r. Początkowo prowadziłem sklep N. 540... W 1983 r. rozpocząłem pracę jako kierownik sklepu nr 744 papierniczo-zabawkarskiego przy ul. Bratysławskiej... M.in. w sklepie tym sprzedawana była odzież, obuwie i galanteria. W styczniu... przyszedł do sklepu nieznany mi mężczyzna i zaczął oglądać leżące na półce sklepowej bluzy z dzianiny... Powiedział do mnie, że chciałby zakupić większą ilość bluz. Oprócz bluz, które leżały na półce w sklepie miałem takie same w magazynie. W sumie było ich ponad 500 sztuk... Powiedział, że kupi wszystkie bluzy, które mam w sklepie i magazynie... Po dwóch dniach... przyjechał samochodem marki „Żuk". Wraz z nim był jeszcze jeden mężczyzna, który prowadził samochód... Bluzy te były w cenie 700 i 875 zł... Nie żądał ode mnie ani rachunku, ani paragonu i ja mu takowych nie wystawiałem... Po załadowaniu bluz na samochód poszedł ze mną do sklepu od zaplecza i tam policzyłem ile ma zapłacić za bluzy. Po uiszczeniu przez niego rachunku wręczył mi dodatkowo ponad 50.000 zł. Nie wyjaśniał dlaczego dał mi te pieniądze. Powiedział: „to dla pana". Pieniądze te przyjąłem".*

To tylko jeden z przykładów w jaki sposób trafiano do sprzedawców. Czy śledztwo, a potem przewód sądowy, ustali ile i jakie łapówki wręczyli sprzedawczyniom od których nabywali większe ilości podkoszulek i bluz?

## PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI

Proces, jaki niebawem się odbędzie, odpowie na wiele wątpliwości i pytań, które nie zawsze udaje się rozwiązać w czasie śledztwa. Wszakże niewyjaśnioną sprawą — przynajmniej dla mnie — pozostanie pewna zagadka natury socjologicznej. Wertując akta dotyczące właścicieli tzw. „butików" co rusz natrafiałem na takie oto adnotacje: zawód wyuczony — farmaceutka, prawnik, geolog, biochemik itp. Zawód wykonywany — właścicielka sklepu z konfekcją. I tu czegoś nie rozumiem, choć na dobrą sprawę wszystko jest aż za jasne. Nie rozumiem jednego: przez co najmniej pięć lat państwo łożyło na kogoś, kto jest potrzebny w aptece, w sądzie, w instytucie badawczym itp. A ten ktoś zaraz po skończeniu studiów wypina się na owe placówki i staje za kontuarem sklepiku, by handlować ciuchami. Owszem, gdyby ten ktoś ukończył studia na własny koszt, moje pretensje byłyby bezzasadne. Natomiast jakoś nie mogę pogodzić się z marnotrawstwem środków i sił, jakie przeznacza państwo na kształcenie przyszłych właścicieli „butików". Tylko wątpię, czy uzyskam w tej sprawie jakieś racjonalne wyjaśnienie. I kto ma go mi udzielić?

Inne pytanie: jak to się dzieje, że dopóki ludzie kombinują, prowadzą nielegalną działalność, jeżdżą po Polsce od jednego krańca po drugi — są zdrowi jak rydze. Wystarczy jednak by znaleźli się w areszcie — zaczynają chorować, tracą siły, zasypują prokuraturę podaniami, w których przedstawiają swój tragiczny stan zdrowia, który uniemożliwia im pobyt w miejscu odosobnionym i sprzyjającym kontemplacji? Jeden z podejrzanych twierdzi, że „przehulał" swoją dolę uzyskaną z wykonywanego procederu (pół miliona! było co przepuszczać nawet w kryzysie!) i czuł się świetnie, a teraz ledwo zipie i nie wie, czy wytrzyma do rozprawy, nie mówiąc już o jakiejkolwiek odsiadce.

Są to pytania, sądzę, absolutnie retoryczne.

## RZECZ DO WYJAŚNIENIA

W zeznaniach zatrzymanych osób przewinęło się nazwisko pewnego byłego pracownika wymiaru sprawiedliwości, który za skromną opłatą, miał „sprawie łeb ukręcić". Zapewne odpowiednie organa ustalą czy rzeczywiście ów człowiek — twierdzący rzekomo, że ma wpływy zarówno w prokuraturze, jak i w Urzędzie Spraw Wewnętrznych — istnieje naprawdę, czy może powstał w wyobraźni któregoś z osadzonych w areszcie kombinatorów. Obecnie sprawa wygląda następująco: po wpadce w Zabrzu Paweł G. poprzez swojego kolegę nawiązał kontakt ze wspomnianym już prawnikiem, prosząc, by ten zainteresował się i zorientował się czy jest możliwość „załatwienia" sprawy. Prawnik obiecał. Paweł G. i Paweł Józef S. przeznaczyli na ten cel 250.000 zł, z czego na początku kwietnia br. wręczyli prawnikowi 45.000 zł, a po kilku dniach dalsze 35.000 zł. Resztę miał otrzymać po załatwieniu całej, jakże niemiłej, sprawy. Był także jeszcze ktoś drugi, kto podjął się „załatwienia", który także wziął 80.000 zł od Pawła G. i Pawła Józefa S. I także nic nie załatwił. Cała szóstka znalazła się pod kluczem.

Tak przedstawiają się krótkie dzieje ludzi, którzy usiłowali zaspokoić popyt na modne, zagraniczne ciuchy. Sądzę, że zbliżający się proces niewiele nowego wniesie do sprawy, jako że wszyscy przyznali się do zarzucanych im czynów. Do wyjaśnienia pozostaną jedynie postawione w tym artykule pytania.

# Gruzińskie wiersze

**W roku przyszłym ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego antologia dawnej i współczesnej poezji gruzińskiej. Na obszerny tom złożą się przekłady ponad pięćdziesięciu tłumaczy, którzy zadali sobie trud przyswojenia naszej literaturze nieprzemijających wartości gruzińskiego słowa.**

**Wyboru wierszy i opracowania antologii dokonał Igor Sikirycki. Prezentujemy kilka wierszy w jego przekładach zaczerpniętych ze wspomnianej antologii.**

*Nazi Kiłasonja*

## Roboczy lud

**Pierś moją zdobi czerwona gemma,**
**Na przekór śmierci, sławiąca trud.**
**Oto, poeci, ogromny temat**
**I groźny temat: — Roboczy ludi**

**Ledwie powstałem — grom salwy pierwszej,**
**Lecz nie umilkłem, gniew tylko wzrósł.**
**Z pustymi dłońmi idę na Wersal:**
**„Chleba"! — grzmi okrzyk z tysięcy ust.**
**W boju melodia pieśni dojrzewa,**
**Pieśni płynącej przez setki mil,**
**Mnie jej walczący uczyli śpiewać**
**Poeci:**
**Pieszkow,**
**Pottier**
**I de Lisle.**
**Mam Pere-Lachaise**
**I kopalnie nad Leną,**
**Po których ciekła strumieniem krew.**
**Lecz rozstrzelany tworzyłem dzieje**
**I młodym stary wszczepiłem gniew.**
**W księdze epoki jest moja rubryka,**
**Co pracę sławi po wieczny czas:**
**— Viva republica!**
**— Viva republica!**
**— Viva republica roboczych mas!**

**„Pamiętasz, kochasz, to pieśni stara,**
**Kark prostujące chórem do gwiazd,**
**Te wielkoduszne i pełne żaru,**
**Najbliższe sercu roboczych mas?**
**Już się jednako kręci planeta**
**Dla każdej rasy, nie tak jak wprzód.**
**Śpiewać ci każe teraz, poeto**
**Jego majestat — roboczy ludi**

**Zapamiętajcie, że to z nim przeciet**
**Aż do ostatnich śpiewali chwil,**
**Atakujący wieloy poeci:**
**Pieszkow,**
**Pottier**
**I Rouget de Lisle!**

*Łado Sulaberidze*

## Okop

**Jam go łopatką wyrył na wzgórzu,**
**Choć niezbyt długi, wąski i ciasny,**
**Morza Czarnego stał się przedmurzem,**
**Krymu osłoną, domem mym własnym.**
**Choć wicher chmury w te strony goni**
**I sporo śniegu na mnie wygarnął,**
**Choć mróz kryształem tej nocy dzwonił,**
**Okop mi nie dał na kość zamarznąć.**
**Wolę, by stał się moją mogiłą,**
**Niż to, by wróg go zdołał przekroczyć.**
**Jeśli go zetrze i zmiażdży siłą,**
**Niechaj mnie wieczna ciemność otoczy.**
**Jam go łopatką wyrył na wzgórzu,**
**Choć nieszeroki i nieogromny,**
**Jest twierdzą, której nie można zburzyć,**
**Jest barykadą — murem niezłomnym.**
**On mnie ochrania i ja go chronię,**
**Jak próg w mym domu jest mą ostoją.**
**Tarczą ojczyzny jest w moich dłoniach,**
**A ta ojczyzna jest tarczą moją.**

*Taryjel Czanturija*

## Zima

**„Wir zamieci kłębił się w platanach**
**I mróz srebrnym ściegiem szyby bielił,**
**wtedy pierwsza spać się kładła mama,**
**żebym ja mógł w ciepłej lec pościeli.**
**A umiała już o świcie wstawać**
**i miotełką z izby wymieść ciszę**
**i na czas przyrządzić ciepłą strawę,**
**by do dziecka nigdy głód nie przyszedł.**
**I umarła spracowana, a do grobu**
**trwożne myśli o mnie wzięła z sobą,**
**Nie ma jej ni w domu ni na dworze,**
**nad jej sercem śniegu warstwa biała,**
**wcześnie zmarła, kto wie, dla mnie może**
**miejsce w ziemi także ogrzać chciała...**

*Wachtang Dżawachadze*

★ ☆ ★

**I nadszedł ten dzień: na Księżyc nogę postawił człowiek,**
**A tutaj na dole, na ziemi brzemiennej grzechami,**
**Na oczach liczącej trzy i pół miliarda ludzkości**
**Powoli jak słońce pogrąża się wciąż w oceanie**
**Ten statek, co przetrwał już wieków piętnaście**
**— Wenecja.**

*Anna Kałandadze*

## Czemu zmyliłeś ścieżkę

**Na święto wioski Cabaurta**
**W góry wybrałeś się z rodziną,**
**Patrzyłeś jak w Aragwy nurtach**
**W dole obłoków cienie płyną.**

**Lecz ominąłeś, schodząc na dół,**
**Ozlaurich dom wciąż odwiedzany.**
**Nie zostawiłeś nawet śladu**
**I tym zabiłeś serce Anny.**

*Michał Kwliwidze*

## Nostalgia

**Pod ścianą — kanapa, na kanapie — człowiek...**
**Na ścianie mapa, na mapie — Gruzja...**
**I człowiek słyszy z jakim hukiem pędzi jego krew**
**Po żyłach rzek i dróg leżących na mapie Gruzji.**

★ ☆ ★

**Czas — to czekanie na kres, na koniec.**
**Przestrzeń — odległość do tego końca.**
**I ja do kresu mknę nieustannie.**
**Mija południe, zniża się słońce!**

**Oto i wieczór już niedaleko...**
**W sercu zaduma jak ciężki kamień —**
**Czyżby to całe życie człowieka**
**Było na kres ten oczekiwaniem?!**

*Dżansug Czarkwiani*

## Tylko nie martw się

**Tyli o nie martw się, okno otworzę**
**I wnet pokój w słońcu się zanurzy,**
**Tylko nie martw się, okno otworzę**
**I nie będę już nigdy brwi chmurzyć.**

**Otrzeźwieję za chwilę zupełnie,**
**Twa zaduma obmyje mi oczy,**
**Cały dom się ptakami wypełni,**
**Tak jak wtedy, tej pamiętnej nocy.**

**Ja się zmienię, zupełnie się zmienię,**
**Wtedy biegnąc polem roześmianym**
**Znów się znajdziesz przy mnie w okamgnieniu**
**I zawołasz: „Przebaczam, kochany!"**

**Tylko nie martw się, okno otworzę,**
**I wnet pokój w słońcu się zanurzy,**
**Tylko nie martw się, okno otworzę**
**I nie będę już nigdy brwi chmurzyć.**

**Przełożył: IGOR SIKIRYCKI**

*Rys. Janusz Szymański-Glanc*

ANDRIEJ BAZYLEWSKI

# Gałczyński i Rosja

**Wspólnota i duchowa łączność polskiej i rosyjskiej kultury znajduje jeszcze jedno potwierdzenie w twórczości Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, którego osiemdziesięciolecie obchodzą obydwa nasze narody. Gałczyński, tak jak jego współcześni — Władysław Broniewski, Julian Tuwim, Stanisław Ignacy Witkiewicz — uważał kulturę Rosji za ważną część duchowego doświadczenia ludzkości a jej najnowszą historię — za niezbędny etap rozwoju społecznego świata.**

**Gałczyński czytał rosyjską literaturę w oryginale, przekładał rosyjskich poetów. Jak wspominają jego współcześni, mógł długo z pamięci recytować wiersze Aleksandra Puszkina, Michała Lermontowa, Aleksandra Błoka, Siergieja Jesienina. Szczególnie bliska była Gałczyńskiemu — przez swobodę i napięcie poetyckiego uczucia — twórczość Jesienina. Nie na darmo w latach międzywojennych krytyka przy-**

czepiwszy mu etykietkę „wesołego dekadenta a la Russe" nazywała go „polskim Jesieninem". W utworach Gałczyńskiego często można spotkać cytaty i aluzje do utworów rosyjskich pisarzy, zawierają one bogaty materiał do typologicznych badań. Mikołaj Gogol, Aleksander Błok, Włodzimierz Majakowski — to tylko niewielka ilość nazwisk z tych, które przy tej okazji można wymienić.

Gałczyński lubił żartobliwie podkreślać podobieństwo swoich życiowych perypetii z losem Puszkina, widząc w tym jak gdyby znak poetyckiego posłannictwa. Twórczy wzlot 1950 roku, kiedy to został napisany poemat „Niobe", nazywał swoją „bołdyńską jesienią". Dodatkowe asocjacje wysnuwał z imienia swej żony, Natalii Awałowej, Rosjanki gruzińskiego pochodzenia. Pobrali się w 1930 roku w warszawskiej cerkwi prawosławnej na Pradze. *„Tęsknię za tobą* — pisał Gałczyński do żony w 1948 roku z Moskwy — *Dlatego, że poza wszystkim innym, w dniu dzisiejszym widziałem w kremlowskim muzeum korony ślubne Puszkinów. A przecież — ty też jesteś Natalia".* Z Moskwy przywiózł obrączki ślubne. Był to dla Gałczyńskiego akt symboliczny, podkreślający jego jedność z poezją wysokiego lotu, z wielką sprawą wyzwolenia ludzi zaczętą po obu stronach Bugu — granicy, która teraz „nie dzieli, ale jednoczy". Z prawdziwie puszkinowską żarliwością witał nowy, na jego oczach rodzący się świat.

**Taki stosunek do Rosji wynikał już z samej biografii poety. Jesienią 1914 roku, jako dziewięcioletni chłopiec, był wraz z rodzicami ewakuowany do Rosji. Cztery lata, do końca 1918 roku, Gałczyński mieszkał na jednej z ulic Zamoskworieczia, w licznej na owe lata kolonii polskiej. Uczęszczał do kierowanej przez Władysława Giżyckiego szkoły przy Polskim Komitecie Narodowym. Uczył się grać na skrzypcach, uczestniczył w spektaklach teatru amatorskiego, zaczynał pisać wiersze, które po wielu latach tak wspominał: *„Pierwszy wiersz, „Sonet do miłości" napisałem w Moskwie w 1915 roku na tle miłosnych przeżyć... Wiersze pozostały w rękopisie".* Wczesne poglądy Gałczyńskiego na świat i sztukę formowały się niewątpliwie pod wpływem otaczającej go rosyjskiej rzeczywistości czasu przedrewolucyjnego i pierwszych lat rewolucji — potwierdzenie tego odnajdujemy w jego późniejszej twórczości. Żywioł języka rosyjskiego, który w dzieciństwie otaczał poetę, na całe życie stał się skarbnicą materiału językowego, źródłem metafor i kalamburów — w twórczości, stosunkach towarzyskich i korespondencji.**

Trzydzieści lat po opuszczeniu Moskwy, w listopadzie 1948 **roku Gałczyński jest tu ponownie — razem z grupą polskich pisarzy uczestniczy w obchodach rocznicy Rewolucji Październikowej. Reportaż o wrażeniach z podróży nagrany przez Gałczyńskiego w moskiewskim radiu, świadczy o jego pełnym sympatii i entuzjazmu stosunku do Kraju Rad. Gałczyński zaczyna pracować nad „wieńcem" z dwudziestu wierszy pod wspólnym tytułem „Moskwa 1948" zamierzając wydać je w oddzielnej książce (później ten pomysł zmienił się, wiersze z tego cyklu weszły do zbioru „Ślubne obrączki"). Już we wczesnym okresie twórczości poety uformował się jego ideał moralny, któremu był wierny przez całe życie: ideał pracy dla dobra ludzi, harmonijnego obcowania człowieka z człowiekiem. Z tych właśnie pozycji w latach 20 i 30-tych osądza Gałczyński burżuazyjne społeczeństwo w poematach „Koniec świata", „Bal u Salomona", „Zabawa ludowa" w powieści „Porfirion Osiełek czyli klub świętokradców", w wierszach satyrycznych. Nie przypadkiem siły prawicowe tak się starały skompromitować poetę, związać mu ręce. Gałczyński jednak nie pozwalał, aby ktoś nim kierował, jego paradoksalna poetyka, oparta na „przestawieniu znaków emocjonalnych" (termin Bolesława Micińskiego coraz to zaskakiwała niespodziankami. W odpowiedzi na próby „radykalnych nacjonalistów" zmierzające do zapisania go na listę „swoich", Gałczyński ironicznie zauważał *„W każdym kraju satyrze trudno"* — i demonstracyjnie drukował w książce, która wyszła pod szyldem „Prosto z mostu" wiersz „Rosja" — otwarcie dywersyjny wobec programu ONR-owców.**

**Z tego tekstu jasno wynika, że Rosja dla poety — to ziemia — skarbnica wspólny dom, którego drzwi otwarte są dla wszystkich, tych zmęczonych, tych przeznaczonych na bolesne życie. Wszędzie, gdzie ludzie żyją jak bracia, zapewnia poeta —**

*...wszędzie tam,*
*choćby to było na końcu świata —*
*jest Rosja.*

**Trzeba było być obdarzonym prawdziwym obywatelskim męstwem, aby w warunkach sanacyjnej dyktatury wyrazić sympatię do kraju rewolucji. Tym bardziej znaczący jest ten wiersz w twórczości poety, który w tym czasie niesłychanie rzadko wypowiada się tak otwarcie i patetycznie.**

**Stałym motywem w poezji Gałczyńskiego dwudziestych i trzydziestych lat jest fantastyczna podróż, ucieczka do baśniowego kraju, gdzie spełniają się nadzieje. Exodus „dobrych ludzi" ze zwykłego świata przyjmuje masowy charakter, czarodziejskie „buty szewca Szymona" prowadzą lud do ziemi obiecanej, „gdzie nie ma wojny i smutku". Ta ziemia ma wiele nazw — i „Arabia szczęśliwa" i „brzegi rzeki Limpopo" i wymyślona przez poetę Farlandia i — Rosja. „Szeroka droga bez właściciela", po której idą ludzie z całego świata, jest dla Gałczyńskiego symbolem idealnego bytu, swobodnego i wspólnego dążenia ludzi do prawdy.**

**Powojenna twórczość autora „Niobe" przepojona jest przekonaniem, że ten oczekiwany proces się zaczął i że prawda w ostatecznym rezultacie zatriumfuje. Nie ma wątpliwości: wiatr historii, od którego „trzęsą się portki pętakom" jest i „świeży", i „surowy". W tym wietrze zginie to, co powinno, mówiąc językiem Puszkina, „butwieć", ocaleje zaś wszystko, co rzeczywiście jest człowiekowi niezbędne: wiedza, twórczość, miłość — fundamentalne pojęcia etyki Gałczyńskiego. W powojennych latach z nową siłą rozwija się krytyczny społecznie, groteskowy kierunek twórczości poety — miniatury teatrzyku „Zielona Gęś", „Listy z fiołkiem", wiersze satyryczne przypominają „Porfiriona Osiełka" i „Zabawę ludową". Jednocześnie „mistrz Ildefons" nie wstydzi się retoryki i jednoznaczności, kiedy jest mowa o rzeczach dla niego bezspornych.**

**W wielu liryczno-publicystycznych wierszach lat 1946—1952 („Dwie gitary", „Słowianie", „Przed mauzoleum Lenina", „Kwiaty na tor", „Rozmowa miast" i in.) Gałczyński mówi o braterstwie polskiego i rosyjskiego narodu, spokrewnionych przez wspólny ból i wspólną walkę. „Tajemnica ta sama i tęsknota i ton" — w tych wierszach kryje się sens stosunku poety do Rosji. Wołga i Wisła, Wawel i Kreml, Stalingrad i Warszawa — to są pojęcia nierozdzielne. Dwa narody — to dwie ręce zajęte trudną pracą — tym, co Gałczyński po prostu nazywa „naszą sprawą". Te ręce trzymają „jednaką tarczę i włócznię", w każdym narodzie są ludzie „którzy nie zawiodą". Mają jedną drogę i jedną pieśń razem, nareszcie razem, w jednym szeregu.**

Opatrując jeden ze swoich wierszy mottem z Jesienina — *„Otdam wsiu duszu Oktiabriu i Maju, no tolko liry miłoj nie otdam"* — poeta dodaje *„Nasz Październik był w Lipcu. Jemu dam nawet lirę".* Polski poeta pisze: *„Rzucam kwiaty na tor, którym przejeżdża rewolucja".* W to, że „centrum globu przesunęło się na wschód" poeta nie wątpi. Do mauzoleum Lenina przychodzi jak do spowiedzi: *„Grzeszny człowiek, po latach błądzeń wreszcie dotarłem tu".* „Jak do roentgena" — powiedziałby Andriej Wozniesienski, który za kilka lat przyjdzie tutaj z tym samym pytaniem: „Powiedz Leninie — czy jesteśmy tacy, jak tego chciałeś?" Pytanie o moralną, obywatelską powinność artysty zawsze Gałczyńskiego niepokoiło. Ostatnim rękopisem, który pozostał na jego biurku jest „Wyspa Magelomania", satyra na pseudoartystów, uważających się za pępek świata bez najmniejszych do tego podstaw. Jakże daleki jest od tej przyziemności sam Gałczyński, dobry majster, oddany ludziom, który podarował samego siebie wszystkim ludziom świata.

„Trąbki świątecznej poczty" Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego są dziś słyszalne na wszystkich krańcach świata. Nasz poeta, nasz współczesny, nasz odważny i wierny przyjaciel — takim jest Gałczyński dla radzieckiego czytelnika. Radzieccy poeci wiele zrobili w dziele popularyzacji jego twórczości — przekładali Gałczyńskiego Leonid Martynow, Michał Swietłow, Borys Słucki, Dawid Samojłow, Aleksander Rewicz, Asar Eppel, Anatol Geleskuł i inni. Na język rosyjski przełożono przeszło sto wierszy Gałczyńskiego, wiele miniatur „Zielonej Gęsi". Oczywiście, tłumacze mają jeszcze wiele „długów", ale cały szereg tekstów ma już swoją translatorską tradycję: są np. trzy opublikowane warianty „Zaczarowanej dorożki". Utwory autora „Balu u Salomona" przełożone na kilka języków narodów ZSRR, dwukrotnie wychodziły w książkach w języku rosyjskim (1962, 1967), dwukrotnie też jako duże wybory w antologiach (1969, 1975), były publikowane w almanachach i w prasie periodycznej wielu republik. Zbiór wierszy Gałczyńskiego wyszedł w języku gruzińskim (1971). Twórczość poety dawno stała się przedmiotem badań naukowych radzieckich literaturoznawców. Miniatury teatralne wystawiano na scenach. Nie istnieje problem jak w ZSRR „ocalić od zapomnienia" Gałczyńskiego. Chodzi tylko o to, aby przedstawić radzieckiemu czytelnikowi jego twórczość w jak najpełniejszym wymiarze.

**Przełożył:**
**MAREK WAWRZKIEWICZ**

## Relikt czy awangarda?

# Jerzy Żak

Jerzy Żak urodził się w Łodzi i w tym mieście uzyskał swe muzyczne wykształcenie jako gitarzysta, będąc studentem doc. Aleksandra Kowalczyka. Jeszcze jako student brał udział w mistrzowskich kursach w Grecji (Costas Cotsiolis) i Francji (Abel Carlewaro). W 1980 r. wyjechał na stypendium do Alicante w Hiszpanii, gdzie doskonalił swój warsztat pod kierunkiem Josè Tomasa. Będąc jeszcze gitarzystą Żak zdobył nagrody na konkursach w Polsce i za granicą. Nieustanne zagłębianie się w muzykę, obserwacja innych gitarzystów, jak również poszukiwanie własnych środków ekspresji znalazło wyraz w nieoczekiwanej formie — była to fascynacja brzmieniem dawnych instrumentów, brzmieniem lutni. Od roku akademickiego 1983/84 J. Żak jest asystentem doc. A. Kowalczyka w Akademii Muzycznej w Łodzi. Jako lutnista zdobył pierwsze miejsce na konkursie muzyki dawnej w Manchester w lutym 1983 r.

**Jest pan dyplomowanym gitarzystą, laureatem wielu konkursów gitarowych. Co skłoniło pana do zawężenia swoich działań, do zainteresowania się muzyką dawną, do gry na lutni?**

W zasadzie już od średniej szkoły muzycznej bardzo pociągał mnie renesans i barok. Grając na gitarze klasycznej sporo tej muzyki wykonywałem. Prawdziwa fascynacja nastąpiła jednak podczas mojego stypendium w Hiszpanii. Tam, na letnim kursie muzyki dawnej, na który pojechałem z ciekawości i sympatii do tej muzyki, usłyszałem kopie dawnych instrumentów, inny rodzaj śpiewu. Zetknąłem się po raz pierwszy z tzw. autentycznym wykonawstwem muzyki dawnej, polegającym na możliwie wiernym przypomnieniu zarówno dawnego instrumentarium, sposobów gry — modnych wówczas manier wykonawczych i wielu innych elementów. Klimat i brzmienie tak granej muzyki, którą już przecież znałem, było tak nowe i fascynujące, że decyzja specjalizacji w tym kierunku była już naturalną konsekwencją.

**Gdzie zgłębiał pan tajniki gry na tym niedzisiejszym instrumencie?**

Prosto z Hiszpanii pojechałem do Anglii, do Londynu, gdzie badania na tym polu jak i praktyczne, brzmiące osiągnięcia oraz system edukacji w tym zakresie stwarzały dobre warunki do takiej specjalizacji.

**Obecnie jest pan koncertującym lutnistą. Czy zapotrzebowanie na tego rodzaju muzykę jest duże?**

Może to dziwne, ale muzyka historyczna, czyli ta którą tworzono wiele pokoleń wcześniej niż powstała pierwsza płyta gramofonowa, mimo pozornie rozległych badań muzykologicznych, wciąż pokryta jest grubą warstwą kurzu. Nie chodzi tu jednak o sam zapis, nuty, ale raczej styl czy maniery wykonawcze. Praktyki te wyszły dawno z użycia, również instrumenty i sposób gry na nich. Wymaga to najpierw badań, a później wykonania. Jest to trochę smutne, ale muzykologia polska raczej nie zajmowała się dotąd problemami praktyk wykonawczych. To się ściśle wiąże z problemem zapotrzebowania, bo skoro nie zajmowano się muzyką dawną od tej strony, albo bardzo sporadycznie, to takie zjawiska jak autentyczne wykonawstwo miały miejsce na estradzie niezwykle rzadko.

Takie koncerty, recitale wymagają trochę innego odbioru. Przecież choćby my sami zmieniliśmy się „nieco" przez te 300, 400 lat, przecież tempo życia, w tym również tempo, w jakim się gra lub naturalnie słucha muzyki — to choćby najprostszy przykład. W związku z tym trudno powiedzieć o zapotrzebowaniu w sensie ogólnym. Zaczyna kiełkować zainteresowanie, odkrywanie tego nowego-starego sposobu robienia muzyki na razie wśród kręgów profesjonalnych, czy bardziej wyrobionych melomanów. Ponieważ jednak ruch muzyki dawnej, że go tak nazwiemy umownie, w Polsce dość żywo zaczyna się ujawniać, tak więc myślę, że zainteresowanie zacznie rosnąć.

**Częściej jest pan solistą czy akompaniatorem?**

Lubię muzykę zespołową, choćby w duecie i bardzo chętnie ją gram, szczególnie ostatnio. Może na zasadzie przesytu muzyką solową, której nieproporcjonalnie wiele zwykło się aplikować w zawodowym szkolnictwie muzycznym w Polsce, może z przekory do współczesnej praktyki koncertowej, gdzie bożyszczem jest solista-wirtuoz w romantycznym fraku? Włoski termin concertare, to przecież nie tylko współzawodniczyć, ale i współgrać, a ostatnio coraz chętniej tak się go właśnie tłumaczy, szczególnie w odniesieniu do muzyki XVII i XVIII wieku, którą zajmuję się od trzech lat.

**Kto w Polsce oprócz pana koncertuje na lutni i czy wymieniacie doświadczenia?**

Są bodaj jeszcze dwie osoby, ale chyba zbyt daleko od siebie mieszkamy. Marzą mi się podobni entuzjaści w Łodzi, ale tych chyba dopiero sam będę musiał sobie wychować. Pozostaje cierpliwie czekać.

**Skąd pan ma instrument?**

Podczas studiów w Anglii udało mi się z niemałym trudem zaoszczędzić potrzebną sumę i zamówić lutnię. Jest to zgodnie z opisywanymi przeze mnie tendencjami w wykonawstwie tej muzyki wierna kopia XVII-wiecznego instrumentu.

Odkąd wróciłem z Londynu zacząłem bardzo usilnie poszukiwać lutnika, który zrobiłby dla mnie następny instrument. Rodzina lutni jest bardzo szeroka i dlatego chciałbym mieć chociaż kilka — do muzyki solowej, do akompaniamentu itp. Z przykrością muszę powiedzieć, że chyba nikogo na szerszą skalę nie pociąga taka specjalizacja. Być może moje poszukiwania czy namowy odniosą jakiś skutek, ale póki instrument taki nie powstanie, trudno mówić czy ktoś się tym zajmuje.

**Oprócz działalności koncertowej znajduje pan również czas na pracę naukową i pracę ze studentami?**

Chcąc grać muzykę dawną wprost nie sposób pozbawić tej praktyki pewnych dociekań czy badań o charakterze muzykologicznym. Efekt jednego i drugiego wspaniale sprzedaje się w akademii, gdzie pracuję przy sekcji gitary klasycznej. Prowadzę tam praktyczne zajęcia z czytania tabulatur lutniczych i gitarowych, jak również typowo barokowego systemu akompaniamentu, zwanego basso coutinno.

**Jakie jest zainteresowanie muzyką dawną w Łodzi?**

W innych miastach polskich: w Warszawie, Krakowie, szczególnie Bydgoszczy, Gdańsku wiele się już wydarzyło w tej dziedzinie. W samej stolicy istnieje kilka zespołów, zajmujących się muzyką dawną, a w bieżącym sezonie da się usłyszeć, montowany od dłuższego czasu pierwszy w Polsce zespół instrumentów barokowych. Tymczasem w Łodzi praktycznie nic się nie dzieje w tym kierunku. Moja aktywność natrafia na duże problemy, chyba przede wszystkim nieufność samych muzyków do takiego wykonawstwa muzyki historycznej. Smutkiem napełnia również fakt, że filharmonia w naszym mieście, bądź co bądź wiodąca instytucja koncertowa w Łodzi, wydaje się zupełnie nie dostrzegać tego nurtu w muzyce.

Obok muzyki współczesnej, autentyczne wykonawstwo muzyki dawnej jest od kilkunastu lat awangardą na światowym rynku koncertowym. Do Polski od kilku już lat zaprasza się znane nazwiska tej branży. Niestety Łódź nigdy nie pojawiła się na ich trasie koncertowej. Mam natomiast bardzo wiele uznania i wdzięczności osobistej dla władz Akademii Muzycznej, które pozwoliły mi realizować moje pomysły na terenie uczelni. Są to przecież zupełnie nowe przedmioty w szkolnictwie muzycznym. Sądząc z dotychczasowej współpracy mam nadzieję na rozwinięcie i wzbogacenie tej działalności.

**Co doradziłby pan młodemu muzykowi, który chciałby grać na lutni?**

Postarać się o instrument. W naszej rzeczywistości to najtrudniejsze. A potem... z radością podam swój adres.

**Jakie plany chciałby pan zrealizować w przyszłości?**

Planów to ja mam zawsze więcej niż możliwości ich realizacji. Otóż nie czuję się tylko lutnistą, czuję się w środku całego tego zjawiska, które dziś nazywamy muzyką dawną, zatem interesuje mnie każdy instrument, łącznie z głosem. To, co szczególnie mnie pociąga to muzyka zespołowa, dlatego z pewnością ogromną satysfakcję da mi przygotowanie dużej formy wokalno-instrumentalnej. Z muzyką dawną ściśle łączy się również dawny taniec, symbolika gestu używanego przez śpiewaków-aktorów i tancerzy w tej samej osobie. Złożenie wszystkich tych elementów epoki realizuje się na przykład w teatrze barokowym. I taka właśnie duża forma wokalno-teatralno-instrumentalna jest gdzieś na końcu moich marzeń.

**Kiedy usłyszymy pana w Łodzi?**

W naszym mieście w grudniu. Będą to II Łódzkie Dni Muzyki Gitarowej, których będę kierownikiem artystycznym. Nie wiem jeszcze czy będę grać na tej imprezie, ale zainteresowani usłyszą tam na pewno wiele ciekawej muzyki, w tym również dawnej. Będą wykłady, koncerty, recitale.

**J. M. B.**

# Zamyślenia nad „Nocą saksofonów"

1.

I już ostatnie zdanie: „...Był wściekły, zszokowany. Wiedział, że wkrótce afera obrośnie legendą, o której wspominać się będzie przy kawiarnianych stolikach jeszcze za dziesięć — dwadzieścia lat".

Koniec. Oj widać, widać, że Autor z niejedną chałturą miał do czynienia, niejedną „trasę" zaliczył z wyranżerowanymi aktorami i śpiewaczkami. Na trasie zaś — od gustownych sal w marmurki do remiz strażackich, od knajp kategorii „S" do mordowni, od markowych koniaków do „CCC" („cysta cerwona capslowana").

Samo życie.

Igorów było (a może jeszcze jest?) na pęczki. Gdyby zaś trochę pozmieniać szczegóły — „Noc saksofonów" starczyłaby na kilka przynajmniej biografii.

Różnych afer było również sporo. Mroczne, na ogół nieznane „P.T. Publiczności" zawiłe i kręte ścieżki kiezmerskiego życia. Na styku (ongiś) z „czystym jazzem", potem z „kolorowa" muzyką („Niebiesko-Czarni", „Czerwono-Czarni", „Trubadurzy", słowem — prekursorzy na miarę PRL). Z muzyką uprawianą nie dla siebie, ale — by żyć. Czasem dlatego, by pokazać się „artystą", czasem zgodnie z porzekadłem: „ze wszystkich kolorów najlepiej lubię zielony". Od wiązania końca z końcem do dużego „szmalu". Jak się kto potrafił ustawić, jaką miał odporność psychiczną.

Wdzięczny jestem nawet Andrzejowi Makowieckiemu, że w ten sposób, chyba pierwszy, wszedł w temat. I dlatego gotów jestem puścić w niepamięć takie drobiazgi jak punki i „zadyma" na Lumumby w początkach lat sześćdziesiątych. Panie Andrzeju — okres „końca" jazzu, stawki 500 zł, płyty Urbaniaka i organy — wszystko do jednego worka i w jednym czasie? Ale rozumiem: prawo Autora do elastycznego operowania czasem i faktami. Gdyby jednak ktoś za kilkanaście lub kilkadziesiąt lat szukał źródeł i realiów, to co?

Śliczna jest natomiast scenerią przesłuchań w Pagarcie, nauki o umiejętności dzielenia (się z kimś)... Także szereg innych momentów (te niezapomniane zabawy nocne i wypłaty!). Dlatego już milknę i przestaję wybrzydzać na Autora. I ja tam by(wa)łem, miód i — no mniejsza z tym, co dalej! Kawał życia.

2.

Zamyśliłem się i zacząłem wpatrywać w okładkę powieści.

W pewnym momencie zorientowałem się, że obok mnie stoi jakiś osobnik. Szczupły, ciemny, z wąsikami. Był wyraźnie niespokojny i po chwili odezwał się:

— No, niech Pan powie — co to za instrument?

— Jak to, oczywiście — saksofon!

Zachnął się.

— Chyba Pan żartuje; czyżbym nie znał swojego wynalazku?

To jest tylko podobne do saksofonu.

Poczułem lekki dreszczyk.

— A kim Pan jest?

— Ja? A przepraszam, jestem Adolf Sax. Rozumiem, że może mnie Pan nie poznawać, lecz czy trudno się domyślić?

Rzeczywiście. Wyglądał na Francuza. Ale — jak my się porozumiewamy? Przecież francuskiego nie znam, a czy On zna polski? Nie było jednak czasu na zastanawianie się nad tą dość dziwną sytuacją. Grzeczność nakazywała, aby kontynuować rozmowę.

— Panie Sax, o co konkretnie Panu chodzi? Przecież tak na oko to wszystko jest w porządku...

To moje stwierdzenie wyraźnie wzburzyło Pana Sax.

— Właśnie! Na oko! Lecz niech się Pan dokładnie przyjrzy: Po wielkości instrumentu sądząc — ma to być saksofon tenorowy. Więc dlaczego góra wygląda jak od altu? Ja tak nie wymyśliłem! A spójrz Pan na tego saksofonistę (ze zdenerwowania był coraz mniej grzeczny: już nie „proszę Pana", lecz „spójrz Pan"), to skandal! Jak świat światem — górne rejestry mojego instrumentu obsługiwane są przez l e w ą rękę, a dolne przez prawą. I inaczej być nie może, bo na odmienny chwyt — gdy się chce swobodnie grać — nie pozwala konstrukcja i układ klap. „Lewych" saksofonów jeszcze nie widziałem, tak jak nie widziałem fortepianów z basem w prawej ręce, a tonami wysokimi w lewej. A może Pan uwierzy, że ktoś odwrotnie chwyta akordeon? „Szarpidruty" — jak wy to dzisiaj mówicie — mogą sobie przestawiać swoje gitary jak chcą. Ale nie mój wynalazek. I nie jest to celowa zmyłka; to lipa na sto tysięcy egzemplarzy, to kala moje dobre imię i maluczkich wprowadza w błąd! Patrzę z góry na jazzmanów jak świetnie wykorzystali mój instrument, a tu ta okładka... Nawet t a m człowiek nie ma spokoju...

Fukał, posapywał, był strasznie zdenerwowany. Stawał się coraz bardziej przezroczysty i w pewnym momencie zniknął!

3.

Przetarłem oczy i znów zacząłem wpatrywać się w okładkę. Rzeczywiście — miał rację!

Ale za to jeśli chodzi o inne elementy kompozycji — widać głęboką znajomość rzeczy i lwi pazur Twórcy. Nie da się ukryć.

Były to jednak dla Pana Sax sprawy uboczne, skoro nic o nich nie wspomniał. I nawet się nie dziwię. Był pewno perfekcjonistą w swojej dziedzinie.

**WITOLD AFELT**

*„Noc saksofonów" — Andrzej Makowiecki, KAW Łódź, 1984. Okładka i strona tytułowa — Janusz Szymański-Glanc.*

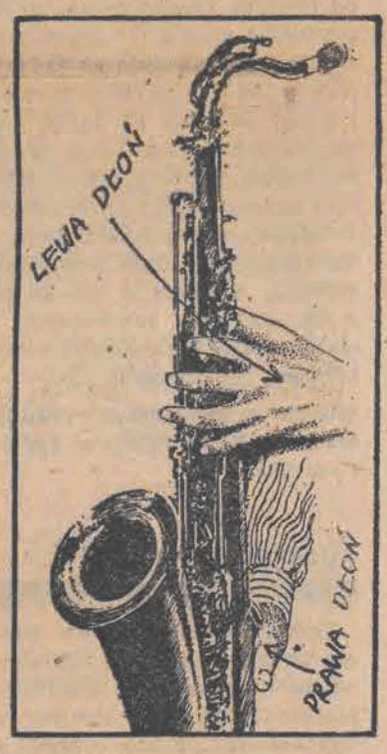


*Rys. Janusz Szymański-Glanc*

# „Polskę robić od nowa"

Kolejny już raz Kazimierz Kutz w swoim najnowszym filmie pt. **„Na straży swej stać będę"** powraca na tereny Górnego Śląska, tak bliskie jego sercu, będące od wielu lat źródłem fascynacji i twórczej inspiracji. Jeżeli przyjrzymy się bliżej poszczególnym filmom, to stwierdzimy, że układają się one w pewną triadę, ukazującą historię tego regionu. Począwszy od „Soli ziemi czarnej", która przypominała dzieje powstań śląskich, poprzez „Perłę w koronie", ukazującą nieugięty opór polskich górników przed niemieckim kapitałem w czasie jednego ze strajków. Zakończeniem tej śląskiej triady jest właśnie ostatni film „Na straży".

Wszystkie poprzednie filmy Kutza zjednały sobie szerokie rzesze zwolenników, i to zarówno wśród publiczności, jak i u krytyki (co w naszym kinie jest rzeczą raczej rzadką), która podkreślała wysoki poziom artystyczny i intelektualny tych filmów. Wspominam o tym dlatego, ponieważ niestety w stosunku do „Na straży" aż tak pozytywnych ocen nie będzie można powtórzyć. Stało się tak z kilku przyczyn, które znacznie obniżyły jego wartość.

Podstawowy chyba błąd w „Na straży" tkwi już na poziomie scenariusza, w poprowadzeniu fabuły, choć sytuacja wyjściowa sama w sobie wydawała się być niezmiernie interesująca.

Oto młody bohater Janek Klimza, wychowanek najstarszego uniwersytetu, na którym studiował filologię polską, a więc należy on do pokolenia Ślązaków wykształconych, rozmiłowanych w książkach, (zabieg z uczynieniem młodego Klimzy studentem jest o tyle istotny, że pozwolił uniknąć kłopotów językowych, wynikających z operowania gwarą odtwórcy głównej roli Krzysztofowi Kolbergerowi, jak i zdeterminował filmowe postępowanie bohatera, wynikające z młodego wieku i z przyjęcia postawy, którą można określić jako wybitnie romantyczną) powraca z kampanii wrześniowej do domu i postanawia podjąć działalność konspiracyjną. Już sam powrót w polskim mundurze na tereny zajęte przez Niemców, zamieszkane przez tak licznie kolaborujących z nimi mieszkańców, wydaje się być aktem wybitnie romantycznym i niezbyt wiarygodnym. Wówczas to padają słowa, które jednoznacznie określają postać Klimzy. On tu wrócił po to, ...„aby Polskę robić od nowa"... I ten fakt wydawał się być najważniejszy na początku filmu.

Klimza rozpoczyna działalność na terenie, gdzie podziały pomiędzy ludnością polską a niemiecką były niezwykle ostre. Kiedy wydaje się, że będziemy świadkami działalności organizacji utworzonej przez Klimzę (a swoją drogą ogranicza się ona do słownych deklaracji dotyczących samokształcenia dla dobra przyszłej Polski) narracja jakby rwie się i zmierza w zupełnie innym kierunku. Kutz prezentuje rozbicie organizacji nieomal u jej zarania przez zawiedzioną samicę, która poczuła się odtrąconą przez skądinąd przystojnego Janka Klimzę i z rozpaczy dokonuje denuncjacji, po czym pakuje się do łóżka niemieckiego oficera. I tym oto sposobem kobieta po raz kolejny staje się źródłem wszelkiego zła.

Zbyt dużo jest w tym filmie dialogów zupełnie nie popartych działaniem.

Choć może to zabrzmieć dość dziwnie, to jednak jestem skłonny twierdzić, że Kutz nie wykorzystał możliwości jakie dawały mu relacje pomiędzy ludnością polską, zamieszkującą te tereny, a Niemcami lub kolaborantami. Przecież właśnie Śląsk był terenem, gdzie ujawniły się, ze zdwojoną siłą różne typy wyborów i postaw po wkroczeniu Hitlera. Niektórzy od razu przechodzili na stronę niemiecką, a inni, tak jak Klimza twardo stali przy swoim oporze i opowiadali się za Polską. Tymczasem u Kutza właściwie nie wyczuwa się nienawiści ze strony Niemców w stosunku do Polaków.

Odnosi się wrażenie, tak jakby Niemcy w szale zwycięstwa zapomnieli o nienawiści, a przecież pod tym względem sytuacja na Śląsku przypominała stosunki panujące chociażby w Gdańsku, gdzie ludność pochodzenia niemieckiego krwawo rozprawiała się z Polakami.

Sporo zastrzeżeń można też mieć do koncepcji głównego bohatera, godząc się nawet na jego rys romantyczny, co zawsze jest bliskie naszym odczuciom, trudno jednak jest uwierzyć, że mając do wyboru pistolet, a przecież nie należy sądzić, aby organizacja miała nadmiar broni, mówi on, że wolałby różaniec. Stosunek do Boga Janka Klimzy jest w filmie bardzo istotny, i być może on właśnie powoduje, że Klimza nie może zdecydować się na zabicie kolaborantki, ale dlaczego po zabiciu Niemca rzyga jak kot, skoro był żołnierzem i na froncie (chociaż nie znamy jego wojennych losów) musiał chyba mieć do czynienia ze śmiercią bezpośrednio.

Można mieć także pretensje do Kutza o przekroczenie dobrego smaku w scenie rozebrania starej matki. Wprawdzie dramaturgicznie miało to swoje uzasadnienie, gdyż tym gestem chciała ona niejako zaszokować Niemców, którzy przyszli dokonać aresztowania i nie dopuścić do rewizji w drugim pokoju, gdzie przebywał Klimza, to jednak po wprowadzeniu widza w treść sceny należało raczej uniknąć eksponowania starczych nóg i pośladków, szczególnie w panoramie od nóg w kierunku zadka.

Dokonując podsumowania tego filmu, a mając w pamięci tak dobre filmy Kutza jak: „Sól ziemi..." czy „Perła w koronie" należy stwierdzić, że „Na straży swej stać będę" odbiega znacznie poziomem od poprzednich propozycji tego reżysera należącego bez wątpienia przecież do czołówki polskich filmowców.

**WALDEMAR BĘDZIŃSKI**

# Z półki recenzenta

## WENUS Z MIASTECZKA

Niech Czytelnika nie zmyli odautorska notka poprzedzająca tę książkę, a sugerująca że powieść jest czystym wymysłem: realia są czytelne, nawet wymienione niejako „z imienia i nazwiska". Chodzi tu o książkę J.M. Kononowicza pt. „Wenus w małym miasteczku", która nie tak dawno została wydana przez łódzki oddział Krajowej Agencji Wydawniczej. Oczywiście mógłbym rozszyfrować nazwę miasta, w którym uczą się, przeżywają młodzieńcze przygody i kochają się bohaterowie książki w owych gorących latach poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej. Przecież tak łatwo odgadnąć, w którym z podłódzkich miast stojąc na pętli tramwajowej twarzą do dworca PKP mamy na prawo szosę prowadzącą do Łasku, a na lewo szyny tramwajowe w kierunku Łodzi...

Gorąco polecam Czytelnikom tę świetnie napisaną, pełną humoru, przesyconą liryką książkę.

**Józef M. Kononowicz: Wenus w małym miasteczku. KAW Oddz. w Łodzi 1984. Str. 240. Cena 90 zł.**

## PIED A TERRE

Jan Huszcza, znakomity liryk, wydał minipowieść traktującą o czasach swojej sztubackiej, podwileńskiej młodości. Nie należy jednak bez zastrzeżeń utożsamiać autora z bohaterem powieści, Jurkiem, który po otrzymaniu matury niejako „wchodzi" w dorosłe życie. Istotną rolę w tym procesie odgrywa czas odsłaniając przed młodym człowiekiem nieznane dotąd sprawy, a jednocześnie uzmysławiając mu prawdę o ludzkich możliwościach. Jest więc tu i o balu maturalnym, o młodzieńczych tęsknotach, o polityce i pierwszych doświadczeniach miłosnych, o przyjaźni i wreszcie o tym, co określa się mianem „dojrzałość".

**Jan Huszcza: Pied à terre. KAW Oddz. w Łodzi 1984 r. Str. 88. Cena 40 zł.**

## PRAWDY ZE ŚWIATA KŁAMSTW

Tytuł niczego nie uzasadnia ostatecznie, gdyż po lekturze książki można go odwrócić i sens pozostanie prawie nie zmieniony: Kłamstwa ze świata prawd. Zresztą autor jakby celowo oscyluje w swojej powieści pomiędzy tymi dwoma, tak ważnymi dla losów ludzkich, pojęciami jak prawda i fałsz. A fabuła? Jak to często u tego autora bywa, tu także starszy pan, były partyzant, dziś „urządzony", ale z sercem dwudziestolatka i takąż krzepą oraz ona, młoda dziewczyna, córka jego dawnej studenckiej miłości... A wszystko na tle czasów najnowszych, protestów robotniczych, wzrostu napięcia w kraju, wzrastającej niepewności, pogłębiającego się kryzysu.

**Wiesław Jaździyński: Prawdy ze świata kłamstw. KAW Oddz. w Łodzi 1984. Str. 220. Cena 80 zł.**

## MIASTO I RYM

Zaskoczyła nas Krajowa Agencja Wydawnicza wydając publikację bibliofilską, pięknie ilustrowaną, która może stanowić ozdobę każdej biblioteki. Mówię o wyborze wierszy Juliana Tuwima pt. „Miasto i rym" w wyborze Jerzego Wilmańskiego. Jakie to są wiersze? Znane i bardzo znane, dotyczące Łodzi: „Urywek", „Łódź", „Gawęda rymowana o ojcu i synu, o dwóch miastach i starej piosence", a także obszerne fragmenty „Kwiatów polskich".

Pragnę także zwrócić uwagę na wstęp J. Wilmańskiego, który usiłuje znaleźć odpowiedź na pytanie, czy Tuwim był poetą łódzkim, czy tylko poetą urodzonym w Łodzi?

**Julian Tuwim: Miasto i rym. KAW Oddz. w Łodzi 1984. Str. 24. Cena 50 zł.**

## POPIEL I PIAST

Z satysfakcją należy odnotować kolejną książkę dla dzieci, jaką jest „Popiel i Piast" Władysława Broniewskiego wydaną ostatnio przez Wydawnictwo Łódzkie. Na naszym ubogim ciągle rynku czytelniczym lektury dla dzieci są nadal rarytasem.

Nie miejsce tu, by opowiadać treść książeczki, ale muszę kilka słów ciepłych poświęcić Janowi Zielińskiemu, który całość zilustrował. Barwne, przemawiające do wyobraźni dziecka rysunki są znakomitym uzupełnieniem bajki napisanej przez wielkiego polskiego poetę.

**Władysław Broniewski: Popiel i Piast. Wyd. Łódzkie 1984. Str. 16. Cena 40 zł.**

*Teatr Powszechny, „Jan Maciej Karol Wścieklica" — Halina Pawłowicz (Wściekliczowa), Euzebiusz Olszewski (Wścieklica) i Magdalena Cwenówna (Wanda Lektorowiczówna)*

*Foto: Jerzy Neugebauer*

# Obok przewrotności Witkacego

Z kolejną — po *Szewcach* — inscenizacją dramatu Witkacego wystąpił Teatr Powszechny, który dość konsekwentnie wprowadza najwybitniejszego dramatopisarza naszej awangardy do repertuaru. Zasługa tym większa, że teatry łódzkie umiarkowanie, jeśli nie zgoła zbyt umiarkowanie dozują publiczności dorobek tego pisarza. Kroniki nie odnotowują także w naszym mieście wybitnych przedstawień wyprowadzonych z tekstów Witkacego.

Choć z żalem, przecież nie mogę i *Jana Macieja Karola Wścieklicę* zaliczyć do wydarzeń teatralnych większego formatu. Jest to widowisko rzetelne przyzwoite, ale chyba już w zamyśle krojone na miarę przeciętności. Czy to zarzut? Nie. Za (mówiąc językiem sztubackim) *stopień państwowy* nikogo się nie karci. Może pozostaje co najwyżej lekkie rozczarowanie, że jeszcze nie tym razem, że jeszcze nie to na co czekamy...

Stanisław Ignacy Witkiewicz ogromną większość swych dramatów napisał w przedziale czasu 1918—1926. Wśród nich specjalne miejsce zajmuje *Jan Maciej Karol Wścieklica*, jedyny tekst teatralny Witkacego zbliżony do realizmu. Do realizmu, ale nie do naturalizmu. Do tego jeszcze powrócimy. O ile dramatopisarstwo tego autora ze względu na swój awangardowy charakter nie było rozumiane ani akceptowane przez współczesnych mu, o tyle omawiana przez nas sztuka, właśnie dzięki swej odmienności, cieszyła się wyjątkowo powodzeniem u publiczności i u krytyki.

*Jana Macieja Karola Wścieklicę* napisał Witkacy w 1922 roku, a w trzydziestym siódmym swojego życia. Miał już za sobą bogate doświadczenia, wędrówki po Europie i po antypodach, czynny udział w wojnie i uczestnictwo w wydarzeniach rewolucyjnych w Rosji. Nie zaaprobował wprawdzie tworzących się tam zrębów nowej umowy społecznej, ale i nie wzbudziły w nim także zachwytu demokratyczne formy rządzenia, jakie zastał po powrocie w kształtującej się młodej państwowości polskiej która tak zwana sejmokracja wiodła po równi pochyłej ku destabilizacji i chaosowi.

Czy wydumana przez Witkacego historia Jana trojga imion Wścieklicy, chłopa z chłopów, wyniesionego przez wydarzenia na najwyższy urząd w państwie jest satyrą na Rzeczpospolitą pierwszej połowy lat dwudziestych, w której chłop, wójt z Wierzchosławic, Wincenty Witos został premierem rządu? Takie dosłowne rozumienie sztuki Witkacego byłoby jej spłyceniem. Zapewne też i żywot jej w takim przypadku byłby krótki zakończyłby się wraz z określoną sytuacją polityczną. Jeśli dziś wystawia się *Wścieklicę* na scenie, to z uwagi na ponadczasowy i uniwersalny wymiar tego utworu.

Można by rzec że istota tej sztuki jest walka bohatera o własną autentyczność. *Jest się takim, jakim się jest, i to się na drodze swej znajduje, co się znaleźć ma* — mówi on w I akcie. Pozostać sobą wbrew prądom wznoszącym go na wyżyny nie doznając zawrotu głowy, odnaleźć w sobie rzeczywiste wartości potwierdzające zasadność takiego awansu, oto krąg zmagań wewnętrznych Wścieklicy. Czując się porywanym przez nurt wydarzeń, tracąc stały grunt pod nogami, szuka bohater ratunku w przejściowym choćby izolowaniu się od świata, w ucieczce w medytację, w próbie zyskania na czasie, która pozwoli mu stać się podmiotem a nie przedmiotem przyszłych zdarzeń.

Tragedią Wścieklicy jest, że w tej walce musi ponieść klęskę. Nie na wiele mu się zda przebywanie w odosobnieniu klasztornym, ani podejmowane tam wysiłki stworzenia *opus magnum*, podstawowego dzieła swego życia. Nikogo to nie interesuje. Natomiast konkretna sytuacja polityczna wymaga wysunięcia na urząd prezydencki chłopa. Dla potwierdzenia siły demokracji, dla wykarmienia jej świeżą krwią.

Wybór Wścieklicy nie ma żadnego związku przyczynowego z jego autentycznymi walorami osobistymi. Chodzi o symbol, a więc o chłopa schematycznego, co to *potęga jest i basta*, którego sylwetkę wpisać należy w strukturę władzy, wkleić jak kalkomanię w pejzaż polityczny kraju Wścieklica pasuje do tej biernej roli jak ulał. Trzeba tylko by wyzbył się rojeń o swoich rzeczywistych kwalifikacjach, o swym powołaniu.

Bez znaczenia jest zatem fakt, że Wścieklica się wewnętrznie łamie i pęka, że naruszono mu — jak się sam wyraża — *rdzeń psychologiczny*. Wystarczy powlec ku nowym zadaniom jego bezwolne ciało, obwisłe jak balon, z którego wypuszczono powietrze. Akt polityczny został dokonany.

Mówiło się wyżej o realistycznym charakterze tego utworu Witkiewicza. Tak, ale jest to realizm nieco pozorny, mylący. Operuje on alfabetem znaków umownych, którym wyraża się sposób myślenia pisarza. Nie mamy więc do czynienia z naturalistycznym portretowaniem świata zewnętrznego, lecz z jego interpretacją, odkształceniem intelektualnym.

Łatwo o tym się przekonać, wczytawszy się w didaskalia odautorskie. Opisując wnętrze chałupy Wściekliców na początku aktu drugiego, autor pisze: *Fantastyczność chłopska doprowadzona do szczytu. Wszystko co jest, jest bogate i potężne. (Chłop potęga jest i basta* — powtórzmy raz jeszcze za Wyspiańskim). Nawet fotel, w którym siedzi Wścieklica, ma być z woli Witkacego *w stylu spotęgowanym chłopskim*. Jaka szkoda, że nie odnajdujemy tego w scenografii przedstawienia, której autorem jest *Jan Banucha!*

Scenograf, zgodnie z pewnością z koncepcją reżysera spektaklu *Aleksandra Strokowskiego*, rezygnuje z przekazu subiektywnej rzeczywistości Witkacego na rzecz symboliki naturalistycznej, niezdeformowanej. Podwórze zagrody Wściekliców, które inaczej niż chce autor, stanowi jedyne tło akcji scenicznej, jest dosłowne.

Dosłowna jest beczka, nad której oprawianiem w obręcz żeliwną trudzi się raz po raz — niczym antyczny Syzyf — Wścieklica. Dosłowne są brony i inne narzędzia rolnicze, które gospodarz zdejmuje z wozu, przygotowując się zapewne do siewu. Dosłownie także pieńki, zręcznie rozczłonkowywane siekierą przez aktora. Z naturalistycznych opowieści chłopskich rodem jest scena, gdy krzepki Wścieklica wlecze egzaltowaną, anemiczną nauczycielkę po drabinie na stryszek, by tam uprawiać z nią jurną miłość. Brak chyba tylko do kompletu żywych kur czy innego inwentarza.

Zastanawiam się nad celowością takiego podkreślania realności przedstawianego świata i nie bardzo umiem sobie odpowiedzieć na pytanie, czemu to ma służyć. Jedno pewne, że odebrane nam zostaje coś z podwójnego dna, które w dramacie Witkacego istnieje i które można by nazwać znakiem firmowym autora.

Nie chodzi mi wyłącznie o zewnętrzność, o plastyczne znaki, jakimi malowany jest spektakl w Teatrze Powszechnym. Z tym jeszcze pogodziłbym się. Ale przecież ma to swoje konsekwencje w aktorstwie. Wykonawcy gubią treści, ukryte przewrotnie przez autora trochę głębiej, i szamocą się w naskórkowej zewnętrzności tekstu z pewną bezradnością.

Dotyczy to w znacznej mierze obsadzonego w roli tytułowej *Euzebiusza Olszewskiego*. Aktor wkłada dużo wysiłku w to, by uprawdopodobnić egzystencjalne miotanie się bohatera. Ale może zamiast urealniać należało bardziej zagłębić się w umowność, potraktować Wścieklicę jako znak w wyrafinowanej grze intelektualnej zaproponowanej przez autora?

Nie wyszła poza zewnętrzność *Halina Pawłowicz* w roli żony Wścieklicy Rozalii. Pewne próby pogłębienia postaci Wandy Lektorowiczówny dostrzec można w grze *Magdaleny Cwenówny*, ale w III akcie aktorka wydaje się rezygnować z tego i daje się ponieść prądowi dosłowności.

W przedstawieniu lepiej wypadają aktorzy, starający się współmyśleć z Witkacym, nadążać za jego perwersją i drwiną. Dotyczy to przede wszystkim *Tadeusza Sabary*, który jako lichwiarz Abraham Mlaskauer w sposób bezbłędny przekazuje mądrości Leibnitza i Bergsona. W stylu witkiewiczowskich znaków utrzymał się także *Andrzej Fogiel* jako hycel gminny Henryk Twardzisz i *Grażyna Dzięgielewska* w roli Valentyny de Pelinnee.

Natomiast *Włodzimierz Adamski*, starający się ściśle trzymać dyrektyw autora zakodowanych w didaskaliach stworzył zabawną i konsekwentną postać dyplomaty Anabazysa Demura, ale jakby egzystującą samoistnie obok przedstawienia, a nie zintegrowaną z nim.

Tyle na temat moich wrażeń i rozczarowań...

**WŁADYSŁAW ORŁOWSKI**

Teatr Powszechny: *Jan Maciej Karol Wścieklica, dramat w trzech aktach, bez trupów* Stanisława Ignacego Witkiewicza: reżyseria: *Aleksander Strokowski*; scenografia: *Jan Banucha*; opracowanie muzyczne: *Bogdan Pawłowski*; premiera: 13 października 1984.

# Kronika kulturalna

**W POCZĄTKACH** listopada „Teatr 77" wznawia cieszące się dużym powodzeniem spektakle sztuk **„Kazanie"** i **„Clowni"** wg scenariusza i w reżyserii **Andrzeja Strzeleckiego.**

* * *

**3 LISTOPADA** w klubie „Estrady Łódzkiej" „Test" odbędzie się premiera nowego programu kabaretu **„Kosa-Nostra" Stefana Lipca.** Tytuł przedstawienia **„Super-nowe".**

* * *

**ZAKOŃCZYŁA** się Widzewska Jesień Muzyczna 84. Jury zdecydowało, że pierwszego miejsca w kategorii zespołów wokalno-instrumentalnych nie przyzna, drugie miejsce uzyskała piotrkowska grupa **TAXI**, trzecie miejsce zdobyła łódzka grupa **Hobnail** (lider tej grupy Zbigniew Nowacki zdobył pierwszą nagrodę w kategorii ex equo z Teresą Narkiewicz. W kategorii zespołów instrumentalnych zwyciężył zespół **Sitting up Late**, drugą otrzymała grupa **Leman.**
Wyróżnienia uzyskały grupy: **Maciek Pawłowski Quartet i Puszka Pandory.**

* * *

**DO JUBILEUSZU** 35-lecia przygotowuje się Teatr Nowy. 12 listopada odbędzie się premiera jubileuszowa. Będzie to **„Legenda" Stanisława Wyspiańskiego.** Reżyserem spektaklu jest **Andrzej Maj.** Muzykę przygotował **Zygmunt Konieczny.** Scenografię zaprojektował **Leszek Mądzik.** W rolach głównych zabaczymy: **Annę Grzeszczak, Piotra Krukowskiego i Janusza Kubickiego.**

* * *

**W RZESZOWSKIM** WDK odbył się XIV Ogólnopolski Konkurs Recytatorski Poezji Współczesnej im. Juliana Przybosia o „Złoty Lemiesz". Miło nam poinformować Czytelników, że jedną z trzech równorzędnych drugich nagród zdobyła Bogusława Puchała z Żyrardowa.

* * *

**TRWAJĄ** przygotowania do wystawienia „Dziadów" w reżyserii Konrada Swinarskiego (sztuki, która od 11 lat nie schodzi z afisza. Starego Teatru) na Zamku Królewskim w Warszawie. Planuje się cztery przedstawienia w drugiej połowie grudnia.

* * *

**KATEDRA** Filologii Romańskiej Uniwersytetu Łódzkiego była organizatorem międzynarodowego sympozjum Ronsard — Kochanowski.

* * *

**W BIAŁYMSTOKU** trwają rozpoczęte 3 listopada Ogólnopolskie Spotkania Teatru Lalek.

* * *

**NA WARSZAWSKIEJ** Scenie Prezentacji przygotowania do premiery. Tym razem będą to **„Białe Noce" Fiodora Dostojewskiego** w przekładzie Władysława Broniewskiego i adaptacji scenicznej R. Szejda Grają: **Magdalena Zawadzka i Krzysztof Wakuliński.** Muzykę skomponował **Jerzy Maksymiuk.** Scenografię przygotował **M. Stajewski.** Spektakl reżyseruje **R. Szejda.**

* * *

**28. BM.** na Dużej Scenie Teatru im. Stefana Jaracza odbyła się kolejna premiera. Jest to adaptacja sceniczna głośnego utworu **Wiesława Myśliwskiego „Kamień na kamieniu".** Adaptacji dokonał i spektakl wyreżyserował **Jerzy Hutek.** W rolach głównych grają: **Wirgiliusz Gryń i Stanisław Jaskułka.** Scenografię zaprojektował **Tadeusz Paul.** Muzykę skomponował **Piotr Hertel.**

* * *

**W GALERII** warszawskiej „Przy rynku" zorganizowana została wystawa prezentująca dorobek łódzkiego Klubu Rzemiosła Artystycznego. Na wystawie zgromadzono liczne prace rzeźbiarskie w drewnie, ozdoby metalowe, ceramikę i hafty a także metalowe zegary ścienne. Wystawa została zorganizowana jako wstępny przegląd wyrobów przed przyszłoroczną wielką wystawą, która odbędzie się w Łodzi.

* * *

**ZMARŁ** wieloletni aktor Teatru Nowego Adam Daniewicz. Urodził się w 1908 roku, szkołę dramatyczną ukończył w Krakowie w roku 1931. Przed wojną pracował w teatrach Krakowa, Łodzi, Warszawy i Katowic. Po wojnie od 1949 roku związał się z Teatrem Nowym, w którym przebywał do przejścia na emeryturę w roku 1973. Widzowie bez wątpienia pamiętają go ze znaczących ról w sztukach: „Brygada szlifierza Karhana" Kani, „Horsztyński" Słowackiego, „Akropolis" Wyspiańskiego, „Śmierć komiwojażera" Millera, „Hamlet" i „Juliusz Cezar" Szekspira, „Opera za trzy grosze" Brechta, „Sprawa" Suchowo-Kobylina, „Ladacznica z zasadami" Sartre'a, „Życie Galileusza" Brechta, „Kartoteka" Różewicza, „Rewizor" Gogola, „Sprawa Dantona'" Przybyszewskiej i innych. Mimo przejścia na emeryturę Adam Daniewicz nie stracił kontaktu z życiem teatralnym naszego miasta. Na zawsze pozostanie w naszej pamięci jego życzliwość, serdeczność, radość życia i promienny uśmiech.

# Polemiki • Listy • Opinie

## „POMYŁKI, KTÓRE MOGĄ KOSZTOWAĆ ŻYCIE"

W nawiązaniu do artykułu E. Bryla w tygodniku „Odgłosy" nr 39 z 29 września 1984 r. pt. „Pomyłki, które mogą kosztować życie" przytaczam najistotniejsze fakty odnośnie spraw w nim poruszonych.

1. Do udzielenia pomocy lekarskiej ob. Józefowi Barańskiemu 5 stycznia 1984 r. został skierowany zespół wypadkowy z lekarzem ortopedą-traumatologiem zgodnie z podaną przyczyną wezwania „pokaleczony", wzywa — MPK, **godzina wezwania pogotowia 13.45**, godzina wyjazdu karetki 13.46.

1.1. Ob. J. Barański w skardze skierowanej do Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi 24.I.1984 r. m. innymi podaje: **„Dnia 5 stycznia 1984 r. o godz. 11.15 podczas jazdy tramwajem linii 41 doznałem osłabienia organizmu i straciłem przytomność".**

Co faktycznie było z chorym w czasie od zasłabnięcia do zgłoszenia wezwania o pomoc pogotowia nie wiadomo.

**1.2. U chorego kolejno badających pięciu lekarzy:** lekarz zespołu wypadkowego, dwaj lekarze Izby Wytrzeźwień i dwaj lekarze zespołu „R" nie rozpoznali cukrzycy. Zespół „R", który przewoził chorego z Izby Wytrzeźwień do szpitala im. K. Jonschera postawił rozpoznanie: **„podejrzenie wylewu krwi do mózgu".** Rozpoznanie ewidentne śpiączki hipoglikemicznej w przebiegu cukrzycy nastąpiło w szpitalu **tylko dzięki badaniu laboratoryjnemu poziomu cukru we krwi w trakcie różnicowania stanów nieprzytomności.** Tego rodzaju diagnozy nie można postawić wyłącznie na podstawie badania przedmiotowego.

Dokładniejsze przebadanie chorego (wliczając w to konsultacje specjalistyczne i badania dodatkowe) nie jest możliwe w Izbie Wytrzeźwień, nie mówiąc już o całokształcie warunków badania w miejscu wypadku czy w karetkach pogotowia. Nie trzeba być medykiem, by uzmysłowić sobie trudność diagnostyczną w tym przypadku. To nie była pomyłka jednego lekarza, a ciąg diagnostyczno-obserwacyjny kilku lekarzy.

**1. 3. Nie można wykluczyć z całą pewnością, że pacjent wcześniej nie spożył niewielkiej ilości alkoholu, co mogło wywołać stan hipoglikemiczny w przebiegu cukrzycy oraz dać swoisty zapach z jamy ustnej** (np. po wypiciu butelki piwa).

2. Nie czuję się upoważniony do wyrażania poglądu o tej części artykułu, w której treść jest przypisywana moim sformułowaniom lub dr W. Galanciaka, bo większość podanych tam przez E. Bryla informacji jest zupełnie nieprawdziwych, a część z nich przeinaczonych, co powoduje zmianę sensu wypowiedzi.

Podobnie miało to miejsce w tzw. reportażu pt. „Nocą w karetce pogotowia" — Odgłosy nr 51 z dnia 17.XII.1983 r.

**3. 1. Jest powszechnie wiadomym, że E. Bryl nie stosuje** obowiązującej zasady o autoryzacji wypowiedzi swych rozmówców i tym razem również tak postąpił. Dotyczy to także wypowiedzi dr med. A. Frontczaka — dyrektora ZOZ Łódź — Górna i prof. dr hab. med. M. Krzemińskiej-Pakułowej — kierownika I Kliniki Chorób Wewnętrznych AM w szpit. im. K. Jonschera.

3. Na jakiej podstawie E. Bryl pisze: „przestać wynajdywać okazje do prawienia sobie komplementów, skończyć z pseudo-naukowymi konferencjami" itd.? W związku z tym pragnę wyjaśnić, że w grudniu 1984 r. odbędzie się ogólnopolska konferencja naukowa na temat: 1. „Organizacja nauczania w Szkołach Ratownictwa", 2. „Współczesne kierunki rozwoju karetek reanimacyjno-wypadkowych".

Organizatorami są tutejsza Wojewódzka Stacja Pogotowia Ratunkowego, Zakład Anestezjologii Instytutu Chirurgii AM i WAM w Łodzi oraz Oddział Łódzki Polskiego Towarzystwa Anestezjologii i Intensywnej Terapii.

Tematyka konferencji wynika z aktualnych potrzeb oceny dorobku w tym zakresie i została m. innymi zaproponowana przez członków Zespołu Krajowego Specjalisty z zakresu anestezjologii i intensywnej terapii. Łódzkie środowisko lekarskie swoim dorobkiem naukowym i codzienną pracą zasłużyło na organizację tej konferencji i należy docenić już obecnie włożony wysiłek w jej przygotowanie.

3. 1. Do miłych tradycji należy, że szereg podejmowanych inicjatyw również w służbie zdrowia łączy się z rocznicą wyzwolenia naszego miasta np. uruchomienie pierwszego zespołu „R" lub odbyte w 1971 i 1978 roku konferencje naukowe na temat reanimacji pozaszpitalnej i przedszpitalnej. Obecna konferencja zbiega się z 85 rocznicą powstania tutejszej Stacji Pogotowia Ratunkowego, mimo iż fakt ten nie zadowala E. Bryla. Ocenę naukową tej konferencji (oczywiście po jej odbyciu) należy pozostawić kompetentnym specjalistom, a nie laikom.

4. W poruszanej sprawie modelu organizacyjnego **pogotowia ratunkowego i pomocy doraźnej** są i będą prowadzone rozważania **wśród lekarzy**, a szczególnie lekarzy specjalistów z organizacji ochrony zdrowia ze znajomością odrębności problematyki pogotowia. Celowo używam sformułowań „pogotowie ratunkowe" i „pomoc doraźna", gdyż występuje istotna różnica funkcji w strukturach organizacyjnych mieszczących się w tych określeniach.

Decyzje dotyczące form organizacyjnych muszą zapadać w wyspecjalizowanych organach administracyjnych do spraw zdrowia tj. Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej i Wydziałach Urzędów Wojewódzkich. W celu krótkiego zorientowania w poruszonym temacie podaję kilka następujących informacji.

4. 1. W obecnie obowiązującym systemie prawnym funkcjonuje w m. Łodzi:

— pogotowie ratunkowe tj. tutejsza Wojewódzka Stacja Pogotowia Ratunkowego (WSPR) z zespołami specjalistycznymi do ratowania życia, ambulatorium doraźnej pomocy i zespołami przewozowymi,

— pomoc doraźna — Oddziały Pomocy Doraźnej w Zespołach Opieki Zdrowotnej — Dzielnic Łodzi (OPD w ZOZ — Dzielnicy) do udzielania pomocy w zachorowaniach nie zagrażających życiu.

Rozwiązanie to na obecnym etapie rozwoju organizacyjnego jest wyborem optymalnym. Powołanie OPD w ZOZ-Dzielnic nie stanowiło decentralizacji terytorialnej WSPR, bo tzw. podstacje pogotowia ratunkowego w dzielnicach podlegające tutejszej Stacji istniały znacznie wcześniej. Podłożem powołania do życia OPD w ZOZ-Dzielnic był katastrofalny brak lekarzy do pracy w tzw. zespołach wyjazdowych do zachorowań. Wcześniejsza próba poprawy na tym odcinku, decyzją władz Miasta Łodzi z 1976 r. nakładającą na lekarzy obowiązek pracy dodatkowej w tutejszej Stacji, a zatrudnionych etatowo w innych instytucjach, nie mogła być spełniona, gdyż nie była zgodna z ustawodawstwem prawa pracy. Kodeks Pracy takiej możliwości nie dopuszcza. Dlatego zapadła kolejna decyzja powołująca od 1.V.1978 r. OPD w ZOZ-Dzielnic, której m. innymi byłem inicjatorem. Pozwoliła ona przekazać z tutejszej WSPR do OPD ZOZ-Dzielnic zespoły wyjazdowe do zachorowań, a przez to zapewnić obsadę lekarską.

**4. 2. Pomoc doraźna dla Kierownictw ZOZ-Dzielnic była jednak „dzieckiem niechcianym"**, bo powszechnie wiadomo, że przyjęcie dodatkowych i trudnych obowiązków nie sprawia radości. Ten konieczny krok spowodował jednak zmniejszenie dyspozycyjności tymi zespołami, albowiem występuje niejednokrotnie zjawisko niekorzystne, gdy przy braku zespołów wyjazdowych w jednej z dzielnic (wszystkie są na wyjazdach) użycie wolnego zespołu z dzielnicy sąsiedniej uważane jest przez ten zespół jako „praca za sąsiadów" i napotyka na opory.

W przyszłości jest rozważana taka forma organizacyjna, jaka funkcjonuje w innych aglomeracjach wielkomiejskich krajów socjalistycznych:

a) utrzymanie obecnej i dalsze zwiększanie według potrzeb (rozrastanie się dzielnic) decentralizacji terytorialnej zespołów wyjazdowych wypadkowo-chorobowych;

b) przechodzenie z OPD w ZOZ-Dzielnic na podstacje podlegające Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego, o ile będzie wystarczająca ilość lekarzy do pracy w tych zespołach;

c) utrzymanie centralnego przyjmowania wszystkich zgłoszeń o pomoc i po wybraniu zgłoszeń wskazujących na stan choroby nie zagrażającej życiu — przekazanie ich do placówek terenowych (obecnie OPD, w przyszłości podstacje WSPR);

d) dysponowanie zespołami wypadkowo-chorobowymi w placówkach terenowych stanowić będzie wykonanie decyzji z centrali. Ten model utrzymuje centralne podporządkowanie pomocy doraźnej tj. jedno biuro wezwań, jeden wywoławczy nr telefonu, poprzez centrale — pośrednio kierowanie zespołami wypadkowo-chorobowymi w placówkach terenowych, natomiast centralne bezpośrednie dysponowanie zespołami pogotowia (zespoły specjalistyczne „R", „W", położniczo-ginekologiczne, „R" — pediatryczne, zespoły przewozowe) oraz centralny nadzór. (...)

4. 3. Drugą zasadniczą funkcją pogotowia ratunkowego jest udzielanie **doraźnych** świadczeń ambulatoryjnych w niezbędnych specjalnościach i prowadzenie krótkotrwałej hospitalizacji osób ze schorzeniami pourazowymi lub wymagających wstępnej obserwacji. Tutejsze Ambulatorium Doraźnej Pomocy i Oddział Szpitalny spełniają ten obowiązek.

5. Obecnie przeszkodą zasadniczą dla prawidłowego funkcjonowania pogotowia ratunkowego w mieście, nie mówiąc o dalszym jego rozwoju są bardzo złe warunki lokalowe w WSPR. Warunki te ograniczają nie tylko dalszy rozwój pogotowia, ale stanowią zagrożenie dla funkcjonowania tej instytucji.

**5. 1. Na WSPR są nałożone nakazy** Państwowej Inspekcji Pracy (PIP), które mogą być wykonane tylko przez jej rozbudowę. Oto niektóre z nich:

— przenieść stanowiska pracy pralni do pomieszczeń odpowiadających przepisom określającym wymogi warunków techniczno-budowlanych dla tego rodzaju działów pracy — termin wykonania 30.VI.1983 r.;

— dla personelu oddziału szpitalnego (pielęgniarki i salowe) pracowników pralni i rzemieślników wydzielić odpowiednie pomieszczenia z przeznaczeniem na szatnię — termin wykonania 31.X.1982 r.;

— przenieść magazyn wydawania leków i bielizny dla zespołów wyjazdowych do pomieszczenia odpowiadającego przepisom wymogów bhp dla stałych miejsc pracy — termin wykonania 31.VI.1982 r.

Ciekawe czy i co napisze E. Bryl, jeśli w niedługim czasie będą wyegzekwowane nakazy PIP unieruchamiające bardzo ważne komórki organizacyjne Stacji, a w konsekwencji i Stację lub co gorsza dojdzie do awarii trudnej do przewidzenia w skutkach.

**5. 2. Brak powierzchni lokalowej dla działania chociażby niektórych podstawowych komórek organizacyjnych.**

Szczupłość Biura Wezwań nie pozwala na ustawienie dalszego czwartego stołu dyspozytorskiego linii 999. Ilość zgłoszeń nadal corocznie wzrasta. Należy sobie uzmysłowić co może się stać gdy za rok lub dwa około 20 proc. wzywających nie będzie mogło połączyć się z pogotowiem? Teraz te przypadki jeszcze na szczęście są sporadyczne.

**5. 3. W samej Stacji Pogotowia Ratunkowego brak pomieszczeń — sali do prowadzenia reanimacji krążeniowo-oddechowej** w stanach zagrożenia życia Ratowanie życia prowadzi się w hallu — poczekalni lub wewnątrz jednej z karetek „R".

**5. 4. Gabinet rentgenowski pracujący nieprzerwanie przez 365 dni w roku posiada wysłużoną aparaturę, a nowej nie można będzie zainstalować,** bo powierzchnia pracowni wystarczająca przed 33 laty nie odpowiada współczesnym normom. Strop pod pracownią jest zmurszały i ze względu na bezpieczeństwo podparty belkami.

**5. 5. Gabinet lekarza internisty pogotowia dla mieszkańców miasta służy jednocześnie do przyjęć przez lekarza dyżurnego garnizonu WP, lekarzy ginekologów (bez fotela do badań —** brak miejsca), lekarza med. zakładowego. Nie można uniknąć w takiej sytuacji wzajemnego przeszkadzania w pracy i tworzenia się kolejki chorych do przyjęć.

**5. 6. W ramach tutejszego Ambulatorium jest pilna potrzeba uruchomienia gabinetu okulistycznego i laryngologicznego dla udzielania pomocy doraźnej. Wyłania się proste** pytanie, skąd wziąć pomieszczenia? Czyż można zlikwidować którąkolwiek potrzebną działalność usługową, aby powołać do życia inną? E. Bryl pisze o niezasadności rozbudowy Stacji, co jest równoznaczne np. z ograniczeniem możliwości wezwania pomocy pogotowia, rozwoju dalszego zespołów reanimacyjno-wypadkowych, pełnej pomocy ambulatoryjnej czy ograniczeniem prawidłowego prowadzenia reanimacji itd. (...)

Jak długo mogą w trudnych warunkach lokalowych przyjmować gabinety: pediatryczny i chirurgii dziecięcej w szpitalu im. J. Korczaka, a stomatologiczny w szpitalu im. N. Barlickiego z codziennym dowożeniem zaopatrzenia medycznego oraz bielizny z WSPR. (...)

**5. 7. Wypada również przypomnieć, że lekarze w czasie dyżuru przebywają w ciasnych dyżurkach od 4- do 6-osobowych bez umywalek, bez dostatecznej ilości szaf (brak miejsca), że na całe piętro (ok. 40 osób w nocy i 80 w dzień) jest w toalecie jedno oczko WC dla kobiet, jedno dla mężczyzn i po dwie** umywalki. (...)

**6. E. Bryl jednakowo nieprawdziwie pisze — czy to na temat** rzekomo braku obsady w karetkach czy to na temat rozbudowy Stacji, czy wizyty lekarzy z Ministerstwa Zdrowia Szwecji. W październiku 1984 r. w składzie pięcioosobowej delegacji Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej przebywałem z kilkudniową wizytą w Szwecji. Nasza grupa specjalistów z zakresu organizacji opieki zdrowotnej w tym szczególnie w dziedzinie ratownictwa medycznego wymieniła dalsze doświadczenie w tym zakresie. Było szczególnie miło, gdy gospodarze prezentowali niektóre z naszych rozwiązań systemowych.

Dalsze nieprawdziwe stwierdzenia m. innymi cytuję... „skończyć z pseudo-naukowymi konferencjami", czy o pracy Szkoły Ratownictwa — cytuję... „istnieje dzięki garstce zapaleńców, lekarzy-społeczników", a przecież wykładowcy i kierownik szkoły są zatrudnieni i wynagradzani stosownie do ilości godzin zajęć. Dalej cytuję... „ZOZ-y lepiej dają sobie z tym radę, podstacje obsadzone, komplet będzie zupełny, jeśli podstacje będą ich placówkami". Po pierwsze — podstacji pogotowia w m. Łodzi nie ma od 1.V.1978 r., po drugie są — Oddz. Pomocy Doraźnej i przeciwnie podlegają ZOZ, a po trzecie — obsada lekarska w WSPR np. według ostatnich danych za trzy kwartały 1984 r. średnio miesięcznie wynosi od 92 proc. do 98 proc. w stosunku do planu i nie różni się ilościowo od obsady w OPD ZOZ-Dzielnic.

Odnośnie kwalifikacji lekarskich nie będę się powtarzał i odsyłam do mojej odpowiedzi z dnia 12.I.1984 r.

Następnie cytuję ...„przy ZOZ od dawna funkcjonuje już nocna pomoc lekarska" i to też nieprawda bo od siedmiu lat tzw. nocna pomoc lekarska nie istnieje.

Kolejna nieprawdziwa informacja w artykule jest zawarta np. w takim stwierdzeniu ...„karetki w pogotowiu przy ul. Sienkiewicza stoją bezużyteczne". Odpowiadam, że za III kwartały br. tutejsza Stacja udzieliła pomocy w 7.783 wypadkach, 32.911 zachorowaniach, dokonano 29.025 przewozów, 66.083 porad ambulatoryjnych, założono 5.361 opatrunków gipsowych, 32.403 badań rentgenowskich itd. (...)

**6. 1. E. Bryl** między innymi tak pisze: „Prawdą jest że tekst ten być może poderwie zaufanie zarówno do tych lekarzy, którzy w pełni na nie zasługują. Ale ja traktuję go przede wszystkim jako ostrzeżenie i piszę w imieniu przyszłych pacjentów, bo żaden nie chce paść ofiarą podobnej pomyłki". E. Bryl chyba wie, że pomyłki diagnostyczne w medycynie, która statystycznie rzecz biorąc nie jest matematyką, zdarzają się. Przed tymi pomyłkami lekarzy należy ostrzegać. Ale E. Bryl nie ostrzega lekarzy, generalnie ostrzega pacjentów przed lekarzami, jak sam pisze zarówno przed godnymi zaufania też. Widocznie lekarzy nie lubi. E. Bryl może nie lubić lekarzy, ale pisząc o sprawach służby zdrowia powinien wiedzieć, że powodzenie leczenia opiera się w dużej mierze na zaufaniu pacjenta do lekarza. Poderwanie tego zaufania na co świadomie (jak sam podkreśla) decyduje się E. Bryl pogorszy wyniki leczenia, spowoduje późniejsze wezwanie pomocy lub całkowite jej zaniechanie. Przy pełnym sukcesie artykułu Pogotowie nie będzie potrzebne. Nikt go nie będzie wzywał. W takim razie, w imieniu których pacjentów pisze E. Bryl?

Lek. med. M. Halkiewicz i pozostali lekarze działając w dobrej wierze w warunkach, w jakich udzielali pomocy nie mieli możliwości ustalenia ostatecznego rozpoznania choroby. E. Bryl działając świadomie stwarza stan paniki u wszystkich licznych czytelników poczytnego tygodnika „Odgłosy", którzy mogą stać się pacjentami.

Jeżeli nie jest to świadoma szkodliwa społecznie działalność E. Bryla to może to być tylko bezmyślność, o którą mimo wszystko trudno podejrzewać, bo i sam pisze: „Dla ludzi, dla społeczeństwa świadomość, że zawsze w krytycznej sytuacji można liczyć na szybką i skuteczną pomoc jest bardzo ważna, stanowi swego rodzaju komfort psychiczny".

Nie jest jasnym dlaczego E. Bryl chce społeczeństwo pozbawić tego komfortu. Pewnie społeczeństwa też nie lubi. A może E. Brylowi wszystko się pogmatwało. Jak potraktować nawoływanie do... „zmiany" ...„zaprzestania", jak potraktować poważnie zarzuty i propozycje, jeżeli w tym samym miejscu pisze ...„skarg na pogotowie... jest niewiele", i zarazem dalej „od skarg których aż się roi".

Jest to kolejny artykuł E. Bryla o pogotowiu ratunkowym, w którym uważa siebie za specjalistę wszystko wiedzącego i widzącego i tylko należałoby usłuchać zaleconych „porad" oraz zastosować proponowane „leki". Tyle, że „pacjent" (Pogotowie Ratunkowe) nie przeżyłby tej kuracji.

Sądząc, że po wydrukowaniu niniejszego pisma — Kierownictwo Stacji zostanie znowu poinformowane przez E. Bryla jak miało to miejsce po odpowiedzi opublikowanej w „Odgłosach" Nr 4 z 28 stycznia 1984 r., iż niebawem ukaże się tego autora publikacja zawierająca „nowe odkrywcze prawdy".

Zgodnie z prawem prasowym przesyłam moją odpowiedź z prośbą o opublikowanie jej w całości, a Czytelnicy tygodnika „Odgłosy" sami wyrażą pogląd o artykule E. Bryla.

Jednocześnie uprzejmie proszę o poinformowanie czy prawo prasowe przewiduje publikowanie artykułów, w których zawarte są nieprawdziwe informacje.

**JERZY OKIŃCZYC**
**lekarz medycyny**
**dyrektor Wojewódzkiej**
**Stacji Pogotowia Ratunkowego**
**w Łodzi**

## „SKANDAL W LEŚMIERZU – POCZĄTEK PROCESU"

**Na mocy art. 31, 32 ustawy** o prawie prasowym (Dz. U. Nr. 5 poz. 24 z dnia 7 lutego 1984 r.) prosimy o opublikowanie poniższej odpowiedzi:

**1. artykuł redaktora E. Bryla: „Skandal w Leśmierzu — początek procesu" zamieszczony** w nr 42 „Odgłosów" stanowi ewidentne naruszenie art. 13 ust. 2 cyt. ustawy, która jak powszechnie wiadomo weszła w życie w dniu 1 lipca br.:

**„Nie wolno publikować w prasie danych osobowych i wizerunku osób, przeciwko którym toczy się postępowanie przygotowawcze lub sądowe..."**

W tym przedmiocie brak było stosownego zezwolenia Sądu Wojewódzkiego w Łodzi, przed którym toczy się postępowanie. Ujmując sprawę po dziennikarsku, można by stwierdzić, iż tytuł publikacji zamiast „Skandal w Leśmierzu..." powinien brzmieć **„Skandal z prawem prasowym w 9 miesięcy po jego uchwaleniu".**

**3. za umyślne naruszenie dóbr osobistych osoby fizycznej ustawa przewiduje dodatkową odpowiedzialność prawną (art. 37—40).**

**3. wspomniana publikacja zawiera** liczne złośliwości pod adresem obrońców (niestety nie tylko), świadczące o całkowitym niezrozumieniu roli obrony w procesie karnym, a nadto przedstawiony przebieg rozprawy nie znajduje potwierdzenia w rzeczywistym obrazie przewodu sądowego.

Jednostronny opis jest wynikiem faktu, iż na sali sądowej z ramienia prasy znajdował się jedynie autor relacji, osobiście zainteresowany sprawą.

Warto na użytek niniejszego przypadku zacytować pogląd Sądu Najwyższego zawarty w wyroku z 18.1.1984 r. (I Cr. 400/83) „...Dążenie prasy (reportaże) do osiągnięcia zamierzeń moralizatorskich powinno mieć swoje granice w wartościach nadrzędnych związanych z jednostką ludzką. Nie wolno nikogo przedstawiać „w fałszywym świetle".

**Adwokaci:**
**STEFAN MAJSTEREK**
**LECH MAZUR**

## *Dokończenie ze strony 1*

o życiu zawsze. Podobnie, jak nigdy nie może przestać być schronieniem dla wątpliwości i rozterek nie tylko tzw. małolatów, ale i tej nieco starszej młodzieży, ludzi ze świadectwem dojrzałości w kieszeni. Wiemy jednak, że tak bywa nader rzadko. Sądzimy zwykle, iż wiemy dlaczego tak się dzieje, wbrew nam, rodzicom, wbrew dzieciom. Najczęściej jednak owa pewność — zwłaszcza w sytuacjach szczególnych — to tylko nasze złudzenie. Nie znamy naszych dzieci i one niewiele wiedzą o nas. Powie ktoś: nic szczególnego, odwieczny dylemat — ojcowie i dzieci! Tyle że dziś problem ten szczególnie drażni, niepokoi. Wielu rodzicom trudno jest rozmawiać ze swoją pociechą, nastolatkiem nastawionym do wszystkiego „na nie", kontestującym bez powodu i filozofii. Tym trudniej gdy sami zadręczają się wciąż jeszcze tyloma wątpliwościami, niepokojami. Próbujemy się czasami usprawiedliwiać to przed sobą, to przed dziećmi. Nie jest to dziś zbyt trudne, tym bardziej, iż domu, rodziców w zasadzie nikt nie rozlicza z obowiązków wychowawczych. Jest to sprawa całej generacji, a więc wielu lat zanim życie nas z tego rozliczy! Tymczasem wystawiamy sobie usprawiedliwienia, w których słowo „kryzys" odmieniane jest na wszystkie sposoby.

Dom, spełniając swój podstawowy obowiązek, powinność, nie może wychowywać byle jak (resztę cię życie nauczy), lub jako tako (co ja ci będę mówił, sam się przekonasz). Dom winien m.in. wyrabiać u młodych umiejętności życiowej zaradności, dzielności, potrzeby tworzenia dla siebie i innych. Jest to warunek, abyśmy nie musieli skarżyć się na infantylność młodzieży, w tym również tej starszej. Wzorce dla tak pojmowanego wychowania, wychowania dla przyszłości można znaleźć w wysiłku i sukcesach „pokolenia entuzjastów". Będzie to wtedy wychowanie socjalistyczne, choć niekoniecznie musimy to akcentować. Bowiem, jak pisał Heliodor Muszyński: *„To właśnie marksizm zastępuje bierne poddanie się siłom społecznym realną koncepcją czynnej przebudowy społeczeństwa"*. Ten sam marksizm zakłada, iż jednym z warunków powodzenia takiego wychowania jest aktywne, czynne uczestnictwo młodego człowieka od najwcześniejszych lat w życiu społecznym. Rodzina, dom, pojmowane jako podstawowa komórka społeczna mogą być pierwszą klasą w szkole wychowania społecznego.

### ORGANIZACJE MŁODZIEŻOWE

w swoich statutach jako naczelny swój cel deklarują wychowanie młodego pokolenia.

Pomiędzy deklaracjami, programami i chęciami a rzeczywistością jeszcze daleka, trudna droga do tego, aby ZHP, ZSMP ZMW, stały się silnym partnerem w tzw. froncie wychowawczym. Jak to stwierdzono na niedawnym łódzkim plenum

# Wychowywać to także brać odpowiedzialność

PZPR, poświęconym oświacie i wychowaniu: *„W większości szkół województwa organizacje młodzieżowe są słabe, niezbyt liczne (...) Organizacje te bardzo powoli odbudowują swoją pozycję wśród młodzieży. Jest to skutek wielu czynników, w dużej mierze również nieprzystosowania programów organizacji do rzeczywistych potrzeb młodzieży. Działalność organizacji młodzieżowych zmierzająca do podniesienia świadomości społeczno-politycznej młodego pokolenia nie może opierać się na mentorstwie bądź przekonywaniu jedynie za pośrednictwem teorii. Wymaga odpowiedniego zróżnicowania programów pod względem wiekowym, środowiskowym a nawet płci"*.

Działalność ZMS w okresie lat siedemdziesiątych była obciążona swoistym ekonomizmem. Zarzucano temu związkowi, że w pogoni za efektami ekonomicznymi i efekciarstwem, zatracił i jak to się mówi — „rozmienił na drobne" — szczytne cele, w tym także ideały wychowawcze. Są to zarzuty zasadne. Kiedy ZSMP ponownie zakładało swoje ogniwa w szkołach ponadpodstawowych, obiecywano sobie po tym wiele, sporo deklarowano. Co z tamtych słów rzucanych na wiatr odnowy zostało? Myślę, że nic czym można by się naprawdę szczycić.

Jednym z błędów natury politycznej i wychowawczej, który obciąża kierownictwo i aktyw ZSMP było to, iż w pracy organizacyjnej w środowisku szkolnym nastawiono się na pozyskiwanie młodzieży głównie albo jedynie na chwilę bieżącą. Zabrakło myślenia i działania perspektywicznego. Wręcz „kupowano" młodzież np. obozami zagranicznymi itp, aby tylko wstępowała w szeregi organizacji. Była to typowa robota dla statystyki, dla działania „pod sprawozdawczość". Często zapominano, iż walka o pokolenie młodych, szczególnie dzisiaj, w dobie tak rozległego i głębokiego kryzysu nie może toczyć się wyłącznie w kategoriach wąsko pojmowanego utylitaryzmu. Przed negatywnymi skutkami tego typu działalności przestrzegał już w szkicu pt „Rozmowa z ojcem" Ryszard Wojna, pisząc m.in.: *„z myślą o wiązaniu ludzi ze strategią państwa budzimy w nich pożądanie rzeczy, które zaspokajamy dopiero na przestrzeni kilkunastu lat, powodując tym rozgoryczenie czy wrażenie naszej nieudolności"*. Państwo, podobnie partia polityczna czy związek młodzieży, to „nie jest stowarzyszenie akcjonariuszy myślących tylko przez pryzmat dywidendy".

W tej sytuacji dojmującym ale i w pewnym sensie zrozumiałym staje się fakt, iż pytanie postawione na wspomnianym łódzkim plenum o to, kto dziś faktycznie sprawuje intelektualne przywództwo w środowisku młodzieży, pozostało właściwie bez odpowiedzi.

Są tacy, którzy prawie bez zastanowienia odpowiadają na nie: Kościół! Myślę, iż pomimo przypływu tzw. fali religijności młodzieży, pomimo dużej aktywności religijnej i pozareligijnej księży katolickich, zacytowana odpowiedź jest półprawdą, albo lepiej — rodzajem zafałszowywania rzeczywistości.

Już W.I. Lenin pisał, iż socjalizmu, a tym samym siły i wartości jego ideologii, nie jest w stanie zniszczyć żaden z klasowych przeciwników. Możemy to uczynić jedynie my sami, przez nasze błędy, dzięki naszej nieudolności. To my sami na skutek błędów popełnianych w wychowaniu i propagandzie, pchnęliśmy młode pokolenie w „ramiona Kościoła". Kiedy po sierpniu 1980 roku runęły autorytety i atuty, kiedy zachwiał się dotychczasowy system wartości, gdy dostrzegliśmy także wielorakie oznaki kryzysu moralnego, wówczas to próżnię spowodowaną naszą konsternacją wypełnił Kościół swoją szczególnie wzmożoną aktywnością światopoglądową i wychowawczą. Ludzie, szczególnie młodzi, nie mogą trwać zbyt długo w zwątpieniu, niewierze i niepewności. Jest rzeczą naturalną w naszej sytuacji, iż duża część młodego pokolenia w poszukiwaniu wiarygodnych idei i wartości skorzystała z oferty Kościoła. Nie znaczy to jeszcze, że mamy w Polsce do czynienia z fenomenem „masowego nawrócenia". Sytuacja może się jednak skomplikować poważnie, jeśli trwać będziemy dalej w bezczynności i ekspiacji.

Nie chciałbym być źle zrozumianym. Nie jestem przeciw Kościołowi. Sądzę, iż wychowanie zgodnie z regułą dziesięciu przykazań jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Jestem jedynie przeciw bezczynności wszystkich tych, którzy odpowiadają za świeckie wychowanie młodego pokolenia, wychowanie zgodne z duchem głębokiego socjalistycznego humanizmu. Czas najwyższy odnaleźć we wszystkim co robimy, a co ma służyć przełamaniu kryzysowego impasu, człowieka. A więc wrócić do źródeł.

### NAUCZYCIELE WOLELIBY UCZYĆ

Któż by nie wolał? Szczególnego rodzaju ucieczka części nauczycieli, głównie młodych w dydaktykę, pozwala im znaleźć usprawiedliwienie dla swojej bierności jako wychowawców. Młodzi nauczyciele twierdzą, iż nie są do tej roli właściwie przygotowani. Dlatego uchylają się od opieki nad związkami młodzieżowymi, samorządem uczniowskim i innymi organizacjami działającymi w szkole. Najchętniej odrobiliby swoje godziny i ...do domu. Nauczyciel to jednak nie tylko zawód, ale i powołanie. Powinnością nauczyciela jest wychowywać, pomóc znaleźć wychowankom swoje miejsce w skomplikowanym życiu społecznym. Zadanie to, szczególnie teraz staje się nakazem, bowiem szkoła stała się po sierpniu 1980 roku terenem ostrego sporu o system wartości, o racje polityczne.

Przeprowadzony w połowie bieżącego roku przegląd kadr nauczycielskich w łódzkich liceach ogólnokształcących pod kątem oceny pracy i postawy politycznej nauczycieli wykazał, że „większość kadry wykonuje swoje obowiązki sumiennie, a także wykazuje właściwą postawę społeczną". Jednakże: „zaangażowanie polityczne jest jeszcze słabe". Właśnie!

W „Biuletynie specjalnym" organu PRON, „Odrodzenie", w dniu 1 września ogłoszono drukiem tezy do dyskusji o potrzebach i niektórych problemach oświaty. Znalazło się tam także miejsce dla problematyki wychowania. Oto fragment tej publikacji:

*„W ostatnich latach życie poddało weryfikacji dotychczasowy system oddziaływań wychowawczych w szkole. Rezultaty działań wychowawczych nie mogą być uznawane za wystarczające, chociaż w szkołach wiejskich i małych miastach, środowiskach bardziej zintegrowanych, zanotowano mniejsze niedostatki wychowawcze. Najsilniej wystąpiły one w dużych aglomeracjach.*

*Z pedagogicznego punktu widzenia do najważniejszych przyczyn tego stanu rzeczy należy zaliczyć następujące:*

*1. Brak kompleksowego programu wychowania młodzieży w szkołach.*

*2. Osłabła twórcza działalność wychowawcza. W masowych oddziaływaniach wychowawczych dominowały działania powierzchowne, deklaracje, werbalne stwierdzenia, a tylko w niektórych szkołach dzięki inicjatywie dobrych nauczycieli i rad pedagogicznych — codzienna praca wychowawcza.*

*3. Nauczyciel w wielu szkołach stawał się głównie wykładowcą przedmiotu, nie zaś wychowawcą kształtującym osobowość młodzieży. Zbyt mało także oddziaływał własnym przykładem i zaangażowaniem.*

*4. W systemie kształcenia nauczycieli więcej uwagi zwracano na dydaktykę, techniczne środki nauczania, na pedagogikę jako naukę, a mniej na formy i metody wychowania".*

Można dodać jeszcze i to, iż szkoła stała się biurokratyczną instytucją. Dyrektorzy pilnują sprawozdań, bo z tego są rozliczani, według wskaźników są oceniani. Zaś nauczyciele „trzymają się" programów i pilnują, aby w dziennikach był porządek. W ilu szkołach można często usłyszeć, że fizyk jest od uczenia fizyki, matematyk — matematyki. A od wychowania? Może historyk, polonista...

A tak naprawdę kto?...

### ZAMIAST KONKLUZJI

Sądzę, iż pożytecznym będzie przypomnienie na koniec obszernego fragmentu z pracy wspomnianego już H. Muszyńskiego pt. „Zarys teorii wychowania".

Autor ten pisze, iż wychowanie *„jako zjawisko społeczne stanowi teren ścierania się dążeń oraz interesów różnych grup społecznych, a więc i różnych ideologii, i co za tym idzie — ma zawsze charakter klasowy. Wychowanie to zjawisko uwikłane w dynamikę życia i rozwój społeczeństwa, tak że w jego treściach i formach znajduje wyraz zarówno to, co w społeczeństwie nowe i postępowe, jak i to co stare i wsteczne. Jako społeczna działalność natomiast wychowanie należy do sfery decyzji i czynów dowolnych jakkolwiek ograniczanych przez obowiązujący system norm — mających służyć realizacji społecznie akceptowanych ideałów i wzorów osobowych. Działalność ta ma wszakże z reguły charakter zorganizowany i także w tym zaznacza się jej społeczny charakter"*.

I dodajmy od siebie: wychowanie wiąże się także ze społeczną, a więc nas wszystkich odpowiedzialnością.

**KAROL JÓZEF STRYJSKI**

## Polemiki

# Szaleństwo bez metody(ki)

Antoni P. Tabacki w artykule „Dlaczego szkoła musi źle uczyć" („Odgłosy" nr 42(84) porusza kilkanaście(!) nader istotnych problemów, które decydowały, decydują i decydować będą (o ile nie zostaną natychmiast rozwiązane zgodnie z dyktatem rozsądku, a także z poczucia własnego dobrego interesu) o głębi dna, jakiego sięgała, sięga i sięgać będzie nasza edukacja podstawowa i średnia. Jak znam nasze sprawdzone sposoby reagowania na diagnozy stawiane bez ogródek, oraz na słowa prawdy „rąbane prosto w oczy", wzmiankowana wypowiedź zostanie skwitowana tzw. głuchym milczeniem ze strony czynnników, które mogłyby zmienić sytuację w szkolnictwie, ponieważ mogąc podejmować wiążące decyzje, mają tym samym przemożny wpływ na bieg spraw. Odpowiednich decyzji jednak (zapewne!) nie podejmą, wypowiedź „Dlaczego szkoła musi źle uczyć?" traktując jako tzw. nieodpowiedzialny wybryk. Za lat 10, a także 25 będziemy mogli stwierdzać to samo, co stwierdzamy dzisiaj, tyle — że znów o parę pięter niżej w zestawieniu z sąsiadami. Bo też to, o czym pisze A. P. Tabacki, było słuszne także przed ćwierćwieczem!

Skoro więc lata przeszłe zmarnowaliśmy, doprowadzając stan szkolnictwa podstawowego i średniego do stanu dzisiejszego, to zdrowo myślący obywatel nie może zakładać, iż nagle cud się stanie lub dziw boży nad podziwy — nagle wyciągniemy wnioski z własnej poronionej działalności, nagle zaczniemy uczyć się na błędach własnych, słono przepłaconych, a także rzęsistymi łzami dzieci naszych okupionych. Przewidując przeto, iż omawiany artykuł będzie można drukować prawie bez zmian i w przyszłości — nie mam zamiaru zabierać głosu w sprawach najistotniejszych. Niech mnie rozgrzeszy i wytłumaczy fakt, iż głos taki już zabierałem kilkakrotnie na przestrzeni ostatniego ćwierćwiecza: bez skutku dla dobra publicznego, acz z bardzo bolesnymi skutkami dla dobra własnego, prywatnego i osobistego — co zrozumie każdy, kto zna nasze „metody" na krytykę i krytykantów, doprowadzone do perfekcji i finezyjności, choć często—gęsto i nie stroniące od sięgnięcia po kaganiec i knebel.

Zamiast więc rozwijania i uzupełniania spraw najistotniejszych, chciałbym zatrzymać się tylko na problemie stosunkowo najmniej ważnym. Chodzi o pozycję wiedzy, zwanej „metodyką nauczania danego przedmiotu" oraz o perspektywy samych „metodyków". Odnoszę wrażenie, wsparte autopsją, iż A. P. Tabacki kreśli obraz zbyt piękny używając wyłącznie soczystej czerni, określając przeciętną kadrę uczelnianych „zakładów metodyki nauczania" jako nieudaczników. Prawda jest gorsza, i to znacznie! Taka mianowicie, że specjalizacja zwana „metodyką nauczania przedmiotu", najzwyczajniej w świecie nie istnieje; skoro więc nie istnieją takie specjalizacje w ramach biologii, chemii, fizyki, matematyki itd., to jak w ogóle mogą istnieć „metodycy" nauczania? Nie mogą. Przeto i nie istnieją!

Zamiast więc czarnej farby do kreślenia obrazu, użyć należy farby białej — niedostrzegalnej na białym tle osnowy. Dopiero wówczas będziemy mieć rzeczywisty obraz stanu rzeczy, tj. biały na białym. Dokładnie tak, jak z owymi słynnymi szatami króla, który nagi był w oczach dziecka, ubrany będąc najwykwintniej od stóp do głów we własnych oczach, a także w oczach dworzan i dwórek.

Pierwszą przyczyną bezdennej mizerii metodyki nauczania, jako specjalizacji w ramach określonej gałęzi wiedzy, jest brak jej na liście specjalności, w ramach których można doktoryzować się i habilitować. Taka np. metodyka nauczania bilogii nie figuruje na liście specjalizacji tak biologicznych, jak i pedagogicznych. Skoro więc nie istnieje na liście specjalizacji, to nie istnieje w ogóle (wszak od wiek wieków my, Polacy, przedkładamy formę nad esencję!)! I to mimo iż ma fundamentalne znaczenie dla jakości absolwentów — przyszłych nauczycieli przedmiotu. To jednak, co ma nawet fundamentalne znaczenie dla praktyki, nie musi mieć znaczenia na olimpie nauki, zwłaszcza krańcowo sformalizowanej i zbiurokratyzowanej. Skoro więc ktoś zajmuje się czymś, co formalnie nie istnieje, to sam sobie winien: zajmując się czymś nie istniejącym, sam istnieć przestaje, przynajmniej w oczach formalnej hierarchii naukowej, a także osobistej kariery w nauce. W takiej sytuacji do zakładów metodyki nauczania danego przedmiotu garną się rzeczywiście głównie nieudacznicy, przegrani „ostatniego sortu" — choć i zdarzają się od czasu do czasu zapaleńcy, gwiazdy pierwszej jasności intelektualnej. Lecz tym ostatnim szybko wewnętrzny ogień albo wygaśnie, albo — chcąc go podtrzymać i dalej rozpalać — zmuszeni zostaną przerzucić się na inną specjalizację konstatując (z bólem serca!), iż popełnili ciężki błąd, pasjonując się wynajdywaniem nowych, a skutecznych metod wbijania do głów licealistom najnowszych osiągnięć wiedzy, zamiast samemu wiedzę tę rozwijać. Zwłaszcza, iż to drugie jest w miarę proste; to pierwsze zaś... „obyś cudze dzieci uczył"!

W metodyce nauczania przedmiotu nie można zostać docentem, a tym bardziej profesorem. Skoro nie ma docentów i profesorów, to tym samym nie ma doktorów z tą specjalizacją. Tym samym młody magister, podejmując (nieopatrznie!) pracę w zakładzie metodyki nauczania, automatycznie skazuje się na pozostanie magistrem do emerytury. Chyba że w porę zmądrzeje i przerzuci się z zakładu nauczania np. biologii do zakładu zajmującego się czymś bardziej konkretnym, skoro uznawanym oficjalnie, np. do zakładu biofizyki lub zoologii. Gdy się zaś do innego zakładu przerzuci, to przestanie interesować się problematyką metod nauczania biologii jako takiej — nie tylko z prozaicznego powodu braku czasu, a także z tego prostego powodu, iż specjalizując się np. w trzecim segmencie pijawki końskiej, rychło straci zainteresowanie dla biologii „jako takiej". Oto i jest prosty mechanizm sprawiający, iż jednostki wybitniej utalentowane omijają zakłady nauczania przedmiotu jak ognia, a jeśli już się tam znajdą — to szybko je opuszczają. Kariery na „metodyce nauczania biologii" nie zrobisz żadnej — choć jest to przedmiot bodaj czy nie najtrudniejszy. Karierę natomiast możesz zrobić wspaniałą, nawet światową, właśnie na trzecim segmencie pijawki końskiej — zwłaszcza w kontekście różnic z trzecim segmentem pijawki lekarskiej. — Kto więc pozostaje w zakładzie metodyki nauczania? Pozostaje (cytuję) „ostatni sort".

Uniwersytety, z istoty swojej kształcąc głównie nauczycieli, powinny przede wszystkim uczyć studenta, jak wiedzę fachową należy przekazywać młodzieży, aby w sercach tejże młodzieży rozpalało się umiłowanie przedmiotu, a w głowach narastała głęboka wiedza o przedmiocie. Utarło się jednak przekonanie, że uczyć potrafi każdy, i to „sam z siebie", tym samym nie trzeba się uczyć, jak uczyć innych; nie warto uczyć, jak uczyć. Owszem, skoro przedmiot „metodyka nauczania" już istnieje w programach, to odfajkujmy go. Ale nic ponad właśnie odfajkowanie: najmniejszym wysiłkiem i najniższym kosztem. Co m. in. wyjaśnia, dlaczego niejednokrotnie budżet całego zakładu „metodyki nauczania" jest niższy od budżetu 4-osobowej rodziny pracowniczej!

Kilka miesięcy temu przesłano uczelniom „do konsultacji" projekt wykazu dyscyplin naukowych i specjalizacji, w których można uzyskiwać doktoraty, habilitacje i profesury. Pomijam fakt, iż projekt ten był zdumiewająco „zadziwiający", jako pomijający np. w dziedzinie biologii takie uznane specjalizacje jak fizjologia (wyodrębniona już w XIX wieku!), genetyka względnie immunologia czy wirusologia, a postulujący powołanie w ramach tejże biologii takiej specjalizacji jak „rybactwo śródlądowe" lub „fizjologia odżywiania człowieka". My, no cóż, zawsze musimy mieć „własną drogę...". Symptomatyczne jest jednak, że we wzmiankowanym wykazie konsekwentnie pominięto „metodykę nauczania przedmiotu", i to niezależnie od dziedziny wiedzy. W czasie gdy PRON wzywa do ogólnonarodowej mobilizacji na rzecz szkoły, inni „swoje wiedzą" i swoje „rybactwo" tj. łowienie tłustej ryby w mętnej wodzie przedkładają ponad wszystko. I, niestety, tłusto na tym wychodzą!

Postuluję, jako obywatel, jeden z trzydziestu siedmiu milionów, powołanie — w trybie najpilniejszym — specjalizacji „metodyka nauczania danego przedmiotu" w ramach każdej dziedziny wiedzy. Dopóki tego nie zrobimy, dopóty metody nauczania przedmiotu w szkołach podstawowych i średnich będą pozostawać na poziomie średniowiecza (scholastyka)! To bowiem, co dzisiaj dzieje się w uczelniach, jutro dzieje się w szkołach. W uczelniach zaś dzieje się źle, ponieważ w uczelniach ludzie, utalentowani i pełni zapału, którzy chcieliby zająć się twórczo problematyką metod nauczania, tj. przekazywania wiedzy, nie mogą tego czynić — jeżeli nie chcą pogrzebać swego zawodowego rozwoju.

Wiedza o tym, jak uczyć, jest wiedzą, którą należy kultywować i rozwijać — jeżeli chcemy, aby nasze dzieci w trakcie nauki szkolnej przyswajały sobie rzeczywiście wiedzę o świecie i mądrość, zamiast steku formułek i kloaki faktów, z którymi nie wiadomo, co począć (najlepiej jak najszybciej zapomnieć!). By jednak sprawa była do końca jasna dodam, gwoli rozwiania złudzeń, iż potrzebę powołania specjalizacji naukowej o brzmieniu „metodyka nauczania danego przedmiotu" zgłaszano już wielokrotnie w ostatnim 40-leciu. Ze skutkiem wiadomym... Wydaje się jednak, że skutek ten, chociaż wiadomy wszystkim dzieciom i rodzicom, nie jest wiadomy wszystkim decydentom — nawet, gdy prywatnie są oni rodzicami.

Co jest z tym krajem nad Wisłą, że tak on ukochał zabawę zwaną rzucaniem grochem o ścianę? I to w czasach, gdy grochu jak na lekarstwo, a ściany stare sypią się, a nowych coraz to mniej i mniej — ponieważ nauczyciele nie wiedzą, jak uczniom wpoić zasady racjonalnej hodowli grochu i nie mniej racjonalnego stawiania ścian. Acz pesymista — wolę przyjmować, iż mamy tu do czynienia z szaleństwem wynikającym z braku „metodyki", a nie z metodą w szaleństwie.

**J. STANISŁAW KNYPL**

# Politycy w sutannach

W obliczu tolerancji, jaką Kościół katolicki przez wieki wykazywał wobec obejmowania przez duchownych funkcji politycznych, zaskakujące są ostre groźby pod adresem nikaraguańskich księży-ministrow. Na każdym etapie historii chrześcijaństwa, od czasu, gdy w IV wieku udało mu się wreszcie osiągnąć uznanie publiczne i prawne, byli księża i biskupi piastujący wyższe i najwyższe urzędy państwowe. Bez takich podwójnych funkcji całkowicie załamałby się państwowy i administracyjny system chrześcijańskiego Zachodu. Sam papież na obszarze swojej władzy, w państwie kościelnym, jeszcze w 1870 r. jako kapłan-król piastował również najwyższy urząd państwowy.

Klerykalizacja polityczna warstw panujących jest do pomyślenia tylko na tle jedności Kościoła i państwa na chrześcijańskim Zachodzie. Średniowiecze przyjęło ją z góry jako coś oczywistego i nie postawiło pod znakiem zapytania. Nie ma to z zasady nic wspólnego z żądzą władzy, osobistym dążeniem do uzyskania wpływów i kościelną ingerencją w politykę, a już zupełnie nic z „politycznym katolicyzmem", lecz ze sprawą przywódczych elit.

W społeczeństwie, w którym kształcenie było w znacznym stopniu przywilejem duchownych, mieli oni już z socjologicznych przyczyn pierwszeństwo w obejmowaniu również świeckich urzędów. Dopiero napływ laików do tego światowego bastionu duchownych stworzył warunki do stopniowego wypierania ich z polityki.

## „ŚWIĘTY ARYSTOKRATA" JAKO IDEAŁ

Istniały konkretne sytuacje przymusowe lub rozważania na temat praktycznego pożytku z powierzania duchownym świeckich funkcji. Oba te czynniki działały w chrześcijańskiej Galii w VI i VII wieku, kiedy osiedliły się tu pogańskie plemiona Germanów i po długotrwałym procesie przyjęły wiarę pokonanych. Jeszcze i całe pokolenia później biskupi pochodzili ze starej arystokracji senatorów. Próżnia władzy, jaką pociągnął za sobą zmierzch Cesarstwa Zachodnio-Rzymskiego, zmuszał ich — w wielu przypadkach pod naciskiem społeczeństwa — do przejmowania funkcji w administracji miejskiej i regionalnej, jak również zajmowania się sprawami obronności. W ideale „świętego arystokraty" z VII i VIII wieku, ten ideał duchownych uzyskał nawet rysy wyjęte z żywotów świętych.

Stopniowo w normalną praktykę przekształciło się to, co jako wyjątek wprowadzono w sytuacjach przymusowych. Pozostawał już tylko mały krok do tego, by oficjalnie powierzyć wysokim dostojnikom kościelnym państwowe funkcje w administracji, wymiarze sprawiedliwości i wojsku.

Ottonowie (Otton Wielki zmarł w 973 r.) z jeszcze większym wyrachowaniem włączyli Kościół do ich systemu państwowego. Wykorzystywali oni chrześcijańską ideę misyjną do zakładania na nowo podbitych terenach diecezji obsadzanych wiernymi królowi biskupami. Dla zapewnienia przeciwwagi politycznej wobec książąt plemiennych (Bawaria, Frankonia, Lotaryngia, Turyngia), tę samą politykę stosowali oni również przy mianowaniu biskupow w Cesarstwie. Z tego punktu widzenia biskupi, którzy nie pozostawiali żadnego zdolnego do dziedziczenia potomstwa, wydawali się bardziej niezawodnymi współpracownikami króla, niż osoby świeckie dbające o interesy rodzinne. Król mógł bez obaw powierzać im majątek Cesarstwa; po ich śmierci i tak bez żadnych problemów wracał on do króla.

To powierzanie zadań świeckich duchownym niosło jednak ze sobą niebezpieczeństwo dla Kościoła. Na dalszy plan spadały pierwotne zadania kościelne; król kierując się kryteriami politycznymi mógł anektować majątek kościelny lub rozdzielać go. Protest kościelnych kół reformatorskich przeciw tym nadużyciom doprowadził do sporu o prawo inwestytury (Canossa, 1077 r.). Po długich kontrowersjach konkordat z Worms przyniósł w 1122 r. czyste pod względem formalno-prawnym rozwiązanie, które wprowadziło rozróżnienie między „doczesnymi", tj. materialnymi dobrami urzędów kościelnych, a ich funkcjami „religijnymi".

W Średniowieczu ludzie nie myśleli o rozdzieleniu Kościoła od państwa, a nawet chociażby tylko o silniejszym rozdzieleniu zakresów ich kompetencji. Tak jak dotychczas biskupi otrzymywali ważne urzędy państwowe. Jako kanclerze rzeszy, pełnomocnicy w misjach specjalnych, członkowie rad królewskich, rzejemcy i specjaliści od operacji finansowych, a ostatnio jako elektorzy cesarza niemieckiego (arcybiskupi Trewiru, Kolonii i Moguncji), niemieccy dostojnicy kościelni pozostawali niezbędnymi filarami ustroju państwowego. W księstwach kościelnych biskupi i opaci byli pod zwierzchnictwem króla ziemskimi władcami, którzy mogli podejmować ostateczne decyzje polityczne.

W okresie reformacji to połączenie władzy duchownej i świeckiej stanowiło najsilniejszy bodziec do sekularyzacji; z drugiej strony stanowiło ono także najważniejszy bastion utrzymania się wiary katolickiej. Istniało ono do rozwiązania Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego w 1803 r.

W XVII i XVIII wieku poziom życia w poszczególnych księstwach kościelnych był wyższy niż na obszarach, gdzie panowali władcy ziemscy. Obiegowym powiedzeniem stało się stwierdzenie: „Dobrze jest żyć pod pastoratem". W Szwajcarii ocenę tę ilustruje poreformatorskie księstwo kościelne, Bazylea: był to czas pewnej prosperity prawa. Aż do uzyskania suwerenności kantonalnej biskup Bazylei był dla prawników skrytym, symbolicznym reprezentantem tej przeszłości.

W Hiszpanii i Francji sytuacja rozwijała się trochę w innym kierunku. Duchowni wyróżniali się tu przede wszystkim jako pierwsi słudzy państwa. Do wielkich osobistości, które zapoczątkowały „złoty wiek" w historii Hiszpanii, należy kardynał franciszkanów Francisco Ximenes (1436—1517) arcybiskup Toledo, wielki kanclerz Kastylii i wielokrotny regent. Trudny do oceny wpływ polityczny — bez bezpośredniego sprawowania urzędów politycznych — wywierali jezuici, jako spowiednicy królów i książąt.

## „TRYWIALNOŚCI" NA TEMAT KAPŁANÓW CELTYCKICH

Do łączenia godności kościelnych z zadaniami państwowymi otwarcie przyznawali się „pierwsi sekretarze" króla Francji, z których prawie wszyscy aż do Rewolucji Francuskiej byli duchownymi piastującymi godności biskupie. Najsłynniejszym przedstawicielem tych kardynałów-ministrów stanu był Amand Jean du Plessis de Richelieu (1585—1642), od 1608 r. biskup Lucon, który praktycznie od 1624 r. kierował sprawami Francji. Swoją politykę zagraniczną, w której w walce przeciw dworowi Habsburgów nie cofał się nawet przed sojuszami z książętami protestanckimi, podporządkował on wyłącznie racji stanu. Ten duchowy planista i architekt „Wielkiego Narodu" (Grande Nation), który starał się sprostać również obowiązkom wynikającym z jego urzędu kościelnego, nadał pseudoreligijny charakter pojęciu i praktyce suwerennego państwa i nie stosował do niego żadnych miar etycznych.

Jest oczywiste, że polityka ta — Kościół francuski był bardziej uzależniony od korony niż Kościół w Niemczech — nie była aprobowana przez papieży i doprowadziła do licznych kontrowersji z Rzymem. Jednakże ani Richelieu, ani jego przeciwnicy w Rzymie nie dostrzegali żadnej sprzeczności i w łączeniu urzędów kościelnych, i cywilnych. W 1615 r., na Zgromadzeniu Stanów Francuskich, Richelieu sięgnął nawet do kapłanów celtyckich, by wykazać cywilizacyjno-religijnie-historyczną stałość tych powiązań:

„U wszystkich narodów świata od zarania, w okresie pogaństwa, jak i po objawieniu, wyświęceni na godności kościelne zajmowali czołowe pozycje u panujących książąt... Ich godność pozwalała traktować dostojników kościelnych jako szczególnie nadających się do piastowania urzędów państwowych. Ich stan pozwala im być czymś i móc coś zrobić, gwarantuje uczciwość i przezorność, podstawowe warunki w służbie państwowej. Są oni pozbawieni egoizmu, nie muszą troszczyć się o potomstwo. Przeżyją ich tylko ich dusze, które nie mogą zbierać na ziemi żadnych skarbów i mogą dążyć tylko do tego, by osiągnąć zbawienie w niebie".

Te lekko ubarwione słowa — C. J. Burckhardt nazywa je „Trywialnościami" (Platitueden) — odzwierciedlają poglądy, które niezaprzeczalnie obowiązywały w całym średniowieczu i potem aż do Rewolucji Francuskiej, a w Niemczech do 1803 r. W XIX wieku państwo nie jest już skazane na duchownych; jednak Talleyrand, który poświęcił swoją godność biskupa Autun, potrafił polecić się Napoleonowi I jako minister spraw zagranicznych. Biskupi ciągle jeszcze zdobią cesarskie i królewskie senaty, izby parów, rady państwowe; bezpośredni wpływ polityczny mogą wywierać tylko jako osobistości pojedyncze.

„Niższy" kler natomiast ujawnia się obecnie politycznie w nowej formie: księża we Francji, w Niemczech i Austrii podejmują działalność polityczną jako animatorzy demokratycznych, częściowo wymierzonych przeciw liberalnemu państwu ruchów ludowych. Przyczyną tego jest najczęściej brak zdolnych elit. Podczas gdy we Francji nie powstaje żadna partia katolicka, niemieckie Centrum stało się organem „politycznego katolicyzmu".

W okresie między obu wojnami światowymi pewien rodzaj późnego rozkwitu świętuje polityk w sutannie w typie politycznego kardynała, będący w wielu wypadkach współzałożycielem partii katolickich w Holandii, Belgii, Luksemburgu i Austrii. Kolońki ksiądz, Heinrich Braums (1868—1939) był ministrem pracy w trzynastu gabinetach Republiki Wejmarskiej. Prałat Ignaz Seipel (1876—1932) był kilkakrotnie kanclerzem federalnym Austrii i z powodu swej biegłości, szczególnie w sprawach gospodarczych, jest uważany za najwybitniejszego austriackiego męża stanu okresu międzywojennego.

Tak wysokich godności nie osiągnął założyciel Katolickiej Partii Ludowej (poprzedniczki Democrazia Christiana), Don Luigi Sturzo (1871—1959), najwybitniejsza pod względem duchowym postać kapłana-polityka nowych czasów. Przejęcie władzy przez faszystów zmusiło go do opuszczenia Włoch na prawie 20 lat. Watykan odetchnął po tym z ulgą; kardynał, sekretarz stanu, Gasparri, mówił o niezgodności urzędów, a mianowicie mandatu poselskiego i kapłaństwa.

Doświadczenia historyczne i zasadnicze rozważania skłoniły w XX wieku rzymską centralę kościelną do ostrzegania przed obejmowaniem przez księży funkcji politycznych i zezwalania na to tylko w wyjątkowych wypadkach. Po 1945 roku dyspensy takie udzielano o wiele rzadziej niż po 1918 r. Praktyka ta jest sama w sobie rozsądna. Jeżeli jednak w jakiejś sprawie, która ma tak obszerną, choć nie zawsze szczęśliwą tradycję, nie udziela się już żadnych dyspens, to decydują o tym zapewne inne przyczyny niż niezgodność urzędów.

(DIE WELTWOCHE)

# Biskupi włoscy dyskutują

Na podstawie lokalnych sondaży poszczególni włoscy biskupi wysuwają prognozy, według których liczba uczniów uczęszczających na lekcje religii w szkołach publicznych zmniejszy się wskutek wejścia w życie nowego konkordatu od 10 do 80 proc., zależnie od środowiska i regionu. Konsekwencje nowego konkordatu, jeśli chodzi o nauczanie religii, stały się jednym z głównych tematów dyskusji na obradującym w Rzymie 24 nadzwyczajnym Zgromadzeniu Generalnym Konferencji Episkopatu Włoch. Jak wiadomo, nowe porozumienie, które zastąpiło układy z czasów Mussoliniego, podpisane przed 60 laty, ustanawia „fakultatywny" charakter nauczania religii w szkołach włoskich.

Przewodniczący Konferencji Episkopatu Włoch, arcybiskup Turynu kardynał Anastasio Ballestrero, odpowiadając na pytania dziennikarzy, zdystansował się od „alarmistycznych" prognoz niektórych biskupów. Oświadczył on: „Sądzę, że wysuwanie prognoz jest z gruntu bezużyteczne. Wiele zależy od tego, w jaki sposób wprowadzi się w życie nowe zasady. Na przykład od tego, czy ci uczniowie, którzy nie złożą deklaracji, iż chcą uczęszczać na lekcje religii, będą mieli tym samym mniej godzin zajęć, czy też wprowadzi się dla nich zajęcia zastępcze. Nie zamierzam bawić się w proroka ani nawet w komputer".

Prawdziwy problem, jaki stoi przed włoskimi biskupami, polega — zdaniem kardynała Ballestrero — na tym, jak dotrzeć z katechizmem do tych, którzy ewentualnie nie zgłoszą swego akcesu na lekcje księdza katechety czy świeckiego wykładowcy prowadzącego lekcje religii.

Wielu przedstawicieli episkopatu Włoch występuje z propozycją aby „lukę" w wykształceniu ogólnym młodzieży, jaką spowoduje przewidywana rezygnacja części uczniów z udziału w lekcjach religii wypełnić wprowadzeniem obowiązkowego przedmiotu nauczania pod nazwą „Kultura religijna". Kardynał Ballestrero, wypowiadając się na ten temat oświadczył: „Liczące się siły polityczne nie chcą, aby w szkole mówiło się o religii, poza nieobowiązkową lekcją przewidzianą w konkordacie. Chcąc w ten sposób zagwarantować bezwyznaniowość państwa. Jest oczywiste, że dla nas to wykluczenie religii od wpływu na kształtowanie nowych pokoleń jest nie do zaakceptowania".

Jednocześnie przewodniczący konferencji episkopatu Włoch przewiduje, że w chwili, gdy dojdzie do praktycznego rozwiązania sprawy lekcji katechizmu w szkole i rodzice będą musieli decydować czy podpisać deklarację o zgłoszeniu dziecka na te lekcje, czy też nie, z różnych stron „rozpoczyna się naciski".

„Nie ulega wątpliwości — powiedział Ballestrero — że będzie się stosować presję, propagandę i ingerencję. Szkoła jest gorącym tematem. Musimy, oczywiście, respektować wolność wyboru przewidzianą przez prawo, ale musimy także znaleźć sposób zastosowania tego prawa w sposób światły".

Sprawą, która wywołuje znaczny niepokój wśród szeregowego duchowieństwa włoskiego, jest „rozdział finansowy" Kościoła od państwa, który nastąpi praktycznie już od 1990 r. Dotychczas państwo „dokładało się" do uposażeń księży włoskich, aby zapewnić im określone „minimum socjalne", miało to szczególnie żywotne znaczenie dla księży pracujących w uboższych parafiach; dotacje państwowe uzupełniały uposażenie 35 tysięcy księży we Włoszech. Zgodnie z nowym konkordatem, od 1990 r. Kościół sam będzie wypłacał uposażenia, czerpiąc wyłącznie z własnych dochodów oraz z dobrowolnego opodatkowania się wierzących na rzecz Kościoła w ramach istniejącego we Włoszech systemu podatkowego. Biskupi uczestniczący w nadzwyczajnym zgromadzeniu generalnym dawali wyraz obawie duchowieństwa, że Kościół nie będzie w stanie zapewnić sobie dochodów (obecnie 291 miliardów lirów z funduszów państwowych przeznacza się na dofinansowanie uposażeń osób duchownych) wystarczających na utrzymanie kleru.

Kardynał Anastasio Ballestrero mówił również o obawach włoskiego duchowieństwa dotyczących administracyjnego aspektu tej sprawy: „Dziś — powiedział arcybiskup Turynu — każdy ksiądz pozostaje w bezpośrednim stosunku z państwem. Jutro, we wszystkich sprawach dotyczących jego utrzymania, będzie miał do czynienia wyłącznie z Kościołem. Ogromny aparat administracyjny państwa, który zajmował się wypłacaniem uposażeń dla księży, zostanie zdemontowany, a Kościół będzie musiał zastąpić go innym, który należy dopiero wymyślić."

Anastasio Ballestrero, odpowiadając na obawy wyrażane przez kler, wskazywał również na pozytywne aspekty nowego konkordatu podkreślając, że Kościół rezygnując z dotacji państwowych i z przywilejów prawnych w zakresie nauczania religii, staje się bardziej „wolny" i „bardziej wiarygodny". Jednocześnie powiedział, że nowy konkordat czyni z Konferencji Episkopatu Włoch „stronę" w stosunkach z państwem", jego „bezpośredniego interlokutora i partnera".

Na konferencji prasowej zapytano kardynała Ballestrero, czy tematem nadzwyczajnym zgromadzenia jest również szczególna sytuacja Konferencji Episkopatu Włoch, jedynej w świecie, która nie ma prawa wybierania swego przewodniczącego; jest on mianowany przez papieża. Ballestrero wyjaśnił, że ten temat był omawiany na poprzednim zgromadzeniu Konferencji Episkopatu Włoch, w maju 1984 r., a rezultaty dyskusji przedstawiono papieżowi, który wypowie się w sprawie przyszłego sposobu wybierania przewodniczącego konferencji.

MIROSŁAW IKONOWICZ

# Pojednanie to kosztowne przedsięwzięcie

**Arcybiskup Canterbury dr ROBERT RUNCIE odpowiada na pytania dziennika „The Times"**

**Czy Pan, jako zwierzchnik Kościoła, ocenia cele wytyczone przez rząd w dziedzinie polityki gospodarczej i przemysłowej jako szkodliwe?**

(...) Wzrost gospodarczy, wyższy standard życia, wyższa płaca dla zatrudnionych, odrodzenie dumy narodowej — wszystko to jest oczywiście warte celu. Ale jeśli dla człowieka konsekwencjami takich celów są bezrobocie na skalę bezprecedensową, ubóstwo, biurokracja, niepokój o przyszłość niektórych społeczności, niesprawiedliwy podział ciężarów do których nawołuje się, wówczas cele te muszą budzić wątpliwości (...)

Jak osiągnąć te cele nie tracąc wzajemnego poszanowania w społeczeństwie koniecznego, aby podnieść wydajność? Wydajność przeciwstawia się ilości. Teraz jest to płaszczyzna, na której ja znajduję się, zadając poważne pytania o usprawiedliwione cele, o niewątpliwe osiągnięcia w dziedzinie świadczeń społecznych kosztem rzeczywistego pogorszenia się stosunków międzyludzkich, poczucia wspólnego celu i nadziei.

**Jaki jest rzeczywisty charakter obecnego kryzysu w narodzie?**

Uważam, że kryzys ten wynika z niepokoju, kłopotów i głębokich zmian dokonujących się w naszym społeczeństwie. Wydaje się, iż jest to przejście od konsensu do konfrontacji, a także narastający stopień konfrontacji na skalę krajową z udziałem policji i pikiet. Mamy tu do czynienia z nierozwiązalnością problemu, problemu wydajność, czy humanitaryzm (...)

Niepokój tych, którzy czują, że instytucje wznoszone z bólem i ogromnym poświęceniem: demokratyczne postępowanie, siły policyjne, wymiar sprawiedliwości, związki są w niebezpieczeństwie. Zaufanie do tych instytucji dało temu krajowi spośród państw rozwiniętych pokój wewnętrzny i bezpieczeństwo na rzeczywiście nieporównywalny okres w historii. Sądzę, że ci, którzy bronią tych wartości uważają, że mamy tu do czynienia z mniejszością wysuwającą bezkompromisowe żądania i potępiają wszelką opozycję, jako opozycję polityczną stosującą demagogię.

**Jak w tej sytuacji powinien zachować się Kościół?**

Chrześcijanie powinni trzymać się integralnie swych zasad, jako chrześcijanie. Powinni zrozumieć, że jest więcej spraw, które nas łączą, niż dzielą. Powinno być o wiele większe poczucie niekwestionowanego zaufania do tego, co musimy uznać, opierając się na przekonaniach, że ludzie mają znaczenie, jako jednostki, albowiem liczą się wobec Boga i że każdy rodzaj ideologii i każdy rodzaj niepohamowanej hedonistycznej filozofii degraduje ludzką społeczność. Powinniśmy także trzymać się naszego fundamentalnego chrześcijańskiego przekonania, że nie ma tragedii, od której Chrystus nie mógłby zbawić... Pojednanie to bardzo kosztowne przedsięwzięcie... Uważam, że chrześcijanie nie powinni być ludźmi, którzy są zbyt udręczeni kryzysem; powinni iść naprzód, wierząc w obecne możliwości pojednania, nawet gdy sytuacja zmierza ku gorszemu.

**Jakiego rodzaju krajowe kierownictwo jest potrzebne?**

Potrzebujemy takiego kierownictwa, które będzie łączyć naród, zamiast dzielić. Nie jest to atak na rząd. Uważam, że we wszystkich partiach są ludzie, którzy mają o wiele większą świadomość konieczności porozumienia, niż moglibyśmy sądzić. Potrzebujemy pracy na rzecz pojednania. Potrzebujemy znalezienia pewnego sposobu udzielenia głosu tym, którzy są go pozbawieni, ludziom, którzy czują się stłamszeni i nie mają nadziei na przyszłość dla swych dzieci. Trzeba odrzucać stereotypy, którejkolwiek ze stron. Musimy wykorzystać kryzys dla stymulowania pilnie potrzebnych koncepcji dotyczących długofalowych planów zatrudnienia.

**W jaki sposób powinna przejawiać się rola Kościoła w sprawach publicznych?**

(...) Kościół powinien być zainteresowany sprawami publicznymi, lecz nie pociąga to za sobą wypowiadania się we wszystkich sprawach publicznych... Problemy będą rozwiązywali ci, którzy sprawują władzę. Musimy modlić się za tych, na których spoczywa odpowiedzialność za sprawowanie władzy. Lecz nie możemy pozostawiać naszej przyszłości po prostu w rękach dysponentów władzy (...)

# W kręgu fantastyki

DYMITR BILENKIN

## Gwiezdne akwarium

Pełny obrót co siedem i pół minuty. Trzeci miesiąc krążyły nad nim gwiazdy. Trzeci miesiąc był środkiem obrotu ciał niebieskich, osią wszechświata, wybrańcem ptolemejskiego świata. W rzeczywistym znaczył mniej niż pyłek i bolały go połamane żebra.

Dziewiętnaście kroków po obwodzie ciasnych oddziałów, cztery w poprzek i jeszcze jeden do góry, gdyż prawie nic tu nie ważył. Już nie wierzył w to, że w byłym życiu mógł latać gdzie chciał, kontaktował się z ludźmi, denerwował się z powodu głupstw, a nawe lubił śpiewać przy wtórze gitary.

Dziewiętnaście — cztery — jeden. W przód i w tył, tam i z powrotem. I to wszystko. I to na zawsze.

Po tym co było, zaraz po awarii, pozostało wrażenie długich omdleń i męczarni. Kiedy pełzał w skafandrze po rozbitym statku, daremnie wołał i szukał przyjaciół, a oczy przesłaniała lepka mgła. Tak naprawdę to rzeczywistość wyglądała prawdopodobnie nieco inaczej. W tych pierwszych godzinach, jak się później wyjaśniło, zrobił potwornie dużo. Jeszcze pamiętał jak ciągnął balon, zasmarowywał szczeliny nie bardzo świadom tego po co próbuje stanąć na nogach i podnieść parskającą butlę. Ale z usiłowań zapewnienia pomieszczeniu ciepła i światła w pamięci ocalały wspomnienia prób odkręcenia jakiegoś wentyla i tępe zdziwienie, z jakim oglądał furę detali w agregacie, detali, których przeznaczenie było mu oczywiście kiedyś znane.

O wiele później postawił sobie diagnozę: wstrząs mózgu. Drobne obrażenia w rodzaju złamania dwóch czy trzech żeber nie liczyły się już.

Przyczyny awarii nie udało mu się ustalić. Czy była ona związana z manewrem w pobliżu asteroidu, a co za tym idzie z błędem pilota? A może w krytycznym momencie pracował nie tak jak trzeba silnik? Oczywiście wszystko to mogłaby wyjaśnić komisja ekspertów, ale przypadek sprowadzi ją tu nie wcześniej niż za dziesiątki, a kto wie, czy i nie za setki lat.

Nie udało mu się również ustalić, w jaki sposób zginęła dwójka jego przyjaciół. Pamiętał, iż nie było ich obok kiedy nastąpiła katastrofa. Ale dlaczego? Tak czy inaczej zostali w oddziale, który został zniszczony w wyniku uderzenia. Być może wyniósł ich stamtąd strumień uciekającego powietrza. On jednak wolał myśleć, iż zostali pogrzebani pod szczątkami dlatego, że jeśli wyniosło ich na zewnątrz to najprawdopodobniej rzuciło na orbitę. I kiedy patrzy w cudem ocalały iluminator, to widzi ich ciała jako kropki pośród gwiazd.

Ale wszystkie te myśli przyszły później. Przez pierwszy okres po gorączkowej pracy spał. Oczywiście budził się i coś robił, ale wydawało mu się, że śni nieskończony sen. Jakby zachorował i leżał jak w dzieciństwie na szerokim łóżku, a za oknem była zimna, wiejska noc, w której szaleje gwiezdna zawieja. Gwiazdy sypią się prosto na piersi i brakuje głosu, by krzyknąć, a mama gdzieś daleko, bardzo daleko...

Przełom, od którego rozpoczęło się wyzdrowienie nastąpił niespodzianie. Obudził się i wstał. Ciało bolało, ale głowa była jasna i rześka. Dotarł do krzesła przed iluminatorem i usiadł. Ujrzał czerń, a w niej gwiazdy i skały, które kończyły się przepaścią.

Potem widział to wielokrotnie. Skały były nieruchome, a gwiazdy obracały się (w rzeczywistości wszystko było na odwrót). Gwiazdy wschodziły i zachodziły zawsze w jednym i tym samym miejscu. Na zmianę z nimi kreśliło łuk maluteńkie słońce. Jego zamglone promienie prześlizgiwały się po mroku ciemnych brył, dawały nura w zapadliny i wkrótce znikały, by znów się pojawić, przebyć tę samą co poprzednio drogę, dotknąć tych samych kamieni, jakby prowadził je martwy mechanizm kopiarki.

Wszystko powtarzało się dziesiąty, setny, tysięczny raz. Trajektorie gwiazd, cienie na skałach powtarzały się jak obrót nie wydających żadnych odgłosów kół. Zawsze, stopniowo, z niezniszczalną miarowością. Zmieniając się, nic się tu nie zmieniało. Poruszając się, zostawało nieruchomym. Znikając, powracało. Spoglądało na człowieka uosobienie mechanicznego porządku. Najidealniejszego, tępego porządku jaki może wyprodukować wyobraźnia. Władza praw przyrody dawała tu o sobie znać w sposób namacalny, bez upiększeń, brutalnie, niczym pręty więziennej kraty. Nie pozostawiała ona miejsca na przypadki, a więc i nadzieję.

I człowiek to zrozumiał. Po męsku ocenił sytuację. Nikt nie domyśli się, iż trzeba go szukać na asteroidzie. A jeśli nawet myśl taka przyjdzie komuś do głowy, to przecież jego asteroid nie został ujęty w katalogach, a co za tym idzie nie istnieje dla ludzkości.

Łączność? To co ocalało z aparatury nadawało się na materiał do budowy wiecznego silnika czy też innej bzdury.

W tej sytuacji wyjście było jasne. Można od razu skończyć z tym wszystkim. Można też pożyć jeszcze jakiś czas.

Z nienawiścią spojrzał na gwiazdy. Ich kłujące dalekie światło było bezlitosne. Światło to zlodowaciało pośród czarnych otchłani, nie zostało w nim ni ciepła, ni nadziei. Gwiazdy już zabiły jego przyjaciół. Starły z ich twarzy uśmiech. I nie ma ich już nigdzie. Nic się nie zmieniło na świecie. Nic, nic!

Ochrypły płacz czy też jęk przywrócił mu przytomność. Ze zmieszaniem spojrzał na swoje zaciśnięte pięści. Drżały. Niczym korzenie podwodnych roślin oplatały je ciemne nabrzmiałe żyły. Między ścianami zamierał krzyk. Jego krzyk.

Krzyczał? Tak.

— To nic.. — wymamrotał z ciężkim sapaniem. — To możliwe, to się zdarza, to nie histeria...

Zupełnie wyczerpany zamknął oczy. Oszalały stukot serca wolno ucichł. W minutę później spełz ze swego fotela i, jak gdyby nic się nie stało, zajął się inwentaryzacją swego mienia. Przeszłość odrzucił. Teraz robił wszystko bez pośpiechu, z nudną i obojętną skrupulatnością. Nie dlatego jednak, że od obliczeń zależał jego los, ale dlatego, że mozolna praca nadawała minutom jakiś sens i po części uwalniała od bezpłodnych rozmyślań. Poruszając się jak krab długo sprzątał swoją pieczarę, postękując z bólu, wpychając się w najciemniejsze zakamarki, dziesiątki razy przeliczał wszystko. Wszędzie panował chaos, triumfowały nieporządek i entropia. Kawałkiem szkła rozciął sobie palec i długo z tępym zdumieniem patrzył na płynącą krew. A potem zapomniał o rozcięciu. Od czasu do czasu wydawało mu się, iż jest Pluszkinem i dziwił się, iż może tak myśleć. A przy tym jego świadomość jakby się rozdwajała. Jedna jej część zajmowała się pracą, dokonywała obliczeń, odczuwała ból, podczas gdy druga z chłodnym zdziwieniem obserwowała wszystkie poczynania pierwszej. Ale w ogóle nie było mu źle. Strach nie zakradał się, nie przeżywał niczego takiego, co chyba powinien był przeżywać człowiek znajdujący się w jego położeniu.

Trochę go to niepokoiło. Ale nie przeszkodziło mu w zadowoleniu, gdy udało się odnaleźć i zebrać wszystkie rozrzucone figury szachowe. Wreszcie praca dobiegła końca. Pokarmu miał na wiele miesięcy. Z dziewięciu baterii akumulatorów ocalały cztery. Zapas ten na długo zabezpieczał go w ciepło. Jeśli oczywiście nie będzie marnować energii na coś innego. A marnować ją będzie trzeba. System regeneracji powietrza, bez którego nie przeżyłby ani minuty, wbrew rachunkowi prawdopodobieństwa działał. Był słaby niczym puls człowieka w szoku, ale od chwili, gdy naprawił go, mógł zostać ustanowiony ten stan równowagi środowiska jaki występuje w akwarium. Akwarium! Obraz ten nagle zdumiał go. Zerknąwszy przez iluminator na gwiazdy, ni z tego ni z owego roześmiał się. A śmiechu tego nie mógł powstrzymać nawet ból w piersiach.

Akwarium, akwarium! Jedyne w swoim rodzaju, niepowtarzalne akwarium pośród gwiazd. To bardzo śmieszne... Akwarium, w którym ospale przemieszcza się ryba Pietrow. Osobista ryba Pana Boga. Zamiast lampki oświetla ją maciupeńkie słońce. Obija się ona o ścianki, porusza płetwami i o czymś myśli. Zabawna taka ryba...

Poderwał się wściekły. Akwarium? Ryba? On im wszystkim zaraz pokaże. Rozniesie iluminator i...

Komu pokaże?! Prawom przyrody? Że nie jest rybą?

Ręce trzęsły się. Obejrzał się oszołomiony, jakby chciał uciekać i zrezygnował. Wszystko nie ma sensu. Wszystko nie ma sensu, a z dwóch bezsensownych rzeczy należy wybrać lepszą.

Postanowił więc żyć. I to nie tak po prostu żyć, ale zapisywać wszystko, co się z nim dzieje. Zapiski mogły się przydać temu, który przyjdzie tu po wielu, wielu latach. W jaki sposób nie wiedział, ale i wiedzieć nie mógł, po prostu wierzył, że się przydadzą, muszę się przydać. Życie w ten sposób nabierało jakiegoś sensu i to wystarczyło. Wszyscy ludzie w ostateczności są śmiertelni.

Od tej pory upłynęły z górą dwa miesiące, a jemu wydawało się, że cała wieczność. Szara, przygnębiająca i długa wieczność. Spał, jadł, opisywał każdy swój krok, patrzył na gwiazdy, sprzątał, naprawiał awarie, wędrował po swojej pieczarze coś mamrocząc pod nosem, grał sam ze sobą w szachy. Niekiedy zwidywały się mu głosy i postacie, jednakże wiedział, że coś takiego zdarza się samotnym i nie bał się. Najbardziej dokuczał mu błogi starczy głos, który, mgliście napomykając o swych związkach z prawami przyrody, przekonywał go, iż wszyscy ludzie to rybki w akwarium, tyle że o tym nie wiedzące, a jemu Pietrowowi wyświadczono tę łaskę, iż dano to zauważyć. I te rozmowy również zapisywał.

Wbrew wszystkiemu nie zamierzał poddawać się. Zawsze był uparty. Protestując w duszy walczył. Spróbował nawet zmontować nadajnik, z góry wiedząc, iż jego usiłowania skazane są na niepowodzenie. Nadajnik oczywiście nie wyszedł, ale prymitywny odbiornik mimo wszystko zmajstrował. Przez dwa tygodnie odbiornik milczał i potrzaskiwał, a potem odezwał się w nim jakiś głos, który oznajmił, iż jakiś kombinat wykonał z nadwyżką plan. I to było wszystko, co udało się usłyszeć.

Wyżywał się w prowadzeniu notatek. Była to rzecz najważniejsza i niezbędna. Notatki łączyły go niewidzialną nitką z przyszłością, z inymi ludźmi, których nigdy nie zobaczy, ale którzy przeczytają i zrozumieją być może więcej, niż był w stanie wyrazić słowami.

Tak płynęło życie.

Skały za iluminatorem, takie bliskie i niedostępne wabiły go coraz mocniej. Oczywiście mógł zrobić otwór i wyjść, ale nieunikniona przy czymś takim strata powietrza skróciłaby czas jego życia. Wyjść postanowił wtedy, kiedy będzie mu już wszystko jedno. Nie wcześniej. Wtedy właśnie zrobi sobie ostatnią przyjemność — powłóczy się pośród skał. A na razie spędzał długie godziny w fotelu. Gwiazdy poruszały się wciąż tak samo monotonnie, w zewnętrznym świecie nic się nie działo, ale z czasem zauważył, że miejsce wschodu i zachodu gwiazd stopniowo przesuwa się. Z góry wiedział, że malutkie zmiany w tym co widzi na zewnątrz muszą zachodzić. A jednak nie wiedzieć czemu zdumiało go to! Absolutny porządek został naruszony. Myśli jego dawno nie biegły tak jak przedtem i problem wydał mu się nowy i pociągający. Cóż więc z tego wynika? Że prawa przyrody są niezmienne i wszechwładne. A skoro tak, to wszystko powinno cechować się regularnością zegarowego mechanizmu. Wszystko musi poruszać się po kole i nic nowego wydarzyć się nie może. W zasadzie. Przecież coś nowego to zaprzeczenie poprzednich praw, a te są niewzruszalne. Ale na świecie bez ustanku powstaje coś czego nie było. Nie było gwiazd i pojawiły się. Narodziło się życie. Potem rozum. Jak to pogodzić ze sobą? Czyżby koło było tak olbrzymie, iż ludzkie oko ogarnia tylko znikomą część cyferblatu i dlatego za coś nowego bierze powtarzającą się rzecz starą? A może jest inaczej? Może nad wszystkimi prawami stoi najważniejsze prawo — prawo rozwoju?

Problem, nie wiedzieć czemu, wydał mu się nadzwyczaj ważny. Najważniejszy. Rozmyślał nad nim nieprzerwanie, nawet we śnie, ale tylko coraz bardziej się w nim gubił.

Słońce lekko zmieniło swoją trajektorię i zaczęło się powiększać. Na moment zaświtała nadzieja, że orbita asteroidu zbliży go do Ziemi, Marsa czy też innych zamieszkanych ciał niebieskich. Ale nadzieja zgasła. Nawet jeśli to będzie miało miejsce, to dopiero za wiele miesięcy, kiedy jemu będzie już wszystko jedno.

Mimo to ponownie spróbował obliczyć orbitę asteroidu. Nieuszkodzonych przyrządów astronawigacyjnych prawie nie zostało i trzeba było liczyć, w efekcie czego wynik był tylko przybliżony. Tym niemniej okazało się, iż na żadne zbliżenie się do zamieszkanych planet nie ma co liczyć.

Wkrótce stał się świadkiem jeszcze jednej zmiany. Jak zwykle siedział i obserwował ruch gwiazd, kiedy ze zdziwieniem zauważył, że dwie gwiazdy zamigotały niespokojnie.

Nie uwierzył własnym oczom i czekał. Nowy obrót potwierdził obserwację i wtedy wreszcie zrozumiał co oznacza to migotanie. Po prostu światło stało się ciut cieplejsze i słońce w ciągu kilku minut mogło rozgrzać skały. Najwidoczniej gdzieniegdzie był tam lód, tak samo czarny jak wszystko pozostałe. A może wszystkie skały były z lodu?

Z braku innego zajęcia zaczął rozmyślać, czy parowanie doprowadzi do powstania czegoś na podobieństwo atmosfery czy też nie. Wyszło mu, że nie. Nie wiedzieć czemu rozstroiło go to. Uraziło. Pozbawiono go widowiska! Jeszcze lepiej byłoby przekształcić się w kometę. Chociażby najgorszą. Zamigotać na koniec w teleskopach, przyciągnąć uwagę dwóch lub trzech astronomów; zaczęto by go obserwować, wciągać do katalogów, klasyfikować. To znaczy oczywiście nie jego, ale to mimo wszystko zabawne. Siedzi sobie taki astronom, patrzy w swoją optyczną rurę, oblicza tuzinkową kometę i nie podejrzewa nawet, że to nie żadna kometa tylko gwiezdne akwarium, z którego macha doń ręką człowiek, Pietrow. Ależ by wytrzeszczył oczy, gdyby ktoś mu szepnął jak rzecz ma się naprawdę.

Ale komety nie będzie. Ani tuzinkowej, ani nietuzinkowej. Żadnej. Praw nie da się ominąć. Kometa Pietrow nie powstanie i myśleć o tym nie ma co.

Westchnąwszy i zrugawszy się za głupie myśli wstał i już zamierzał odejść od iluminatorów, kiedy nagle osłupiał. Jeśli asteroid sam nie może przekształcić się w kometę, to dlaczegóż by nie można zrobić zeń komety?! Wstrząs był tak wielki, że wystraszony aż zamrugał oczyma. Co to za diabelska sprawa? Co za bies go podkusił?! Czy to możliwe?! A w świadomości jakby przemknęła błyskawica: możliwe!

Osłabiony usiadł w fotelu.

Cóż to właściwie takiego kometa?

Długi gazowy ogon, który świeci w promieniach słońca. Paruje lodowe jądro i niczym dym z ogniska ciągnie się za nią tren. To właściwie wszystko. A czy on jest w stanie rozpalić ognisko?

Poderwał się na nogi i zaczął się miotać, jakby bolał go ząb. Przypuśćmy, że uda mu się zapalić coś na powierzchni. Aby tego dokonać trzeba będzie wyjść... Dobra, to potem, potem... Opary, otoczywszy asteroid mgłą, szybko rozproszą się, bo przecież prawie nie ma tu siły ciężkości. A to znaczy, że żadnego ogona nie będzie.

Co prawda można skonstruować coś w rodzaju rozpylacza i skierować strumień gazów w jednym tylko kierunku. Ciążenie jest tu znikome i za asteroidem pociągnie się ogon. I co dalej? Potrzebny jest długi, bardzo długi ogon, by astronomowie zauważyli kometę.

Nieprawdopodobne trudności. I po co? By się zabawić? Wygląda na to, że zwariował. Chociaż... Odkrywszy kometę w takiej odległości od Słońca astronomowie zdziwią się i zainteresują: cóż to takiego i dlaczego nie według praw? Ale nawet do głowy im nie przyjdzie, że to dym ogniska. Nieprawdopodobnym wysiłkiem woli zmusił się do tego, by przestać myśleć na ten temat. Zapomnieć. I natychmiast poczuł pustkę. Ogarnął go taki smutek, że wszystko stało się dlań obojętne. Wyskoczyć by na zewnątrz, bez skafandra...

Na koniec wszystko w nim się zbuntowało. Myśleć nie można?! Marzyć, fantazjować, mieć nadzieję? Może w jego sytuacji już i to jest zabronione? Ogon powinien być długi. Jak długi? Na miliony, dziesiątki milionów kilometrów?

Ależ nie! Przecież on nie zamierza robić z siebie niezwykłego zjawiska na niebie. Teraz jego asteroid nie jest chyba widoczny nawet przez najlepsze pozaatmosferyczne teleskopy. Nie dlatego, że jest mały, lecz dlatego, że zbyt słabo odbija światło. Wystarczy dwukrotnie zwiększyć jego jasność, by stał się przyćmioną, ale, mimo wszystko, dostrzegalną gwiazdeczką. Zrobić to nietrudno, ale to nic nie da — po prostu automatyczny rejestrator wciągnie do katalogu jeszcze jeden asteroid. To znaczy, że ogon musi być wielokrotnością jego średnicy. Wtedy asteroid będzie obserwowany jako kometa. Ale cały asteroid to jakieś sto lub dwieście metrów! Co za tym idzie...

Niemożliwe, coś tu nie tak... Spokojnie, spokojnie... Dla pewności zrobimy ogon tysiące razy większy od średnicy. To raptem setki kilometrów gazowo-pyłowego trenu. Raptem.

Nie uwierzył sobie. Przeliczył. Zgadza się. Przecież to wielkość największych asteroidów, takich jak Cerera, Westa, a te cudownie widać przez teleskopy. Jego kometa natychmiast zwróci na siebie uwagę! Natychmiast!

Co zrobić, co można zrobić, co trzeba zrobić, by wszyscy zrozumieli sens tej komety? Dym ogniska, dym ogniska?... Czarny lub biały, sygnałowy... Ogon trzeba pofarbować.

Na statku, ile dusza zapragnie, potrzebnych do tego materiałów. Emalia ścian, plastykowa masa rączek, izolacja. Czy to mało? Można otrzymać dowolne odcienie dymu. Trzeba wybrać jakiś kolor absolutnie nie do pomyślenia. Żeby uczeni złapali się za głowy...

Stop. Złapać się za głowy to chyba się złapią. Ale statku w kierunku komety nie poślą. Niebezpiecznie jest dawać nura w jej mgliste głębiny, a poza tym po co? Zdarzają się komety żółte, czerwonawe, a teraz pojawiła się granatowo-zielona w kropki. Ciekawe, ale cóż to takiego szczególnego? W przyrodzie wszystko się zdarza.

Wynika z tego, że trzeba stworzyć kometę, jaka się nie zdarza i zdarzyć się nie może. Z ogonem skierowanym nie od Słońca, a ku niemu. Tęczową. Migoczącą. Kropka — myślnik — kropka. „Tu ja, Pietrow..."

Kometa w kształcie pawiego ogona. Cudownie! Mrugająca porozumiewawczo. Roześmiał się radośnie. Jakież to spowoduje zamieszanie! Jakie zamieszanie!

Skonstruuje zapalniczkę. Na statku pełno najprzeróżniejszych rzeczy, a zapalniczka to rzecz tak prymitywna, iż będzie ostatnim niedołęgą jeśli jej nie zrobi. Wyjście też nie stanowi problemu. Niech wyleci część powietrza. Zapas tlenu pozwoli uzupełnić ubytek. Tak, ale w jaki sposób rozpali ognisko?!

Ach, nie w tym rzecz. Gęstość ogona komety nie jest wiele większa od rozrzedzonej próżni. Można znaleźć rzeczy, które palą się bez obecności tlenu, bądź zawierają go w sobie. Można podpalić je ładunkiem elektrycznym, można zogniskować na nich promienie słoneczne. W ten, czy inny sposób przeszkodę tę da się ominąć. Ale kosztem czego wytworzy ciąg dostatecznie silny, aby gazy utworzyły tren? Kosztem powietrza, które potrzebne jest mu do oddychania i które straci, jeśli wyjdzie...

Chociażbyś krzyczał, walił głową w ścianę, równanie jest nieubłagane. Nie ma rezerwy, która wystarczyłaby na wszystko i basta! Albo, albo — niech to diabli!

Nie zauważył, że krzyczy. To bezlitosne tak łudzić go nadzieją! Niesprawiedliwe! Potworne!

Ale przecież to on sam rozbudził w sobie nadzieję. Dlaczegóż więc krzyczy? Z kim lub z czym walczy? Z porządkiem świata? Z tym, że nie może wyjść... nie wychodząc?

Może zbudować przedsionek, zmajstrować pompę dla wypompowania... Zbyt długie, niepewne, skomplikowane i wszystko tylko po to...

Po to by wynieść zapalniczkę.

A po co zapalniczka ma się znajdować na zewnątrz?!

Jołop i idiota, oto kim jest. Potrzebny jest maleńki otwór w ścianie. Maluteńki Dysza. Potrzebny jest regulator, który w równych odstępach czasu wyrzucałby ściśle wymierzone porcje... wody. Tak, tak! Odrobina wody jak katapulta wystrzeli krople, które natychmiast wyparują i rozproszą się w przestrzeni jasnymi kryształkami lodu. Albo nawet nie tak — dziecięcy pistolet na wodę, wtedy i powietrza tracić nie będzie! Oto czego mu trzeba, ale o tym później, później, wszystko zdąży jeszcze przemyśleć i ulepszyć. Jeśli prawidłowo obliczyć (a prawa przyrody są teraz po jego stronie!), to błyszczący słup z wystrzału na wystrzał będzie rosnąć i rosnąć, dlatego, że jest kompresor, a co za tym idzie można otrzymać przyzwoite ciśnienie! A wody mu wystarczy, bo przecież jej zapasy w systemie były obliczone na trzy osoby. I nie trzeba żadnego eleganckiego pawiego ogona. Istnieją spektografy i spektogramy, które wychwytują miliardowe części domieszek, a w obserwatoriach nie siedzą kretyni. Po prostu do wody trzeba czegoś dodać. Czego? Ot chociażby fluoroaminowej pasty, którą pisze.

W ogonie komety astronomowie odkryją ślady atramentu!

I to go uratuje!

Przekład: MICHAŁ SIWIEC

# 1 Nagle zastępstwo

## Byle jak

Pogoda była od rana smutno-jesienna. Ni to ciepło, ni zimno, drobny deszczyk... słowem, byle jaka. Zjadłem śniadanie składające się z mdłej owsianki, lichej, parzonej wczoraj herbaty, czerstwej bułki i niskosłodzonego dżemu. Nie ogoliłem się, założyłem wytarte spodnie z szarobrudnej elanobawełny i wymiętą, werwetową marynarkę. Miasto wyglądało przez brudne szyby tramwaju jeszcze gorzej niż zwykle.

Byłem umówiony z dyrektorem przedsiębiorstwa budowlanego, które skandalicznie przedłużało remont szkoły. Tłumaczył się trudnościami obiektywnymi. Częstował mnie ohydnymi papierosami o smaku palonego papieru gazetowego. Poziewywał. Zanotowałem co miałem zanotować. Wypiłem w kawiarni lurowatą kawę, pogadałem o byle czym w redakcji, przejrzałem gazety i poszedłem na obiad.

Niedomyty kelner podał mi zupę jarzynową o smaku pomyj i zimny stek. Pod tym pseudonimem ukrywał się zwykły kotlet mielony. Buraczki były zupełnie niejadalne.

Po południu spotkałem się ze znajomym działaczem regionalnej organizacji pt. *Towarzystwo Miłośników Czegośtam. Ponarzekał* na zarząd swojego towarzystwa. Sami emeryci bez ikry, zajmują się niepotrzebnym lokowaniem społecznych pieniędzy w imprezy pewnego muzeum regionalnego. Nic poza tym. Żadnych imprez, żadnych wydarzeń. Nudno, szaro, byle jak.

Potem byłem z Ewą w kinie. Ewa była niewyspana, nie uczesana, bez manikiru i makijażu. Pasowaliśmy do siebie.

Film, powstały zresztą na podstawie jednej z najpoczytniejszych przed laty powieści polskich, był smutny i nudny. Głównego bohatera, amanta-dyplomatę miał grać pewien bardzo — niegdyś — popularny aktor. Chyba chorował, bo w roli obsadzono jego własnego ojca. Widoczne skutki miał też bojkot aktorski. Nie dosyć, że córki Sikorskiego nie chciała zagrać w filmie Poręby żadna aktorka i reżyser zaangażował Bułgarkę, to — z tych samych zapewne powodów — do tego dzieła zaangażowano amatorkę. Ani cienia tego, co się nazywa warsztatem aktorskim. Smutno i monotonnie, z lekka przez nos recytowała tekst. Dobrze, że choć zgrabna.

Film — jak wynikało z napisów w czołówce — zrealizował reżyser wraz z żoną. Żona bywa niezwykle pożyteczna i przydatna w wielu różnych sprawach, ale pracować trzeba samemu — pomyślałem, kiedy odprowadzałem znudzoną Ewę do domu. Na herbatę nie dałem się zaprosić. Lepiej już nic nie robić, niż robić to byle jak, na co wyraźnie się zanosiło...

Odczekałem pół godziny na przystanku, trochę zziębnięty i trochę zmoknięty dotarłem wreszcie dychawiczną superrakietą marki Berliet do swojej peryferyjnej dzielnicy. Po omacku trafiłem do swego bloku i do drzwi mieszkania. Nie mogłem się wykąpać, bo brakło ciepłej wody. Wymieniłem żarówkę w przedpokoju, choć świeciła zaledwie trzy dni. Włączyłem telewizor. Leciał dziennik. Pokazywali jakieś miasteczko w RFN, w którym co dziesiąty zdolny do pracy mieszkaniec jest bezrobotny. W związku z bezrobociem rośnie w mieście popyt na tanie mieszkania. Tymczasem miejscowa burżuazja buduje wielkie luksusowe domy, które stoją puste i czekają na lokatorów.

Zatelefonowałem do ekonomisty Jacka A. Połączenie dostałem dość szybko: po dwóch tylko pomyłkach usłyszałem znajomy głos.

— Oglądałeś dziennik? — zapytałem — jeśli tak, to wytłumacz mi dlaczego przedsiębiorcy budowlani czy inne tam jakieś kapitalistyczne hieny w RFN dobrowolnie narażają się na straty i budują domy, które nie znajdują nabywców zamiast budować tanie bloki z małymi, tanimi mieszkaniami?

— Po pierwsze, robią to dlatego, żeby zrobić na złość proletariatowi. Robienie na złość klasie robotniczej jest ulubioną rozrywką kapitalistów, o tym powinieneś wiedzieć. Po drugie, są optymistami i wierzą, że kryzys się skończy już wkrótce, a wówczas nie będzie popytu na tanie mieszkania. Po trzecie, są pesymistami, sądzą, że kryzys potrwa długo i bezrobotnych nie będzie stać na żadne w ogóle mieszkania, więc wszystko jedno, czy się buduje tanie, czy drogie. Po czwarte, są realistami i wiedzą, że budowanie mieszkań dużych jest równie nieopłacalne, jak budowanie mieszkań małych.

— To po co budują cokolwiek?

— Inwestycje wymusza na nich system podatkowy. Kiedy budują, korzystają z ulg podatkowych.

— Bez sensu. Kto ma z tego jakąkolwiek korzyść?

— Nikt. No, może teoria ekonomii. A jeszcze znakomici propagandyści z DTV. Kończmy stary, bo właśnie w telewizji zaczyna się film polski z cyklu „Dwadzieścia lat minęło".

— Jak się czujesz, tak ogólnie?

— Byle jak... Cześć!

*Obejrzałem kolejne tego dnia arcydzieło kinematografii polskiej. Potem usiadłem do maszyny i napisałem ten felieton. Byle jaki felieton.*

*Zapłacą mi za niego też byle jak, co będzie aktem sprawiedliwości. Za te byle jakie pieniądze kupię sobie byle co.*

ANDRZEJ KAROL

# 2 Lewym okiem

## Cenią, ale nie lubią

Jak wiadomo, ulubionym tematem naszych lektur i dyskusji jest od paru stuleci pytanie: co o nas myślą inne narody. Dość często spotykam się z twierdzeniem że polska kultura była tak atrakcyjna dla obcych, że doprowadzała ich szybko do wynarodowienia i polonizacji; że Polaków szczególnie lubią za ich zadzierzystość i humor, że podziwiają naszą (nie całkiem potwierdzoną historycznie) tolerancję że aż cierpią od współczucia nad naszym tragicznym losem, że jednym słowem — cieszymy się prawdziwą sympatią, zagłuszaną niestety przez racje bieżącej polityki. Z moich osobistych obserwacji i doświadczeń, a także — i przede wszystkim — z obfitych lektur w tym zakresie wiem niestety, że jest zupełnie inaczej. Może więc zamiast w ciemno delektować się rzekomym o nas arcydobrym mniemaniem, lepiej byłoby uczciwie to mniemanie poznać i nad nim podumać?

Ale nie dziś. Dziś chcę odskoczyć trochę w bok i powtórzyć parę uwag na temat: jak dzisiejsi Włosi widzą dzisiejszych Niemców? W pierwszej wojnie byli na początku sprzymierzeńcami, później wrogami. W drugiej — razem bili się w Stalingradzie, a potem strzelali do siebie w Lombardii. We Włoszech też była okupacja niemiecka. Jaki stereotyp Niemca ostał się po tym wszystkim w wyobraźni Włocha?

„Niemcy lubią Włochów ale ich nie cenią. Włosi cenią Niemców ale ich nie lubią". O taką sentencję, krążącą jako porzekadło w obu krajach oparł swe rozważania doktor Giuliano Germiniasi, germanista z Mantui w artykule opublikowanym rok temu w Republice Federalnej Niemiec. Co do trafności tej sentencji Germiniasi się zresztą nie wypowiada, zamiast tego śledząc obraz Niemca we włoskich środkach masowego przekazu. „Jeśli włoski publicysta chce, aby to co pisze było po prostu popularne — pisze doktor Giuliano — to nie szczędzi Republice Federalnej wyrazów podziwu. Wręcz chciałoby się powiedzieć, że zazdrości Niemcom ich bezspornych uzdolnień: z duchowych i materialnych ruin Drugiej Wojny potrafili uczynić w krótkim czasie silne państwo. Eksportują swe wyroby na cały świat. Robią na każdym kroku konkurencję Japończykom i Amerykanom. A czy nie zdarzyło się wam usłyszeć np. w sklepie branży elektrycznej: to kupuję bo to wyrób niemiecki..?"

Oczywiście prasa włoska nie przemilcza też słabości i wad niemieckich, jak niezbyt rozwinięty krytycyzm, mała ruchliwość, brak fantazji, przesadna „zasadniczość" przesadne umiłowanie munduru, którego starsze roczniki jeszcze nie zapomniały: „Dzielny naród ci Niemcy. Przydałby się nam ich porządek. Ale kiedy włożą mundur..."

Lucio Lombardo Radice, zmarły niedawno członek centralnego komitetu partii komunistycznej, wydał przed paru laty książkę pt. „Niemcy, które lubimy". Przytacza w niej zjawiska negatywne (ucieczka przestępcy wojennego Kepplera z więzienia we Włoszech i ukrycie go w RFN, akcja komandosów w Mogadiszu, podejrzane samobójstwa terrorystów z grupy Baader—Meinhof w więzieniu Stammheim i rozpętane potem „polowania na czarownice"), ale nie uważa ich za typowe dla republiki. Prawdziwe Niemcy, to Niemcy Goethego, Beethovena i „prawdziwych demokratów, którzy nieustępliwie kroczą niełatwą drogą wolności oraz społecznego i obywatelskiego postępu".

Podsumowując, doktor Germiniasi uważa, że prości ludzie we Włoszech nastawieni są wobec Niemców jak najbardziej pozytywnie, natomiast intelektualiści mają wiele zastrzeżeń i są pełni rezerwy. Nie zapominajmy zresztą, że to wszystko pisane jest dla czasopisma wychodzącego w RFN, a więc niewolne od kurtuazji. Być może jest to też powodem, dla którego w ogóle nie wspomina się o fakcie, że Niemcy żyją także na wschód od Łaby; czy o nich wcale się nie mówi we włoskiej prasie?

Jeśli spotkacie Włocha (co nie zdarza się co dzień), podyskutujcie z nim o Niemcach. Myślę, że obaj partnerzy takiej dyskusji, o ile by była prowadzona na tak zwanym poziomie, wyszliby z niej wzbogaceni o parę spostrzeżeń.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

# 3 Spojrzenie znad szachownicy

## Oczytany młody człowiek

Drążąc sprawę, którą napocząłem przed tygodniem, mógłbym powiedzieć z lekką tylko przesadą, że KTT dołał do Czarnego Morza już nie łyżkę, a całą cysternę dziegciu, żółci i innych gryzących paskudztw, a ja musiałem potem to morze wypić.

Oczywiście po Warnie i okolicach pętało się od cholery i trochę rodaków, nie wszyscy mieli jednak ze sobą „Politykę" z 29 września, a jeżeli nawet mieli, to niewykluczone, że wykorzystali ją głównie do opakowania nabytych po sklepach różności. I tu objawił się oczywiście mój wyjątkowo zły charakter, nie mogąc bowiem dosmucić wszystkich, dosmucałem przynajmniej braci żurnalistów. Zaczajałem się mianowicie zaraz po kolacji i obżartych, a więc otępiałych tytanów pióra pytałem niedbale: — A tak nawiasem, czytał pan(i) felieton Toeplitza w ostatniej „Polityce"? Bardzo ciekawy, mam ten numer akurat ze sobą...

Jesienią, jak wiadomo, wieczory są raczej długie, każdy niemal dawał się tedy wpuścić w krzaki i pożyczał ode mnie tę „Politykę" pod słowem honoru, że przy śniadaniu bezwzględnie odda. No i potem śniadanie nie smakowało mu ani trochę, toczył biedak wokół błędnym wzrokiem, coś do siebie gadał, machał ręką, a najmniej odporni wręcz oświadczali, że trudno i darmo, trzeba będzie się upić... I w ten sposób poprawiliśmy razem z Toeplitzem i tak wcale niezły bilans płatniczy Bułgarii, spożycie spirytualiów w okolicach Międzynarodowego Domu Dziennikarza wyraźnie bowiem wzrosło, nie wiem jedynie, kto i jakie wyciągnął z lektury wnioski.

We mnie wszelako felieton „Po wakacjach" tkwi jak nóż i tylko jak nóż będę mógł go z siebie wyrwać — że strawestuję piękne zdanie Kafki z „Listów do Mileny".

2.

Tytuł mojego tekściku, co łatwo odgadnąć, nie odnosi się wszakże do Toeplitza. KTT nie może bowiem być całkiem młody, skoro ja sam czytuję go nieomal od dzieciństwa. Dla odprężenia i pocieszenia chciałbym wszelako przedstawić małą zagadkę i zapytać, jaki to zaledwie 21-letni, niezwykle utalentowany i popularny, acz nie mający nic wspólnego ze sztuką człowiek, mógł — indagowany przez dziennikarza — tymi oto słowy opowiadać o swoich zainteresowaniach literackich?

Cytuję:

**„Zacząłem czytać wcześnie, w wieku 4 lat czytałem co popadło, a pierwszą poważną książką, którą mi przeczytano, był „Magellan" Stefana Zweiga, następną „Napoleon" Tarlego. Później przestawiłem się po cichu na literaturę dla dzieci. Co prawda był to bardzo krótki okres, tak samo jak w wypadku literatury przygodowej i kryminalnej, do której odnoszę się dość sceptycznie, tak że książki te rzadko wpadają mi do ręki. Gdy miałem 14 lat zabrałem się do czytania systematycznie. Były okresy wyłącznie Hemingwaya, tylko Gorkiego, tylko Feuchtwangera. Jeżeli pisarz mi się spodobał, czytałem wszystko, co napisał. I jeszcze dzisiaj wracam do książek, które mną wstrząsnęły.**

**Na to samo pytanie o ulubioną książkę, zadane w kwietniu, lipcu i październiku, pamięć podpowiada różne tytuły. Odpowiedź jest zależna od stanu ducha. Tak samo, jak różny w różnym czasie stan ducha wymaga dla siebie odpowiedniej książki.**

**Bardzo lubię poezję rosyjską. W latach szkolnych wiele uczyłem się na pamięć. Na pierwszym miejscu zawsze stawiałem Lermontowa, później był Blok i Jesienin. Niedawno, niemal przypadkowo, wpadł mi w ręce malutki zbiór wierszy poety azerbejdżańskiego, żyjącego w ubiegłym wieku, Mirzy Szafi Wazecha. Bardzo się ucieszyłem ze swego odkrycia.**

**Bliski jest mi Gorki, a zwłaszcza jego utwory romantyczne, Hemingway, praktycznie wszystko, co napisał. Ale „Komu bije dzwon" i „Stary człowiek i morze" zajmują w mym życiu szczególne miejsce.**

**Jeśli chodzi o literaturę ostatnich lat, to największe wrażenie wywarły na mnie książki Nodara Dumbadze i powieść Czyngiza Ajtmatowa „I dłużej niż wiek ciągnie się dzień". Uczucie zetknięcia się ze wspaniałym talentem wywołała książka Marqueza „Sto lat samotności". Zauważam to nawet po szybkości czytania. Zwykle jest ona u mnie wystarczająco wysoka, ale w powieści Marqueza „ugrzęzłem"... Wrażenie po przeczytaniu „Stu lat" było tak silne, że „Jesień patriarchy" czytałem później nawet z pewnym sceptycyzmem..."**

3.

Nie będę zbyt długo męczył czytelników zgadywaniem, choćby i z tej przyczyny, że „Odgłosy" jako pismo mało poważne — w odróżnieniu na przykład od wysoce seriozne „Kaduzeli" — nie mają żadnych gustownych nagród książkowych do dyspozycji, a za uścisk dłoni nikomu dzisiaj choćby tylko do trzech nie chce się policzyć. Otóż tym raczej oczytanym młodym człowiekiem jest nie kto inny, a pretendent do tytułu mistrza świata Garri Kasparow, z pewnością jeden z największych szachowych talentów, jaki pojawił się w naszym stuleciu.

Zważywszy, że Wasz pokorny sługa o mały figiel nie został na drugi rok w tej samej klasie zdobywając tytuł mistrza Polski juniorów, a między moim tytułem a tytułem mistrza świata jest w przybliżeniu podobna różnica, co między Gubałówką a Mount Everestem, trudno wręcz pojąć, jak można jedno z drugim pogodzić i nie popaść w pomieszanie zmysłów. Spotkało to przecież Roberta Fischera, choć chwalił się, że oprócz literatury fachowej czytuje wyłącznie książeczkę czekową.

4.

I w tym mniej więcej miejscu powinien pojawić się tak zwany morał, czy też pointa, jedno i drugie jawi się wszakże dość koślawe, oczytany Kasparow przegrywa bowiem mecz z Karpowem, a lektura Toeplitza popsuła mi urlop nad Morzem Czarnym.

Więc może jest rzeczą niedorzeczną tęsknić do wyższych nakładów książek i czasopism?!

JERZY P.

# 4 Sport

## Stracony punkt

**Już w ubiegłą środę, kiedy tylko ukazał się poprzedni numer „Odgłosów", rozdzwoniły się w redakcji telefony. Dzwonili oburzeni Czytelnicy. Najłagodniejsza opinia, jaką mi przekazano, brzmiała: — Jak się nie zna, niech nie pisze!**

**Popełniłam błąd. Duży. Tym większy zresztą, że mój rodzony i osobisty ojciec tłumaczył mi długo i wytrwale, kiedy bramki zdobyte na wyjeździe liczą się podwójnie, a kiedy nie. W żadnym wypadku remis nie preferuję Widzewa. Jedenastka RTS Widzew musi w Łodzi pokonać zespół Borussii Moenchengladbach. Całe to moje wyliczanie z poprzedniego felietonu nic nie jest warte, gdyż oparłam je na założeniu, że w każdym przypadku bramki zdobyte na wyjeździe liczą się podwójnie.**

**Często słyszałam, że kto nie słucha rodzonego ojca, źle na tym wychodzi. O prawdziwości tego przekonałam się na własnej skórze, bo nie tylko dowiedziałam się, co myślą o mnie Czytelnicy, ale i uderzona zostałam po kieszeni przez ukochane kierownictwo „Odgłosów". Moja strata. Natomiast Czytelników serdecznie przepraszam za wprowadzenie w błąd.**

Straciłam punkt — a może i więcej — i wcale mnie nie pociesza to, że reprezentacja Polski w Mielcu też punkt straciła. Groźba strat w rozgrywkach eliminacyjnych do mistrzostw świata w Meksyku wisiała już nad stadionem w Zabrzu w meczu z Grecją. W Mielcu stała się faktem.

W dalekosiężnych planach trenera reprezentacji, Antoniego Piechniczka, było założenie, aby w tym jeszcze roku, kształtująca się reprezentacja rozegrała dwa mecze ze słabszymi przeciwnikami. Szkopuł w tym, że w naszej grupie eliminacyjnej nie ma słabszych partnerów. Przynajmniej dla nas. Teoretycznie miały być nimi Grecja i Albania. Z Grecją jakoś udało się wygrać, z czego nie wynika, że rewanż będzie łatwy. O piłkarzach Albanii mówiono, że są trudni do pokonania, ale Antoni Piechniczek mówił, że „musimy wygrać". Jego pomocnik, Bernard Blaut mówił natomiast, że „wiemy o nich wszystko". W Mielcu okazało się, że wiedzieć to jedno, a umieć to wykorzystać w praktyce, to zupełnie co innego. Wiedzy o zaletach i słabościach Albańczyków nasi piłkarze nie potrafili wykorzystać na boisku w Mielcu.

— „Ten remis jest dla mnie porażką" — powiedział po meczu Antoni Piechniczek. Czy tylko dla trenera? Dla całego zespołu i dla kibiców. Chciałoby się przecież, aby w Meksyku nasi piłkarze byli obecni, aby zagrali tam i to zagrali dobrze, aby pokonali innych. Ale obecny poziom reprezentacji nadziei nam na to nie daje.

Gdy coś nie idzie, to zazwyczaj dorabia się teorię do faktów. Szuka się usprawiedliwienia. Taktykę taką przyjął też Antoni Piechniczek. Doszedł on do ciekawego wniosku. Otóż jego zdaniem dzisiejsza reprezentacja nie może grać dobrze, gdyż składa się z młodych zawodników. A ci młodzi zawodnicy nie mają jeszcze ani należytego doświadczenia, ani właściwych umiejętności. Z tego wniosek jawi mi się czarny. Nim nasi piłkarze te umiejętności zdobędą, nim zdobędą doświadczenie, to minie sporo czasu i zaczną się eliminacje do następnego Mundialu. Będzie już po Meksyku 1986. A przecież w innych zespołach też grają młodzi zawodnicy. I jakoś widać u nich i umiejętności, i doświadczenie. To chyba nie od wieku zależy, ale od pracy i chęci do tej pracy.

Nasza drużyna potwierdziła w Mielcu jeszcze raz to, o czym już wszyscy dobrze wiemy: brak jest naszym piłkarzom celności, podań i strzałów, umiejętności taktycznego rozgrywania piłki na boisku, właściwej współpracy pomiędzy formacjami, zdecydowania i skuteczności obrony. Słabości tych nie załata się wielkimi piłkarskimi nazwiskami. Nie pomoże ani Zbigniew Boniek, ani Władysław Żmuda.

Zremisowany mecz w Mielcu jest już faktem i został wpisany do kronik polskiego piłkarstwa, a przede wszystkim do kronik eliminacyjnych rozgrywek do mistrzostw świata w Meksyku. Teraz czeka nas inna emocja: mecz Widzewa z Borussią w Łodzi.

W ostatnią niedzielę zarówno Widzew, jak i Borussia grali w lidze. Borussia Moenchengladbach swoje spotkanie ligowe przegrała. Piłkarze RTS Widzew pokonali na własnym boisku warszawską Legię 2:0. Był to dobry mecz. Widzew był nie tylko formalnie gospodarzem spotkania, ale był też nim faktycznie, bo przeważał i panował na boisku. Komentowano to jako rosnącą formę piłkarzy widzewskich. Cieszyć się z tego tylko wypada, gdyż dzięki temu zwycięstwu Widzew nie stracił kontaktu z ligową czołówką.

Czy ostatnie zwycięstwo Widzewa można uznać za dobrą prognozę na pucharowe spotkanie z Borussią Moenchengladbach? Byłabym raczej ostrożna. Co nie przeszkadza mi jak najlepiej życzyć Widzewowi. To nie będzie łatwy mecz, a szansa na pokonanie pucharowego przeciwnika nie jest, niestety, aż tak wielka, jak się to niektórym optymistom wydaje.

BOGDA MADEJ

# RAPIER NAPOLEONA (2)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Speszona, oglądała swoje dziewczęce, poogryzane paznokcie. W pewnej chwili powiedziała:

— Matka zabije mnie, jeśli dowie się, że piłam.

— Nie musisz jej o tym mówić.

— Może poczuć.

— Na to, kochanie, to ja mam cudowny sposób.

Wytrząsnął z fiolki i podał jej białą, płaską tabletkę, jedną z tych, które znalazła przy nim nazajutrz policja. Nie był to narkotyk w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz tak zwany uspokajacz, tranquilizer z silnym dodatkiem Methaguaalonu stosowany zazwyczaj tylko pod ścisłą kontrolą lekarzy w zamkniętych ośrodkach psychiatrycznych. Specyfik ten pozostawał na liście leków zabronionych, tropionych przez gliniarzy w prywatnych apteczkach. Zażywanie go było karane, tym niemniej wielu artystów, szczególnie filmowców i pisarzy, zdobywało Methaguaalon przy pomocy tego czy innego posmarowanego w łapę szarlatana, który miał wszakże prawy dyplom lekarski i składał przed senatem uczelni przysięgę Hipokratesa, z biegiem lat doszedł jednak do wniosku, że w dzisiejszej, trudnej dobie nawet Hipokrates łyknąłby na lewo tu i ówdzie parę dolców.

W przeciwieństwie do alkoholu i narkotyków uspokajacz nie rozbijał psychicznie, nie wyniszczał tak bardzo organizmu, nie przynosił kaca, pozwalał trzeźwo myśleć i zachowywać się normalnie, a że usypiał, to pokażcie mi człowieka, który nie tęskni przynajmniej raz dziennie za zdrową i pokrzepiającą drzemką.

Połknąwszy pigułkę dziewczyna upozowała się wdzięcznie do fotografii, szybko jednak poczuła zmęczenie i mdłości. Sama myśl, że mogłaby zwymiotować w mieszkaniu wybitnego aktora, napawała ją wstydem i przerażeniem. Jack przyjdzie przecież zaraz, ucałuje ją serdecznie w obydwa policzki ciesząc się, że ma taką ładną i młodą wielbicielkę, da jej swój portret z autografem, może nawet ten, który wisi na ścianie, a tu ściana zaczyna nagle podskakiwać, oddalać się i zbliżać, wybrzuszać, jakby ...niel to chyba niemożliwe, nikt nie wspominał ostatnio o trzęsieniu ziemi...

Wyznała Napoleonowi swoje niepokoje. Ten kiwnął ze zrozumieniem głową.

— Musisz się wykąpać — zawyrokował.

— W łazience?

— W jakiej tam łazience. W basenie.

— Nie widziałam basenu przed domem.

— Basen przed domem jest dobry dla hołoty — oświadczył reżyser. — Chodź, pokażę ci, jak wygląda prawdziwie wytworna pływalnia.

Wziął ją za rękę, a ona, nie cofając jej, zaprotestowała nieśmiało:

— A kostium?

— Co: kostium?

Oczy reżysera, który, jak wspomnieliśmy, był kiedyś utalentowanym aktorem, wyrażały znowu bezdenne zdziwienie. W tym domu nikt nigdy nie kąpał się w kostiumie ani w slipach. A co to, do jasnej cholery! miejski swimming pool, w którym brzechtają się bez żenady w swoich rozciągniętych gaciach Murzyni, Meksykanie i zubożali przedstawiciele białej rasy? Nie! W tym domu nikt nie ma powodu wstydzić się własnego ciała, ktokolwiek bowiem przekracza jego próg, jest piękny, wysportowany, umięśniony jak gladiator, a kobietom, choćby dawno stuknęła im czterdziestka czy pięćdziesiątka, sterczy biust i drgają jędrne pośladki jak u panienek tańczących sambę nad brzegiem Copacabany.

Trzynastolatka upierała się jednak, aby włożyć swoje bikini.

— A gdzie je masz?

— W teczce.

Reżyser poszedł do samochodu i wyjął co trzeba spośród książek i zeszytów.

Niebawem, w jednym z przystosowanych do tego pomieszczeń, pluskali się obydwoje w lazurowej wodzie lazurowego basenu wśród wyłożonych lazurową glazurą ścian, pod lazurowym sufitem, który przypominał do złudzenia kalifornijskie niebo w godzinach rannych, wtedy nie przysłania go jeszcze złowieszcza chmura smogu.

Napoleon wyskoczył na posadzkę, sięgnął po aparat i oświadczył pogodnie:

— Trzeba trochę popracować, maleńka. Połóż no się na wznak, oprzyj głowę o brzeg i zdejm biustonosz.

— Biustonosz? — Dziewczyna dotknęła odruchowo swoich dużych, dostałych piersi, które podobnie zresztą jak brzuch, biodra i nogi nie miały w sobie nic dziewczęcego. Dziewczęca była tylko twarz o jasnej karnacji, niebieskich oczach, wzdętych czerwonych wargach, małym, lekko zadartym, nakrapianym piegami nosku i pięknym, szerokim czole okolonym grzywą platynowych, wilgotnych teraz włosów.

Robert Walden widział kilka zdjęć tej dziewczyny we francuskich tygodnikach i w brazylijskiej, wyspecjalizowanej w skandalach bulwarówce, takiej, co to na pierwszej stronie, obok zdjęcia aktora, zamieszcza wołami wstrząsający tytuł: MARLON BRANDO NIE ŻYJE, po to tylko, aby chwyciwszy już za gardło czytelnika, dokończyć drobną czcionką na sąsiedniej stronie „ze swoją ostatnią żoną, która wedle zdobytych przez nas informacji nawiązała oficjalny romans ze sławnym kierowcą samochodowym, przygotowującym się właśnie do wyścigu o mistrzostwo świata na śmiercionośnym torze w Indianapolis".

Ku zdziwieniu Roberta Waldena, brazylijski szmatławiec bronił Napoleona twierdząc, iż tak rozrośnięta i dojrzała, przypominająca dwudziestosiedmioletnią kobietę dziewczyna mogłaby go znokautować z rozmachu jednym uderzeniem piersi. Jak tu w ogóle mówić o gwałcie? Kto tu kogo zgwałcił naprawdę? Popatrzcie sobie! — Obok trzynastoletniej kariatydy figurowała drobna i wdzięczna sylwetka czterdziestoparoletniego mężczyzny, który tak z postawy, jak z miny przywodził na myśl studenta, mającego za chwilę stanąć do egzaminów konkursowych z matematyki różniczkowej.

No, ale wiadomo, jak to jest w Brazylii! Bywało i bywa, że w tym pięknym kraju zachodzą w ciążę siedmioletnie panieneczki, a taka, co ma dwadzieścia jeden lat, może być przy szczęśliwym zbiegu okoliczności (policzcie sobie!) prababką.

W Kalifornii też jednakże praży słońce i dziewczęta dojrzewają jak maliny, pomne wszelako, iż niektórych rzeczy robić nie wypada, a w każdym razie: trzeba dla zasady udawać niewinność!

Powiedziawszy zatem: — Biustonosz? — i dotknąwszy rękami piersi, trzynastolatka odmówiła zdecydowanie, tłumacząc, że matka zagroziła jej laniem, jeśli tylko wystawi pod obiektyw gołą pupę lub biust.

Napoleon był dżentelmenem. Nie nalegał, nie szarpał się z dziewczyną, ruszył natomiast do telefonu, podniósł słuchawkę i połączywszy się z matką, powiedział:

— Chcę zrobić dziewczynie kilka zdjęć bez góry, o'kay?

— Po co?

— Jak to: po co? Żeby uatrakcyjnić materiał i podnieść jego wartość artystyczną.

— Nie wiedziałam, że gołe cycki mają coś wspólnego z artyzmem — żachnęła się matka.

— W pruderyjnej Ameryce może i nie mają — odparował reżyser — ale w Europie, szczególnie zaś we Francji, ceni się piękno ludzkiego ciała. Bez góry byłaby szansa umieścić małą na okładce.

Chwyciło. Okładka w wielomilionowym Vogue Homme to są pieniądze, popularność, pierwszy krok do kariery, w której kochająca mamusia nie chciała córeczce przeszkadzać. Niech będzie. Parę zdjęć można zrobić, pod warunkiem jednak, że wybierze się z nich tylko jedno, najwyżej dwa.

— W porządku — powiedział Napoleon. Zamierzał właśnie odłożyć słuchawkę, kiedy matka huknęła:

— Daj no małą!

Reżyser przywołał dziewczynę, która stawiając nieporadne kroki i odciskając na posadzce ślady mokrych stóp, podeszła do telefonu.

Pytań matki Napoleon nie słyszał. Słyszał natomiast odpowiedzi córki, która zapewniała, że czuje się dobrze. Nie, nic nie piła. Jeśli mówi bełkotliwie i niewyraźnie, przeciągając lekko sylaby, to jedynie z tego powodu, iż jest troszeczkę zmęczona. Rozłożyła ją po prostu zbyt ciepła woda w basenie. Oczywiście, wróci niedługo do domu, do ukochanej mamusi, prawdopodobnie odwiezie ją sam wielki Jack, którego spodziewają się lada chwila. Do zobaczenia. Bye, bye!

Wertując amerykańską prasę, przytaczając różne, w sumie jednak podobne wersje tej rozmowy, Robert Walden nie miał wątpliwości co do jednego: matka, świadomie czy nieświadomie, była rajfurą. Trwało śledztwo, już niedługo miał się odbyć proces, cała Ameryka, ba! cały świat rzucił się z rozwartymi szponami na Polaka — zwyrodnialec, zboczeniec, gwałciciel, deprawator! — mateńka natomiast pozostawała skromnie na uboczu, nikt nie miał do niej pretensji, nikt nie powiedział jej złego słowa, nie ujawniono nawet w gazetach jej nazwiska, bo mogłoby to później rzucić cień na podle wykorzystaną przez Napoleona dziewczynę.

Reasumując: matka i rozwiedziony z nią mąż (żeby nie wspominać już kochanka, który często przebywał w domu) byli dla córeczki cudowni, troskliwi, opiekowali się nią szalenie, czytali jej przed snem do poduszki bogobojne historie z życia świętych męczenników i odmawiali z dziecinką paciorek.

Jeśli ktoś powinien trafić momentalnie za kratki, i to na dobrych parę lat, to matka, właśnie matka, głupie, rozpasane, egoistyczne babsko, wyzute ze skrupułów bądź też pozbawione całkowicie wyobraźni. Jednakże ani prokurator okręgowy, ani sędzia nie czepiali się matki, wychodząc ze słusznego założenia, że atak na nieznaną nikomu aktorkę nie przyniesie im awansu i sławy. Z Napoleonem sprawa wyglądała inaczej — znał go cały świat, ciążyła na nim zła legenda, był cudzoziemcem, przybłędą, szalencem filmowym o schorzałym natchnieniu, które produkowało zło na ekranie i emanowało w życiu, stając się przyczyną różnych okropności.

Poza tym Napoleon był bogaty, a w każdym razie: zamożny, było z kogo pociągnąć... nawet zwykli szeregowi dziennikarze i fotoreporterzy z prowincjonalnych czasopism wyczuwali nieomylnym węchem, iż skandal wokół polskiego reżysera, murowany samograj, podreperuje ich konta bankowe.

Sam reżyser nie wyczuwał tego jednakże. Wrócił ze swoją ofiarą do gorącej wody basenu, zdjął jej biustonosz, ucałował piersi, niebawem również zaczęły mu przeszkadzać białe figi, więc wyłuskał z nich dziewczynę gestem delikatnym i wprawnym.

Amerykańscy publicyści, aby zdobyć sobie aplauz szefów i podkręcić trochę wyobraźnię czytelnika, uciekają się często do chwytów zastrzeżonych przez literaturę. Taki cholerny gnojek, który nie jest i nigdy nie będzie pisarzem, i który ciągnie swoje wynurzenia w tonie suchego raportu prasowego, łamie nagle konwencję i pisze z grafomańską, iście poetycką weną, jakby oglądał wszystko na własne oczy:

„Była naga. Powiedział, że ma położyć ręce na krawędzi basenu, a tułów na powierzchni wody. Przyjęła pozycję, jaką sobie życzył. Sięgnął po kamerę, stanął między jej rozłożonymi nogami i pstrykał zdjęcia rozpłaszczonych piersi, po których przelewała się woda. Obiektyw wędrował po wspaniałym dziewczęcym ciele, a on wciąż ją zadręczał głosem ochrypłym z pożądania:

— To jest wspaniałe, to jest fantastyczne, miodku!

Wreszcie gała obiektywu zatrzymała się nad jej łonem, gdzie jedwabiste kosmyki jak delikatne wodorosty unosiły się na wodzie. Napoleon chciał ją w tym miejscu pogłaskać. Zaprotestowała. Mamrocząc coś w obcym języku, odrzucił aparat ujął ją za kostki u nóg i wszedł pomiędzy jej uda. Poczuła jego palec przy swojej pupie. Przestraszona, odepchnęła mężczyznę i wyszła na brzeg, aby lec na dywanie. Drżała, popłakiwała. Była zwiotczała i popielatoszara. Powtarzała cichutko:

— Jestem chora, chcę do domu...".

Opis, aczkolwiek nie wzbudzał zachwytu Roberta Waldena, podobnie zresztą, jak nie wzbudzą chyba zachwytu czytelników jego własne opisy, był mimo wszystko zgodny z prawdą. Napoleon zatroskał się nagle o dziewczynę, która najwyraźniej przeżywała kryzys. Czyżby zamierzała umrzeć, powiększając rejestr ludzkich tragedii, które snuły się za reżyserem jak stado sępów za dogorywającym zwierzęciem? Miała chyba gorączkę. Dygotała od stóp do głów. Na dywan spływał cieniutki strumyczek moczu.

Okrył ją jakimś pledem. Serce waliło mu jak szalone, a na szyi czuł żelazną łapę strachu. Lubił młode dziewczęta; obok filmu, były przecież drugą prawdziwą pasją jego życia. Jeśli zapłonął do którejś afektem, gotów był zrobić wszystko, aby ją zdobyć. Nigdy jednak nie używał siły. Nie był okrutny, nie miał skłonności sadystycznych, potrafił współczuć, nieraz nawet płakać, zwłaszcza nad sobą, ale również nad innymi. Odetchnął z ulgą widząc, że dziewczyna odzyskuje przytomność i patrzy na niego zamglonym wzrokiem.

— Och, przestraszyłaś mnie, kochanie — powiedział. — Jak się czujesz?

— Lepiej.

— To cudownie. Niedługo odwiozę cię do domu, ale przedtem powinnaś chyba trochę odpocząć.

— Gdzie?

— W sypialni u Jacka. Ma miękkie, bardzo wygodne łóżko.

Objąwszy ją swoim nagim, muskularnym ramieniem, poprowadził ją w głąb mieszkania. Chichotała po drodze. Przespać się w łóżku sławnego gwiazdora to doprawdy szalone przeżycie.

Nikt oczywiście nie położy się obok niej, ale... nie wiedziała jeszcze dokładnie, jaką wersję sprzeda nazajutrz koleżankom ze szkoły. Tak czy owak, będą jej zazdrościć, szczególnie ta przemądrzała Doris z sąsiedniej ławki, powtarzająca przy każdej okazji, że miała romans z pewnym bezsprzecznie przystojnym piosenkarzem rockowym.

Napoleon ułożył ją w pościeli. Był już spokojny; znowu wzbierała w nim samcza, niezaspokojona tęsknota.

— Zdrzemniesz się?

— Tak.

— Masz takie miłe ciało...

Głaskał ją delikatnie końcami palców, a ona leżała na wznak i oddychała cichutko. Było jej dobrze, gorąco, spokojnie. Zapadając w sen, czy też ponownie tracąc przytomność, widziała nad sobą twarz uwielbianego artysty, który wedle relacji amerykańskiego autora wpatrywał się w nią z niesmakiem i dezaprobatą.

C.D.N.

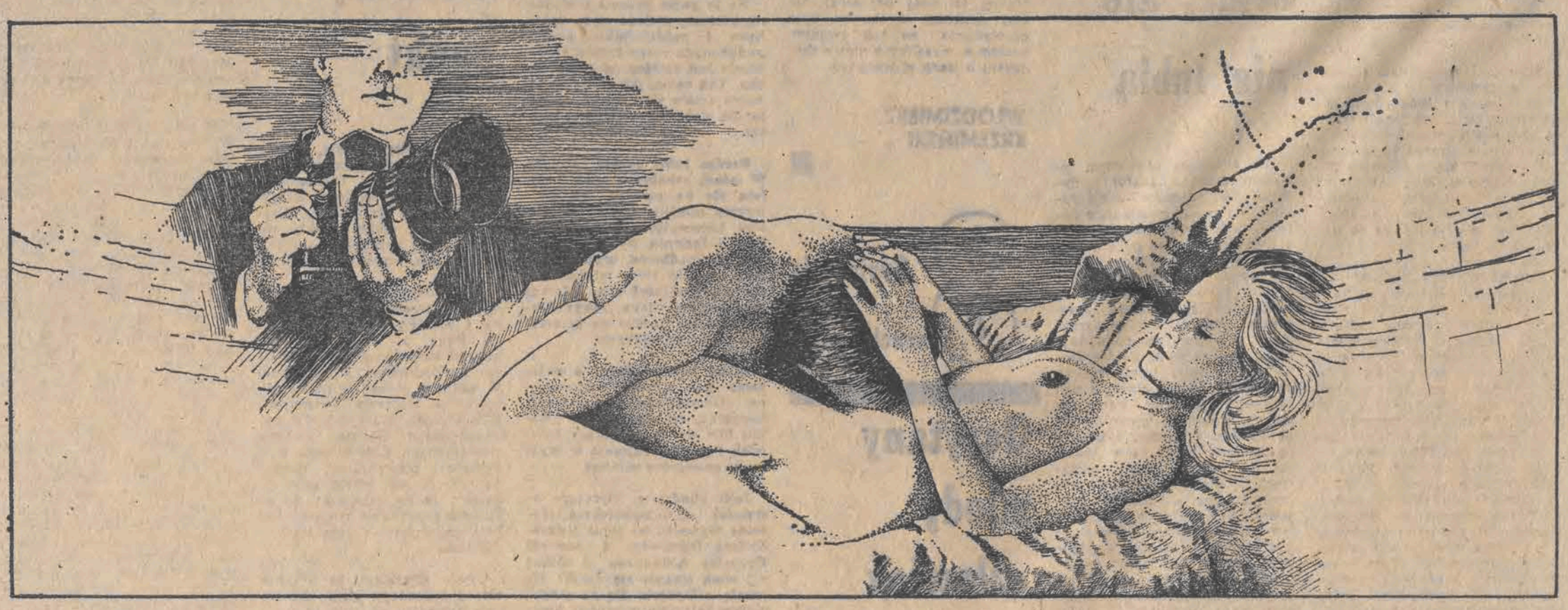

*Rys. Janusz Szymański-Glanc*